

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/624**

**1999**

---



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

**A. KORASZEWSKI: UWAGI O DIALOGACH  
I PAKTOWANIU**

**St. ABNER: PO DZIESIĘCIU LATACH**

**L. UNGER: TRYLOGIA DO NATO**

**A. POSPIESZALSKI:**

**O WIZYCIE PAPIEŻA W KRAJU – KRYTYCZNIE**

## SPIS RZECZY

Andrzej Koraszewski:	<i>Uwagi o dialogach i paktowaniu</i>	3
Stefan Abner:	<i>Po dziesięciu latach</i>	16
Mariusz Wilk:	<i>Glosariusz rosyjski (III)</i>	30
Magdalena Rostron:	<i>O kielkowaniu (demokracji) na pustyni</i>	33

### WIERSZE

Mieczysława Buczkówna:	<i>Aby podnieść różę (pamięci Andrzeja Trzebińskiego)</i>	38
Bolesław Taborski:	<i>Do Krzysztofa po latach. – Ten plac</i>	40

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Trylogia do NATO</i>	43
Janusz Mondry:	<i>Wojsko Polskie do NATO</i>	64

### KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Czy za dwa lata coś się zmieni?</i>	69
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	81
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	98
Andrzej Micewski:	<i>Chmury nad Polską</i>	107

### SPRAWY I TROSKI

Jan Czekajewski:	<i>Bicie się w cudze piersi</i>	112
Wiesław Gruszczyński:	<i>Polish jokes</i>	116

### O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>O wizycie Papieża w kraju – krytycznie</i>	117
Ks. Brendan Hoban:	<i>Ostatni ideałści</i>	123

### NOTATKI REDAKTORA

### KRONIKA KULTURALNA

Tadeusz Chrzanowski:	<i>Co się dzieje z zabytkami w Polsce?</i>	139
Piotr Skórzyński:	<i>Trzydzieści lat po śmierci Gombrowicza</i>	154
–	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i>	162
–	<i>Nagrody Towarzystwa Demokratyczno-Społecznego</i>	163


Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień/Septembre 1999

Wydawnictwo Literacki  
 ul. Chałubińskiego 1  
 01-645 Warszawa  
 tel. (022) 625 52 00  
 fax (022) 625 52 01  
 e-mail: kultura@wydawnictwoliteracki.pl  
 www.wydawnictwoliteracki.pl

**INSTYTUT**  **LITERACKI**



## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr med. W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 13-ty – DM 100,00 .....	F. 335,00
Bezimiennie z Warszawy .....	F. 500,00
C.P. Czuchwicki, Panorama, SA (Australia) – po raz 27-my .....	F. 220,00
Anna Frajllich-Zajac, New York – dla uczczenia pamięci Ojca Psachiego Frajlicha .....	F. 1.200,00
Adam Galkowski, Paryż .....	F. 1.500,00
Lucja Glikzman, Tel Aviv (Izrael) – dla uczczenia pamięci Leo Lipskiego w rocznicę Jego śmierci – dol. 100,00 .....	F. 620,00
Jacek Hejnar, Toronto, ON (Kanada) – po raz 9-ty .....	F. 170,00
Lech Krysiwicz, Montreal (Kanada) – po raz 13-ty – dol. can. 80,00 .....	F. 336,00
Stanisław Kwiatkowski, Cleveland, OH (USA) – po raz 6-ty, dol. 20,00 .....	F. 124,00
Heddo Perska, Stockholm – zamiast kwiatów na grób Anny Aitman, zmarłej 24 lipca br. – SEC 250,00 .....	F. 160,00
Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 10-ty .....	F. 500,00
Danuta Szumska, Paryż – zamiast kwiatów na grób Beaty Meller z pamięcią o wspólnie planowanym i nie spełnionym odczycie Beaty o malarzu-zesłańcu Aleksandrze Sochaczewskim .....	F. 300,00
Zamiast kwiatów na grób Beaty Mellerowej – Grażyna i Krzysztof Pomianowie, Paryż .....	F. 300,00
Zamiast kwiatów na grób Beaty Mellerowej, najmilszej i najpiękniejszej z Ambasadorowych, która przedwcześnie opuściła swoją rodzinę i wszystkich nas w Paryżu – Zofia i Kazimierz Romanowiczowie .....	F. 200,00

DZIĘKUJEMY

## Uwagi o dialogach i paktowaniu

Kościół w Polsce postanowił rozpocząć dialog z niewierzącymi. Doniesienia w tej sprawie przerwały na moment moje szkice sceptyczne na temat paktu dla wsi i zacząłem się zastanawiać nad możliwą skutecznością tej nowej akcji. Osobiście prowadzę dialog z wierzącymi od wczesnej młodości i nauczyłem się już, że jest to łatwe i przyjemne pod warunkiem, że dialog ów prowadzony jest w warunkach kameralnych, z dobrze dobranymi partnerami. W tym gronie sam fakt wiary lub niewiary w Boga nie stanowi wystarczającej podstawy dla tworzenia jakiejś totalnej więzi oddzielającej moją grupę od reszty świata. Wręcz odwrotnie, jeśli jest coś, co wyróżnia to grono, to właśnie tolerancja i ciekawość ludzi o innych poglądach niż moje własne. Czy możliwy jest sformalizowany dialog wierzących z niewierzącymi, a jeśli tak, to czego taki dialog miałby dotyczyć?

Kłopot z dialogiem między wierzącymi i niewierzącymi polega na tym, że po jednej stronie mamy kościelną strukturę, w której można udzielić komuś mandatu do prowadzenia takiego dialogu, a po drugiej niezorganizowane jednostki, które co najwyżej mogą sobie uzurpować prawo reprezentowania w takim dialogu innych niewierzących. Ta strona nie ma papieża, biskupa czy proboszcza, może tu być jakiś prezes stowarzyszenia wolnomyślicieli, ale jego mandat do prowadzenia dialogu jest doprawdy wątpliwy.

Sceptycyzm w sprawie organizacji takiego dialogu nie powinien prowadzić do podważania dobrej woli Kościoła, ani też do przekreślania samej idei powrotu do tradycji wzajem-



nej tolerancji. Sprawa jest ważna, chociaż z pewnością w odróżnieniu od paktu dla wsi nie jest pierwszoplanowa. Gdybym był wierzącym, martwiłbym się znacznie bardziej o autorytet kleru wśród wiernych. Nawet wśród regularnie praktykujących katolików obserwuje się niebawale wręcz krytyczny stosunek do księży. Nie jest prawdą, że spadek autorytetu Kościoła bezgranicznie cieszy każdego niewierzącego. Po pierwsze, ów spadek autorytetu bynajmniej nie oznacza masowego zwrotu w kierunku czegoś, co Tadeusz Kotarbiński nazywał etyką niezależną, ani tym bardziej erupcji poznawczego racjonalizmu. Jest zgoła przeciwnie. Procesowi temu towarzyszy wzrost patologii społecznych oraz wzrost zainteresowania mistyką alternatywną. Po drugie, religie były przez tysiąclecia jedną z głównych form organizacji życia społecznego i jeśli źle spełniają tę funkcję, powstaje luka, którą bardzo trudno wypełnić.

Hasło dialogu Kościoła z niewierzącymi wydaje się być poważnym sygnałem, że przynajmniej część hierarchii poszukuje możliwości zwiększenia otwartości Kościoła i to właśnie w jego funkcji społecznej. W ostatnich latach obserwowaliśmy trend zgoła odwrotny. Z jednej strony nasilenie się skłonności do ostracyzmu i to nie tylko wobec niewierzących czy innowierców, ale również wobec wiernych wyrażających jakąkolwiek krytykę czy to kleru, czy obowiązującej doktryny, z drugiej, spadek zainteresowania księży działalnością społeczną. W tej ostatniej sprawie pojawiły się nawet głosy na temat zbędności, czy wręcz szkodliwości podejmowania tego typu działań przez księży.

W otwartym, demokratycznym społeczeństwie istnieje nieskończona ilość możliwości zrzeszania się i organizowania życia społecznego. Czy rzeczywiście Kościół jest aż tak bardzo na tym polu potrzebny? Można ten sam problem postawić inaczej – zastanawiając się nad pytaniem, jak często Kościół spełniał tu rolę pozytywną, czy zgoła napędową? Obecność Kościoła w opiece nad chorymi i ubogimi jest czymś oczywistym i niekwestionowanym. Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa z udziałem księży w życiu gospodarczo-społecznym. Tu historyczne wzory księdza Wawrzyniaka, księdza Wacława Blizińskiego, czy wreszcie niedawnego przykładu księdza Czesława Sadowskiego ze Zbroszy Dużej

nie wydają się znajdować wśród księży chętnych naśladowców. Opieka nad chorymi czy ubogimi, nad narkomanami czy bezrobotnymi, to wszystko są w pewnym sensie marginesy życia społecznego. Aktywność typu księdza Wawrzyniaka może w poważny sposób wpływać na życie całej społeczności. Dotyczy to przede wszystkim obszarów wiejskich. Kto wie, czy tego rodzaju aktywność księży nie okazałaby się inną i szczególnie atrakcyjną formą dialogu z niewierzącymi – z niewierzącymi w to, że Kościół przejmuje się ich losem. To ostatnie stwierdzenie brzmi być może jak oskarżenie, ale jest tylko wnioskiem z wieloletniej obserwacji środowisk wiejskich, w których niewiele osób przyznaje się do niewiary w Boga, ale większość nie wierzy w to, że księża interesują się czymkolwiek poza tacą. W tych opiniach mieszkańcy wsi często stawiają w jednym rzędzie Kościół, władze samorządowe i władze państwowe. Czy ten chłopski lament na wszystkich jest wyrazem rozdętych postaw roszczeniowych, czy też ilustracją jednej z najbardziej charakterystycznych cech naszego kraju? Odpowiedzi na to pytanie prezentowane są często w prasie i z reguły dowiadujemy się, że jest to wyraz postaw roszczeniowych. Niedawno tankując w Dobrzyniu benzynę zapytałem znajomego właściciela stacji, jak idą interesy. Machnął ręką niechętnie i mruknął: – Sam pan widzi, jak rolnik nie ma pieniędzy, nikt nie ma pieniędzy. – Nie spodziewając się nawet, że wywołam gwałtowne wzburzenie, odpowiedziałem raczej retorycznie, że szkoda, iż nasi politycy tego nie rozumieją. – Jak mogą nie rozumieć tego, co dla każdego jest oczywiste – oburzył się właściciel stacji benzynowej. – Nie można tego nie rozumieć, oni mają w tym jakiś interes. Moje zapewnienia, że rozmawiałem na ten temat z dziesiątkami polityków i że naprawdę i szczerze nie rozumieją tego związku, wprawiły go w stan osłupienia. – To jak oni sobie wyobrażają ten kapitalizm? – zapytał. – Żarcie za darmo, a za oszczędności będziemy sobie kupowali zagraniczne samochody?

Kilka dni wcześniej otrzymałem uwagi Wiesława Kęcika na temat Paktu dla Wsi. Autor jest obecnie ekspertem AWS, w końcu lat siedemdziesiątych, w Komitecie Obrony Robotników wyznaczono mu rolę dyżurnego obrońcy chłopów. Wiesław skarżył się wówczas, że cały problem wsi nikogo



w opozycji nie interesuje, że to towarzystwo ma kompletnie absurdalne pojęcie na temat wsi i rolnictwa i że nic nie jest w stanie tych poglądów naruszyć. Podobne opinie wyrażali Władysław Bienkowski i Józef Kuśmierk, ostrzegając, że przyszłe reformy gospodarcze mogą się rozbić właśnie z powodu postępującego zacofania wsi.

Dziś Wiesław Kęcik chce wierzyć, że Pakt dla Wsi jest szansą powstrzymania procesu pauperyzacji i cywilizacyjnej zapaści polskiej wsi, procesu, który po upadku komunizmu niestety nabrał przyspieszenia. We wstępie do swojego memoriału Kęcik stwierdza, że oczekiwania mieszkańców wsi przedłożono w czasie demonstracji i późniejszych negocjacji z rolniczymi związkami, ale ponieważ były one formułowane w okresie napięć i gwałtownych emocji, z mieszkańcami wsi trzeba teraz usiąść do poważnej, partnerskiej rozmowy. Tu wyłania się jednak kłopot dokładnie taki sam, jak z dialogiem między wierzącymi i niewierzącymi. Pojawia się pytanie o to, jak silny mandat do reprezentowania społeczności wiejskich mają rolnicze związki i partie chłopskie oraz (i to również jest bardzo ważny problem) z kim właściwie po drugiej stronie ów dialog ma się toczyć? Mieszkańcy wsi siłą przyzwyczajenia kierują wszystkie swoje postulaty pod adresem rządu. Rząd może dokonać mniejszych lub większych zmian w budżecie i przeznaczyć jakieś pieniądze na najbardziej krzyczące potrzeby, ale długofalowy program zmian musi zostać wypracowany w dialogu, musi być rzeczywiście znany na wsi, akceptowany przez jej mieszkańców i w znacznej części przez nich realizowany. Rządowych programów naprawy sytuacji na polskiej wsi było już bez liku i jak dotychczas żaden z nich nie powstrzymał procesu cywilizacyjnej degradacji społeczności wiejskiej.

Większość mieszkańców wsi, z którymi rozmawiałem, nie zna pełnej nazwy przedstawionego przez stronę rządową paktu, nie ma pojęcia jak wyglądał dialog, który do sporządzenia tego dokumentu prowadził, ani tym bardziej nie uczestniczyła w żadnej zorganizowanej dyskusji na temat priorytetów w takich negocjacjach. Ani jeden z moich rozmówców nie podzielał optymizmu Wiesława Kęcika, nie tylko w odniesieniu do „Paktu dla Rolnictwa i Obszarów Wiejskich”, ale również nikt nie wyrażał wiary w to, że

deklarowane przez polityków intencje zrobienia czegokolwiek dla wsi są uczciwe. Z pewnością nie jest to sytuacja ułatwiająca tworzenie planów naprawy w oparciu o negocjacje z zainteresowanymi. Kto wie, może nastroje choć trochę poprawiłoby kilka słów przeprosin, ale w kwestii polityki rozwoju wsi w elitach politycznych nie widać ani cienia zaniepokojenia własnym dobrym samopoczuciem. Nie ma więc mowy o pakcie (pakt zakłada istnienie co najmniej dwóch stron) i nie widać szans na to, aby zainteresowani przynajmniej częściowo przyjęli na siebie obowiązek realizacji wspólnie uzgodnionych planów. Jeszcze raz dialog wierzących z niewierzącymi okazał się niemożliwy.

Jednym z elementów „Paktu dla Rolnictwa i Obszarów Wiejskich” ma być „Spójna polityka strukturalna rozwoju obszarów wiejskich i rolnictwa”. Nie dostałem jeszcze tego ostatniego dokumentu, ale jeśli prawdą jest doniesienie *Zielonego Sztandaru*, że w kwestii oświaty wiejskiej zaleca on: „...by gminy i powiaty tworzyły bodźce zachęcające nauczycieli do podejmowania pracy na wsi”, to właściwie reszty można nie czytać. Truizmem jest stwierdzenie, że radykalna zmiana systemu oświaty jest kluczem do transformacji struktury zawodowej mieszkańców wsi. *Gros* młodzieży wiejskiej to absolwenci zasadniczych szkół zawodowych (głównie rolniczych) oraz rolniczych techników. W Powiatowym Urzędzie Pracy w Lipnie na temat pobliskiego Technikum Mechanizacji Rolnictwa pani dyrektor mówi mi, że jest to szkoła produkująca osiemdziesięciu bezrobotnych rocznie (szkoła wypuszcza około 100 absolwentów). W roku 1998 ponad 57 procent absolwentów średnich szkół zawodowych nie znalazła nigdzie zatrudnienia. Informująca o tym broszura MEN nie podaje, jaką część z tego stanowiła młodzież ze środowisk wiejskich, ani o ile wyższe było bezrobocie wśród absolwentów szkół rolniczych. (Z innego dokumentu MEN dowiadujemy się, że jedna trzecia mieszkańców wsi poniżej 25 roku życia to bezrobotni. Interesująca konstrukcja statystyczna, zważywszy, że młodzi ludzie w wieku produkcyjnym stanowią w tej grupie zaledwie jedną czwartą). Wspomniana wcześniej broszura prezentuje założenia reformy szkolnictwa zawodowego. Lektura tego dokumentu wydaje się świadczyć o całkowitej bezradności autorów reformy wobec problemu



szkolnictwa zawodowego. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że istniejące szkoły zawodowe źle przygotowują młodych ludzi do istniejącego rynku pracy i nikt nie ma koncepcji, jak te szkoły można by zmienić. W rozmowach z pracownikami urzędów pracy dopytywałem się, jakie kursy proponują tym bardziej ambitnym młodym bezrobotnym (o jakiegokolwiek aktywności tych urzędów wśród bezrobotnych, którzy nie dobijają się o pomoc, nie ma co nawet marzyć). W odpowiedzi dowiedziałem się, że nie ma kursów, które byłyby naprawdę atrakcyjne. Modne kursy obsługi komputerów przez pewien czas dawały szansę, ale dziś pracodawcy mogą wybierać wśród absolwentów takich kursów jak w ulęgalkach. Nadal jest zapotrzebowanie na dobrych rzemieślników, ale tu zazwyczaj trzeba sobie swoje miejsce pracy tworzyć samemu, co wymaga nie tylko umiejętności, ale i kapitału. Urzędniczka Powiatowego Urzędu Pracy w Lipnie należy do niewierzących, jej zdaniem – w tym regionie jedyną szansą młodych ludzi jest wyjazd. Zapewne w wielu urzędach pracy w różnych regionach Polski możemy usłyszeć takie wypowiedzi. Nie sądzę, aby urzędy pracy były dobrym źródłem informacji na temat pożądaných zmian szkolnictwa zawodowego. Czytając jednak rządowe dokumenty odnosi się wrażenie, że projekt reformy powstał raczej przy ministerialnych biurkach, w oparciu o centralne dane statystyczne i bez kłopotliwych konsultacji w terenie. W proponowanej reformie szkolnictwa zawodowego pobożne życzenia wyraźnie dominują nad analizą stanu obecnego rynku pracy. Jednym z elementów tej reformy jest projekt radykalnego ograniczenia ilości szkół rolniczych. Można by powiedzieć, że projekt ze wszech miar słuszny, gdyby nie fakt, że idea wydaje się ograniczać do pomysłu na wydłużenie kształcenia. Szkoły rolnicze w swym obecnym kształcie – kształcące młodych ludzi do zanikającego zawodu – są anachroniczne. Niektórzy dyrektorzy tych szkół korzystają z możliwości profilowania programów i próbują kształcić młodzież w zawodach okołorolniczych, które mają szanse rozwoju w danym regionie. Co to za zawody? Mleczarstwo, przetwórstwo, handel maszynami rolniczymi, agroturystyka, problemy spółdzielczości. (To ostatnie niebawem przestanie być aktualne, o ile przejdzie proponowana przez rządzącą koalicję zmiana ustawy o prawie spółdziel-

czym, zgodnie z którą wszystkie spółdzielnie mają zostać zmienione w spółki handlowe. Rozwiązanie proste i zapewne raz na zawsze kończące problem spółdzielczości w Polsce.) Tego rodzaju poszukiwania, które moim zdaniem powinny być inspiracją dla reformatorów szkół rolniczych, zapewne należą już do przeszłości, ponieważ placówki te od 1 stycznia przeszły w gestię samorządów powiatowych i przy okazji utraciły około 40 procent swoich budżetów, przy czym już dziś widać, iż w pierwszym rządzie tracą możliwości prowadzenia gospodarstw pomocniczych, a więc intensywnych praktyk zawodowych.

Nieprawdopodobna wydajność nowoczesnego rolnictwa jest funkcją jego obsługi przez wyspecjalizowane instytucje. Statystyki spadku zatrudnienia w rolnictwie są tylko w części prawdziwe. Wykształcenie nowych form podziału pracy w dziedzinie produkcji żywności jest procesem bardzo trudnym i dotychczas we wszystkich krajach, w których to się powiodło, proces ten zawsze wymagał intensywnego wsparcia ze strony państwa. Tak jak znaczna część PGR mogła i powinna być zostać przekształcona w stacje obsługi indywidualnego rolnictwa, tak istniejące szkoły rolnicze mogłyby stanowić bazę dla sterowanej transformacji struktury zawodów na wsi. Niczego takiego się nie planuje, raczej przeciwnie – w polityce rozwoju wsi wzorem postępowania pozostaje nadal zastosowany wcześniej model przekształceń dawnych PGR.

W licznych głosach na temat dróg naprawy polskiego rolnictwa niepokoją mnie najbardziej dwa wątki – pierwszy to głęboka wiara w wielkie gospodarstwa – drugi, to również głęboka wiara w rolnictwo ekologiczne. Obydwu tym wątkom towarzyszą ukryte założenia – w pierwszym przypadku autorzy wydają się sądzić, że wielkie gospodarstwo automatycznie prowadzi do nowoczesności w rolnictwie. Tak jednak nie jest. Nowoczesne gospodarstwo rolne (wielkie, średnie czy małe) wymaga infrastruktury, służb kontrolujących warunki sanitarne i jakość, wyspecjalizowanych instytucji finansowych. Bez takiej infrastruktury wielkie gospodarstwa rolne bynajmniej nie muszą być nowoczesne. Tymczasem tempo powstawania nowoczesnej infrastruktury rolnictwa jest wręcz wolniejsze niż tempo wzrostu wielkości gospodarstw rolnych. Jeszcze poważniejszy jest fakt, że szybkie bankructwo znacznej ilości dzisiaj-



szych rolników oznacza (o czym pisałem już wielokrotnie) całkowitą eliminację większości z nich z rynku pracy i z jednej strony obciążenie skarbu państwa kosztami utrzymania ich i ich rodzin, a z drugiej radykalne ograniczenie szansy zdobycia przez ich dzieci kwalifikacji w zawodach pozarolniczych. Zmiana struktury rolnej jest koniecznością, ale tempo tej zmiany i techniki, przy pomocy których próbuje się ją wymusić, to decyzje polityczne, w których musi się brać pod uwagę czynnik społeczny.

Drugi uniwersalny lek na wszystkie bolączki polskiego rolnictwa to ekologiczna produkcja żywności. Tę drogę proponują często ludzie zdający sobie sprawę ze społecznych skutków nazbyt szybkiej zmiany struktury wielkości gospodarstw rolnych. Ci autorzy dla odmiany zapominają z reguły o tym, że ekologiczna produkcja żywności jest droższa, a nie tańsza od produkcji opartej na nowoczesnej chemii i genetyce. (Mniejsze plony, wyższa pracochłonność, większe ryzyko.) Zwolennicy tego cudownego środka przeceniają również popyt na żywność ekologiczną. Fakt, że w zachodnich supermarketach stoiska z ekologiczną żywnością zajmują niewielki procent powierzchni handlowej, nie jest objawem niskiej podaży ekologicznych produktów, ale nadal ograniczonego popytu. Wspomniany wcześniej memoriał Wiesława Kęcika przechodzi od pochwały samej idei Paktu dla Wsi w pean na cześć produkcji ekologicznej jako jedynie słusznej drogi dla polskiego rolnictwa. Co gorsza, z ukrytą pochwałą stanu obecnego i bez informacji, że nowoczesna, w miarę opłacalna produkcja ekologiczna wymaga wyższych kwalifikacji i bardziej złożonej infrastruktury. Innymi słowy, trzeba powiedzieć wyraźnie, że ekologiczna produkcja żywności może być jedną z alternatyw dla części polskich rolników, ale nie może stanowić alternatywy dla polskiego rolnictwa. Co zatem jest alternatywą dla polskiej wsi? Nowy podział pracy w produkcji żywności oraz rozwój usług i produkcji pozarolniczej na wsi. Ta droga wymaga współpracy instytucji rządowych, samorządowych, organizacji zrzeszających ludność wiejską, a wreszcie Kościoła, stanowiącego nadal bardzo ważny ośrodek organizacji życia społecznego w tym środowisku. Program, w który społeczność wiejska mogłaby uwierzyć, musi łączyć problemy ogólnokrajowe z lokalną specyfiką, musi

dążyć do wzmocnienia siły nabywczej rolnika, aby dać mu szansę odejścia od rolnictwa, musi korzystać z inspiracji praktyków, w odróżnieniu od przeróżnych hybryd zrodzonych przy biurkach urzędników, czy podyktowanych przez elementy skrajnie radykalne w wyniku konfrontacji.

Rolnictwo liczy sobie około ośmiu tysięcy lat i równie długa jest tradycja nieufności rolników do polityków. Politycy na miarę Solona pojawiali się rzadko i jeśli przypadkiem ich koncepcje zwyciężały, tworzyli na długo podstawę potęgi swoich krajów. W Polsce od czasów Kazimierza Wielkiego mieszkańcy wsi nie mieli okazji do wyrobienia sobie zaufania do klas rządzących. W środowiskach wiejskich proporcje wierzących i niewierzących w dobre intencje i kompetencje władz są dokładnie odwrotne niż w kwestii wiary w Boga. Szanse tego dialogu wierzących z niewierzącymi są bodaj równie mizerne, jak szanse dialogu Kościoła z niewierzącymi. Czy zatem perspektywa wejścia do Unii Europejskiej stwarza nadzieję na jakieś wyjście z tego impasu? Osobiście wierzę, że przynajmniej częściowo jest to możliwe. Chwilowo jednak nie tylko rolnictwo stanowi najtrudniejszy element negocjacji z Brukselą, ale kolejne rządy przygotowały grunt do tego, by wynik referendum w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej mógł okazać się niepewny. W wyniku dotychczasowej integracji polskiego rynku z rynkiem unijnym rolnicy nie tylko utracili znaczną część krajowego rynku, ale dodatkowo systematycznie dowiadywali się o głębokiej niechęci i braku poparcia ze strony rodzimych elit politycznych, byli wyłącznie upokarzani i obarczani odpowiedzialnością za wszystkie błędy popełniane przez polityków. W skąpych informacjach na temat perspektywy wejścia do Unii Europejskiej „informowano” ich o tym, że europejska troska o rozwój wsi była błędem i że liczenie wsi na ewentualne korzyści z tytułu wejścia do Unii Europejskiej jest raczej nieporozumieniem. Początkowo mogło się zdawać, że referendum będzie tylko formalnością. Po tak znakomitym przygotowaniu znaczna część wiejskiego elektoratu w referendum odpowie zapewne NIE. W społeczności wiejskiej żadne Radio Maryja nie wzmacnia tak skutecznie opcji antyeuropejskiej, jak informacje rządowe. Oczywiście nie chodzi tylko o obecny rząd, mamy tu do czynienia z długotrwałą już



tendencją utrzymującą się ponad partyjnymi podziałami.

Osobiście jestem przekonany, że Unia Europejska to nie tylko szansa skorzystania z cudzych pieniędzy na naprawianie własnych błędów, ale na dłuższą metę nadzieja na zmianę mentalności naszych elit politycznych. Z tego powodu społeczność wiejska ma powody, by w referendum na temat przystąpienia do Unii Europejskiej głosować tak, jak proponują politycy Unii Wolności, AWS czy SLD. Większość mieszkańców wsi nie zdaje sobie jednak z tego sprawy i nie wierzy w to, że ze strony Unii Europejskiej może ją spotkać cokolwiek dobrego.

W lipcu dość niespodziewanie, stojący na czele komisji rolnej Unii Europejskiej, Franz Fischler, wystąpił z propozycją liberalizacji handlu żywnością, a więc szybkiego procesu likwidowania ceł i dopłat do eksportu w ramach stopniowo powiększanych kontyngentów, z zamiarem uzyskania pełnej liberalizacji w ciągu ośmiu lat. Ta propozycja może być niebywale korzystna, pod warunkiem, że strona polska będzie umiała walczyć o swoje interesy. Ktokolwiek interesował się historią Unii wie również, jak trudne bywały negocjacje w sprawie cen i kwot połowów śledzi, cen wieprzowiny czy baraniny. Spory o pietruszkę były tu znacznie poważniejsze niż spory o wartości. Niektórzy polscy dyplomaci mogą się poczuć urażeni z powodu takiej degradacji ich dyplomatycznej misji i uznać, że interesów rolników powinna raczej pilnować niewidzialna ręka. Obrona polskich interesów na rynku handlu żywnością to nie tylko negocjacje, ale i walka z jednej strony o podniesienie norm sanitarnych, by sprostać unijnym normom, oraz umiejętność pokonywania biurokratycznych sztuczek, przy pomocy których na unijnym rynku próbuje się utrudniać życie przeciwnikom. (Często zarzuty na temat np. sanitarnych warunków produkcji przybierają absurdalne wręcz formy i stanowią osobliwą technikę konkurencji handlowej.)

Po propozycji Fischlera na łamach prasy polskiej było sporo spekulacji na temat motywów, którymi kierowała się Bruksela. Słusznie, jak sądzę, zakładano, że Bruksela próbuje tą drogą zmniejszyć wydatki z kieszeni zachodniego podatnika na modernizację najbardziej zaniedbanych przez polskich polityków segmentów polskiego społeczeństwa.

Ukrywa się tu założenie, że jeśli dochody z polskiego rolnictwa wzrosną, polska wieś będzie mogła w większym stopniu sama ponosić koszty wychodzenia z cywilizacyjnej zapaści. Założenie to w kraju, w którym Urząd Antymonopolowy jest instytucją właściwie bierną, w którym rolnicza spółdzielczość jest karykaturą, zaś wysiłki ustawodawców zmierzają do jej całkowitej likwidacji, w którym producenci rolni są niezorganizowaną lub bardzo źle zorganizowaną masą, zdolną do buntu, ale nie zdolną do systematycznych pertraktacji z przedstawicielami przemysłu przetwórczego, może się okazać nieprawdziwe.

Jeśli Pakt dla Wsi jest ideą, która w bardzo mglistej postaci dotarła do społeczności wiejskiej, to dyskusje na temat liberalizacji handlu żywnością z Unią Europejską są tu zupełną abstrakcją. Nie widać tu nawet namiastki dialogu niewierzących z wierzącymi. Praktyczna informacja dociera do znikomej części rolników. O reszcie można powiedzieć, że jest sama sobie winna, bo nie czytuje stosownych stron w Internecie (najlepiej po angielsku), bo słucha bałamutnych doniesień Radia Maryja czy propagandy Leppera.

Można poważnie traktować ten styl analizy, ale wówczas trzeba zawczasu przygotować się do przegranej kolejnej szansy. Prasa centralna reaguje wzmożoną niechęcią do rolników na każdy ich dramat. Autorzy artykułów na ten temat znajdują tysiące wyjaśnień na wszelkie przykłady niedotrzymywania pisemnych umów, karygodnych zwłok wypłat należnych pieniędzy, notorycznego braku ochrony prawnej mieszkańców wsi, skandalicznego lekceważenia czasu rolników przed punktami skupu.

W większości krajów zachodnich tego typu problemy w znacznym stopniu zlikwidowała spółdzielczość oraz parlamentaryzm, a dokładniej fakt, że w okresie wyłaniania się nowego podziału pracy na wsi silne partie chłopskie były liczącym się elementem sceny politycznej. W ubiegłym stuleciu oraz na początku naszego wieku w rozwoju wiejskiej spółdzielczości niemałą rolę odegrali protestanccy pastory oraz księża katolicy. Podczas gdy hierarchie Kościołów z reguły były niechętne ludowej oświacie i nowym chłopskim organizacjom, wielu kapłanów miało w tej sprawie własne zdanie i włączało się w organizację nowych form aktywności



gospodarczej na wsi. Były to formy samoobrony przed wilczymi prawami kapitalizmu, poprzez eliminowanie pośredników i tworzenie wieloszczeblowych więzi producentów. Tamta spółdzielczość wiejska była również swoistym ruchem obrony praw konsumenta, była próbą obrony przed anonimowym i nie zawsze uczciwym dostawcą towarów przemysłowych.

W dzisiejszej Polsce, w obliczu dramatu wsi, samoobrona jest hasłem chwytliwym. Fakt, że ruch skupiony wokół Andrzeja Leppera przyjął takie formy i takie rozmiary, jest po części konsekwencją błędów popełnionych przez elity polityczne, a po części efektem rozbicia więzi społecznych w środowiskach wiejskich. Tych pozytywnych więzi nie tworzy dziś ani Kościół, ani szkoła, ani rolnicze związki, ani partie polityczne. Jest gorzej, wszystkie te organizacje, z Samoobroną Leppera na czele, budują swoją siłę na podsycaniu nieufności do innych. Więź lokalna, skutecznie rozbita w czasach komunistycznych, dodatkowo nadwątlona przez telewizję i kurczenie się ośrodków życia społecznego, a wreszcie przez erupcję partyjniactwa, odżywa w sporadycznych akcjach protestu. Znikły jednak codzienne formy kooperacji i zanikła wiara w możliwość sąsiedzkiej pomocy. Redaktor Giedroyc pisał do mnie o idei nakłonienia władz kościelnych, aby wprowadzić w seminariach dla duchownych kursy organizacji życia gospodarczego na wsi. Jestem przekonany, że taka idea miałaby silne poparcie biskupa Andrzejewskiego, może jeszcze kilku innych biskupów, ale czy znalazłaby uznanie w oczach księży kierujących seminariami, czy znalazłyby się kadry nauczycieli, a wreszcie, czy tego rodzaju kursy zdobyłyby popularność wśród kleryków?

Dziś w wielu wsiach i małych miasteczkach obserwuję ponure zjawisko – ubożeniu wsi i centrów, które niegdyś żyły z obsługi rolnictwa, towarzyszy widoczny wzrost zamożności Kościoła. Znajduje to wyraz nie tylko w ekstrawaganckim nieraz wystroju świątyń, ale i w ostentacyjnym często rozbudowywaniu plebanii, których rozmiary nierzadko konkurują z samymi kościołami. Co więcej, to ostentacyjne budownictwo jest bardzo często częściowo wspierane z gminnych budżetów, a występujący na publicznych spotkaniach księża są często inicjatorami wydawania publicznego grosza na różne

pomniki, tablice pamiątkowe i priorytetową modernizację ulic i dróg prowadzących do miejsc kultu.

Jestem głęboko przekonany, że w dzisiejszej Polsce są kapłani, dla których postać księdza Wawrzyniaka jest wzorem osobowym. Ich sława najwyraźniej nie wykracza poza własną wieś, ich działalność nie zyskuje szczególnego zainteresowania hierarchii kościelnej, ani prasy i tym samym nie dociera do świadomości innych księży. Na obecnym etapie możemy tylko marzyć o pojawieniu się w znaczącej ilości wiejskich księży, gotowych podjąć próbę odbudowy pozytywnych więzi lokalnych.

Niewierzący w możliwość zmian skupiają się na wsiach wokół Samoobrony, zaś próby ograniczenia popularności tego związku jako żywo przypominają egzorcyzmy. Tymczasem po bardzo mokrej wiośnie, po której przysłała długa susza, polskie grona gniewu nabrzmiały jeszcze bardziej. Po hodowcach świń i producentach zboża, kolejną grupą zdesperowanych są producenci rzepaku, a niebawem dołączą do nich producenci buraków cukrowych. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że dodatkowym dramatem w odczuciu mieszkańców wsi jest reforma oświaty. Nikt nie ma tu złudzeń, że w najbliższych latach dochody z rolnictwa wzrosną, przeciwnie, ludzie spodziewają się dalszej pauperyzacji. O reformie oświaty mieszkańcy wsi twierdzą, że tylko jedno jest w niej absolutnie pewne – wzrost kosztów nauki dzieci, wzrost opłat za internaty i dojazdy, dalszy wzrost kosztów podręczników. Innymi słowy, ludzie mają coraz częściej poczucie, że przyszłość ich dzieci rysuje się w jeszcze czarniejszych kolorach niż ich własna.

Wiesław Kęcik ma rację, trzeba z tymi ludźmi rozpocząć prawdziwy dialog. Kto ma ten dialog rozpocząć, co można powiedzieć, żeby nie były to kolejne puste obietnice? Pamiętajmy, że chodzi o znaczącą część społeczeństwa i o to, że jeśli nie przełamie się nieufności tej części społeczeństwa, sami możemy powiedzieć NIE Unii Europejskiej. Ta ostatnia możliwość staje się z każdym miesiącem bardziej realna.

*Andrzej KORASZEWSKI*



## Po dziesięciu latach

Po oddaniu władzy przez komunistów przed 10 laty, tzw. plan Balcerowicza rzeczywiście nadał Polsce dobre tempo rozwoju. Nie była naturalnie Polska jedynym krajem transformacji, który – jak to językiem sportowym mówią żurnaliści – „ostro poszedł do przodu”; nie osiągnęła też wówczas takich wskaźników wzrostu PKB jak kraje Azji Południowo-Wschodniej czy ciągle jeszcze komunistyczne Chiny. Sam Leszek Balcerowicz nie ukrywał, że aby w rozsądnej perspektywie czasowej „dogonić Europę”, musi polski wzrost produktu krajowego być 2-3-krotnie wyższy od średniego wzrostu w krajach unijnych, a członkostwo Polski wymaga bardzo dogłębnych reform. Trzeba jednak ze smutkiem skonstatować, że całkowicie zawiodyły wywodzące się z obozu posierpniowego elity opiniotwórcze. Zwłaszcza, gdy złotówka stała się już pieniądzem częściowo wymienialnym, niektórzy zaczęli się bogacić, w sklepach pojawiła się obfitość importowanych towarów luksusowych, a w nowych, licznych pubach – zachodnie trunki, dziennikarze wiodących mediów polskich wpadli w amok propagandy sukcesu. Mianowano Polskę „tygrysem Europy”, twierdzono, że nawet państwa zachodnie mogą się od nas uczyć, a nasze wejście do Unii w roku 2000 traktowano jako przesądzone, choć – o czym pisałem również na łamach *Kultury* – na Zachodzie daty tej nikt nie traktował poważnie. Niczym Feniks z wojennych popiołów odrodziło się dawne przekonanie o mocarstwowości Polski, a także o naszej wyjątkowości, zwłaszcza w dziedzinach zależnych od indywidualnego gustu czy słabo sprawdzalnych (stąd zabawne twierdzenia, że polskie dziewczyny są najpiękniejsze,

poliska kuchnia najlepsza na świecie, polscy artyści wiodący, polski wywiad genialny i ratujący nawet Amerykanów etc.). Humory wprawdzie trochę zepsuło przejęcie władzy przez SLD-PSL, ale postkomuniści przezornie nie zmienili kierunku polskiej polityki zagranicznej czy gospodarczej, a trudności będące pozostałościami komunizmu, starali się omijać lub traktować w sposób paliatywny. Można więc było nadal głosić tezę, jacy to jesteśmy wspaniali, a zarysowujące się już problemy tłumaczyć tym, że „oni” niestety znów są u władzy. Sytuacja zmieniła się we wrześniu 1997, gdy tzw. obóz posierpniowy powrócił do władzy. Propagandyści mediów związanych z tym obozem przemilczeli oczywiście, co zachodni analitycy i publicyści pisali o AWS i że największą szansę dla Polski widzieli w rządach koalicji SLD-UW. W euforii przygotowań do procesu określonego skrótem TKM dawano do zrozumienia, że dopiero teraz stanie się Polska krajem mlekiem i miodem płynącym, a w dodatku zlustrowanym, zdekomunizowanym i gotowym do ewangelizacji pogańskiej Europy. Gdy azjatycki kryzys finansowy dotarł do Rosji, eksplodując tam z niespotykaną gdzie indziej siłą, ideologiczne względy i zwykła pycha kazały głosić polskim żurnalistom, że dla nas nie będzie miało to żadnych konsekwencji. Ostrzeżenia przed propagandą sukcesu zdarzały się wprawdzie (np. w „Notatkach Redaktora” z nr 4/99 *Kultury*), ale rzadko, i czytelnik poważnych polskich dzienników, tygodników oraz miesięczników karmiony był komentarzami, z których wynikało, iż żadnego kryzysu być nie może, a Europę dogonimy już, już za chwilę. Przyjrzyjmy się więc dokładniej, jaka jest nasza pozycja w tym chwalebnym wyścigu.

### *Jak dogoniamy Europę?*

Z publikowanych często wyliczeń wynika, że aby poziom zamożności Polski zbliżył się do poziomu najbiedniejszych państw Unii – Grecji i Portugalii – wzrost gospodarczy naszego kraju kształtować się musi na poziomie 7-8% PKB przez 10 lat. Tymczasem w roku ubiegłym, a więc w pierwszym pełnym roku rządów obecnej koalicji, wzrost ten wyniósł 4,8% (choć rząd zakładał 5,6%). Do szczególnego



niepokojąco jednak systematyczna tendencja malejąca. I tak w pierwszym kwartale 1998 wzrost wyniósł 6,4%, w drugim 5,3%, w trzecim – już tylko 4,9%, w czwartym – zaledwie 2,9, a w pierwszym kwartale roku obecnego osiągnął żałosne 1,5%. Na cały rok bieżący rząd polski planował wzrost 5,1%, ale dziś nie wierzy w to nikt, ani w Polsce, ani poza jej granicami. Życzliwy Polsce EBRD (European Bank for Reconstruction and Development) zakłada, że polski wzrost wyniesie w roku bieżącym 3% (a np. na Węgrzech 4,2%); bardziej krytyczni analitycy nie wykluczają nawet wzrostu tylko 2,5%. W kraju dopiero rozwijającym się oznaczać to musi spore obniżenie standardu życia, który i tak nie jest w Polsce wysoki. Warto przypomnieć – gdyż fakt ten się u nas też przemilcza – że zamożność Polski plasuje się poniżej średniej dla Europy Wschodniej: w roku 1997 polski PKB *capita* wynosił tylko 37% średniej Unii Europejskiej, a więc mniej niż w Słowenii (68%), Czechach (64%), na Węgrzech (49%), czy Słowacji (46%). Jednocyfrowa inflacja (w roku bieżącym ma wynieść 7%), będąca jedynym właściwie sukcesem gospodarczym obecnego rządu polskiego, jest w dużej mierze łącznym efektem rosyjskiego kryzysu (załamanie się eksportu polskiej żywności spowodowało pewien spadek jej cen na rynku wewnętrznym) oraz zmniejszonego popytu wewnętrznego na wszystko (stąd i spadek produkcji przemysłowej w pierwszych pięciu miesiącach tego roku). Szczególnemu załamaniu uległa produkcja budowlano-montażowa: w tym okresie 1999 oddano do użytku prawie o 26% mieszkań mniej niż w analogicznym okresie 1998. Ponura liczba, gdy się pamięta o zupełnie katastrofalnej sytuacji mieszkaniowej w naszym kraju. Z zachodniej perspektywy niepokojąco wyglądają też budżetowe problemy obecnego polskiego rządu. W maju 1999 deficyt wyniósł już 78% deficytu zaplanowanego na cały rok, a w pierwszej połowie wyniesie prawdopodobnie aż 92% deficytu całorocznego. Leszek Balcerowicz stwierdził z właściwą mu pewnością siebie, że nie jest to niczym niezwykłym, gdyż w pierwszej połowie roku budżet ma zawsze więcej wydatków niż w drugiej. To prawda, ale różnice nigdy nie są aż takiej skali. Nasuwa się tu ponadto pytanie następujące: dlaczego np. pod obecnymi rządami deficyt w dwóch tylko pierwszych

miesiącach 1999 wzrósł lawinowo do 57,7% deficytu całorocznego, a pod rządami poprzedników wynosił w takim samym okresie 10,1% (1996) czy 11,4% (1997). Oczywiście można to tłumaczyć wydatkami wymuszonymi przez protesty społeczne, interwencyjnym skupem wieprzowiny, subwencjami dla samorządów, dla zadłużonych wielkich zakładów, dla Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, ale – powiedzmy sobie szczerze – nie są to wyjaśnienia satysfakcjonujące zachodnich obserwatorów. Przy okazji warto nadmienić, że interesująca byłaby odpowiedź na pytanie, kto w Polsce może nie płacić składek na ZUS i dlaczego uchodzi mu to na sucho. Na dłuższą metę nie da się też dofinansowywać tłustej i niezdrowej wieprzowiny, której spożycie już nawet w Polsce spada, a pożytek z kosztownej reformy administracyjnej chwilowo mają tylko rajcy różnych szczebli, pobierający nader wysokie apanaże.

Chociaż liberałowie UW zapowiedzieli falę wielkich prywatyzacji, a Leszek Balcerowicz w wywiadzie dla *Dagens Nyheter* błysnął nawet aforyzmem, że sprywatyzowane ma być wszystko z wyjątkiem rządu, zachodni analitycy skonstatowali, że obecny rząd centrowo-prawicowy w Polsce wołał wprawdzie rozpocząć wielkie reformy samorządu, ubezpieczeń czy służby zdrowia, których koszt z natury rzeczy poniosą wszyscy, a oszczędzić dobrze zorganizowane i bojowe grupy robotnicze wielkich zakładów pracy. Dla prywatyzacji rok ubiegły nie był dobry (sprywatyzowano tylko 16 przedsiębiorstw, a planowano – 26). W roku bieżącym nabiera ona rumieńców, ale i prywatyzacje i restrukturyzacje są selektywne, bo oszczędzające najbardziej bojowych pracowników, tzw. dinozaurów. Można dyskutować o zasadności równoczesnego wprowadzania czterech wielkich reform, które z natury rzeczy są kosztowne (np. w pierwszym kwartale 1999 subwencje dla samorządów wyniosły 20,7% wydatków budżetu) lub dyskutować, która ze źle przygotowanych reform jest najgorsza. Nie zmienia to jednak faktu, że postkomunistyczne dinozaury i tak się nie utrzymają, a pożerają sumy krociowe; ot takie kopalnie – 1,9 miliardów zł w roku ubiegłym. W roku bieżącym nasze sławne górnictwo przyniesie już 3,3 miliardy zł strat, a więc o prawie 2 miliardy więcej niż przewidywały założenia jego reformy. Wśród służb publicznych



ponurym rekordzistą są PKP, którym od dawna nie opłaca się przewozić pasażerów, a których straty były w ubiegłym roku wyższe o 1584% (*sic!*) niż w roku 1997. Do poważnego wytracania dynamiki gospodarczej kraju przyczyniają się właśnie straty oraz narastające w szybkim tempie długi niezreformowanych przedsiębiorstw publicznych. Ich wynik finansowy netto był w 21 branżach w roku 1998 aż o 58,1% gorszy niż w 1997. Przy okazji ważna dygresja. Dla każdego państwa prywatyzacja jest źródłem dochodów dużym, ale przejściowym: po prostu po pewnym czasie nie ma już czego prywatyzować. Dlatego też dochody z prywatyzacji przeznacza się często na różne kosztowne, wymuszane przez rozwój technologiczny tzw. strategiczne inwestycje, w których – jak dotychczas – nikt państwa wyręczać nie chce (autostrady, sieci światłowodów i inna infrastruktura informatyczna kraju, komputery dla każdego ucznia i szerokopasmowe łącza Internetu dla szkół) oraz na wydatki, na które w normalnym budżecie nigdy nie ma pieniędzy. Przeznaczanie dochodów z prywatyzacji na łatanie bieżących dziur przypomina samobójczą taktykę osobnika, wyprzedającego własny majątek na cele bieżącej konsumpcji. Prześledzenie tego, co w Polsce dzieje się z pieniędzmi uzyskiwanymi z prywatyzacji (w tym roku ma to być 15 miliardów zł) jest tematem ważnym i postaramy się do niego powrócić w *Kulturze*.

Osobnym wielkim problemem jest deficyt naszego handlu zagranicznego, który w roku ubiegłym wyniósł 18 miliardów dolarów, a więc był o 2 miliardy większy niż w roku 1997. W roku bieżącym też nie będzie lepiej, gdyż na skutek kryzysu rosyjskiego spadło nie tylko tempo inwestowania, ale także zmalały obroty wymiany towarowej z zagranicą (oczywiście dotyczy to w pierwszym rzędzie eksportu). Nie mamy ani jednego sztandarowego produktu, kojarzonego na Zachodzie z Polską i nie umiemy sprzedawać nawet tego, co już produkujemy na przyzwoitym poziomie. Marketing nie jest zresztą mocną stroną Polaków, o czym świadczą też smętne liczby dochodów z zagranicznej turystyki w Polsce. Na niezbędne powstrzymanie importu też nikt chwilowo nie ma pomysłu.

### *Jak byt kształtuje poglądy?*

Tzw. społeczne notowania najważniejszych instytucji polskiego państwa systematycznie maleją. Prace rządu od początku jego kadencji źle ocenia ponad połowa społeczeństwa (54% wg badań CBOS z lipca br), a aż 62% Polaków dyskwalifikuje działalność obecnego Sejmu (trudno się zaiste dziwić!). Zwolennikami obecnego rządu jest już tylko 30% respondentów (w czerwcu było ich 36%). Aż 58% Polaków uważa, iż sytuacja ich kraju zmierza w złym kierunku. Oceny te mają oczywiście wpływ na preferencje polityczne. I tak wg sondażu CBOS z połowy lipca poparcie dla SLD deklaruje 33%, dla AWS – 20%, dla UW – 7%. Na wymowność tych liczb rządząca koalicja reaguje zapowiedziami roszad personalnych (planowana jesienna rekonstrukcja gabinetu, z ewentualną wymianą premiera) oraz pseudoracjonalizacjami, które wywołują wręcz osłupienie. Niejaki Tomasz Wefnicki z AWS oświadczył na przykład, że winne są media, które nie chcą dostrzec pozytywnych dokonań rządu i premiera. A przecież nawet piszący te słowa, przeciętny czytelnik prasy polskiej, posiada w swoim domowym archiwum stopy artykułów dowodzących, że w Polsce jest cudownie, a o żadnym kryzysie mowy nie ma i być nie może (no bo nasi rządzą) – tej propagandzie sukcesu nie oparła się nawet nobliwa *Odra*. To prawda, że opanowane przez UW czołowe pisma lubią „przykładać” ministrom z AWS, głównie za brak gorliwości w realizowaniu „czystej” linii liberalnej, ale równocześnie gromko negują istnienie dekonjunkury. Z wielką wyrozumiałością traktowano ataraksję premiera Buzka, którego jeszcze niedawno różni intelektualiści lansowali na prezydenckiego kandydata całej centro-prawicy, a czołowi publicyści polscy pisują o wicepremierze Balcerowiczu „ekonomista światowej sławy” (przynajmniej wg Stefana Bratkowskiego), w tonie wręcz panegirycznym. Czy te kilogramy, w sensie dosłownym, dytyrambów na cześć obecnej sytuacji kraju jeszcze nie wystarczają? Czy nie równoważą krytyki *Trybuny*, tygodnika *Nie* i mediów skrajnej prawicy? I czy rzeczywiście nie widać innych, niż rzekoma zła wola mediów, przyczyn rosnącego braku zaufania i niechęci ludności do koalicyjnej władzy?



Cechą wszystkich krajów rozwijających się są wielkie różnice między poziomem życia w dużych miastach, zwłaszcza w stolicy, a standardem tzw. prowincji. Dotyczy to także Polski, w której Warszawa jest wyraźnie uprzywilejowana (np. wyższe są dochody, a bezrobocie wynosi w naszej stolicy poniżej 3%, gdy w całym kraju średnio 11,8%). A przecież wg oficjalnych danych blisko połowa mieszkańców Warszawy żyje w ubóstwie (dochody poniżej minimum socjalnego), a 6 % – w nędzy (dochody poniżej minimum egzystencjalnego). Aby to zobaczyć, wystarczy przejść się po różnych dzielnicach stolicy, nie zapominając o istnieniu Warszawy prawobrzeżnej. Dla pogłębienia obrazu dobrze jest też np. ustalić, jaki procent ludności nie realizuje recept w aptekach (i to nawet w wypadku chorób nowotworowych) oraz w razie nagłej potrzeby boi się wezwania karetki pogotowia z lekarzem (gdyż z reguły, choć bezprawnie, wymaga się od nich opłaty za jej przybycie). Jaki wpływ na wzrost śmiertelności ma fakt, że 1/5 Polaków rezygnuje z różnych usług medycznych po prostu z braku pieniędzy? I skąd mają się brać kapitałowe zasoby ludności, skoro – wg badań Demoskopu z lipca br. – tylko 21% Polaków może odkładać pieniądze (w tym 16% – jedynie drobne sumy); wg tych samych badań aż 35% Polaków podaje, iż ich sytuacja materialna pogorszyła się w ciągu ostatniego roku. Pożyteczne byłoby też ustalenie, jaki procent ludności pracuje za wynagrodzenie niższe od gwarantowanej płacy minimalnej, która w Polsce wynosi 650 zł (emigracyjnym czytelnikom *Kultury* należy tu od razu wyjaśnić, że w niektórych branżach, np. w przemyśle lekkim, zarobki pracownicze są niewiele wyższe od płacy minimalnej). Jakie warunki płacy i bhp mają ci, którzy – wg Państwowej Inspekcji Pracy – w aż ponad 60% tak wielbionych przez liberałów małych firm (do 20 zatrudnionych) pracują na niesprawnych technicznie maszynach, a do tego często w szopach, piwnicach, tunelach foliowych, bez wentylacji, a nawet stosownego oświetlenia?

Odpowiedź na powyższe pytania mogłaby przynajmniej wycinkowo zarysować obszar polskiej biedy. W dodatku ważny jest nie tylko jej obecny rozmiar, ale nader realna perspektywa jego zwiększenia.

### *Czy będzie jeszcze gorzej?*

W paru najbliższych latach na polski rynek pracy wejdzie w całości wyż demograficzny z lat 1979-1985, a więc blisko 5 milionów młodych ludzi, mających nadzieję na zatrudnienie (i mieszkania!). Równocześnie, w tym samym czasie, trzeba się liczyć z masowymi zwolnieniami z pracy w branżach poddawanych niezbędnej restrukturyzacji. Gdyby Polska, kraj ciągle jeszcze bardzo słabo rozwinięty, nagle osiągnęła nowoczesną strukturę zatrudnienia i wydajność dzisiejszej Unii Europejskiej, to pracy w rolnictwie, przemyśle ciężkim, branży paliwowo-energetycznej i przemyśle lekkim pozbawione zostałyby łącznie 3,9 miliony osób! Do osiągnięcia poziomu Unii jeszcze nam bardzo daleko, ale jakieś restrukturyzacje następują, będą przybierać na sile i zbiorowe zwolnienia z pracy też będą się nasilać. Według prognoz najbardziej optymistycznych w ciągu najbliższych kilku lat pracę musi stracić przynajmniej 400 tysięcy osób. Liczbę tę trzeba dodać do szturmującego rynek pracy wyżu demograficznego. Najwięksi optymiści dzisiejszych sfer rządowych (zakładający wzrost PKB rzędu 5-6% każdego roku, w co nie wierzy nikt) uważają, iż rozwijająca się gospodarka może dać zatrudnienie dla 45-50% wyżu demograficznego. Co z resztą??? Ważkie to pytanie nie tylko dla Polski, ale także dla Unii Europejskiej, której członkiem może Polska zostać około roku 2005. O tym wszystkim pisałem obszerniej w nr 1-2/99 *Kultury*. Tu dodam tylko jeszcze jedną konstatację. Premier Buzek powiedział w końcu maja br., że w ciągu najbliższej dekady trzeba stworzyć w Polsce 3-4 miliony nowych miejsc pracy. Ponieważ obecna polityka rządu nie wskazuje (o czym za chwilę), aby państwo polskie zdolne było do takiego gigantycznego wysiłku, na Zachodzie dość powszechna jest opinia iż problem tem Polacy sobie odpuścili, gdyż mają nadzieję, że po wejściu do Unii zbędne miliony ludzi wyjadą po prostu za chlebem (dziś za granicą pracuje czasowo jakieś 700 tysięcy Polaków, z czego pół miliona nielegalnie.). Jeżeli władze polskie rzeczywiście żywią takie nadzieje, to są one płonne. Co więcej – jeżeli problem wielkich nadwyżek naszej siły roboczej nie zostanie przynajmniej częściowo rozwiązany do roku



2005, to członkostwo (przynajmniej pełne) Polski w Unii znówu się odwlecze.

W połowie ubiegłego roku rejestrowane bezrobocie wynosiło w Polsce 9,5%; w połowie roku obecnego osiągnęło już 11,8%. Trzeba nadmienić, że gdyby bezrobocie mierzono w Polsce np. według norm niemieckich, to wyniosłoby ono 14%. Po pełnym wejściu na rynek pracy wyżu demograficznego liczba bezrobotnych zwiększy się – bardzo skromnie licząc – o 1 milion 600 tysięcy osób. Trudno powiedzieć, jaka liczba ludzi zwalnianych z branż restrukturyzowanych znajdzie sobie nowe zajęcie. Jednak – licząc łącznie – trzeba zakładać, że w bliskim czasie może być bez pracy w Polsce aż 3,5 miliona osób! Nic chwilowo nie wskazuje, aby rząd polski potrafił uporać się z tym nowym ogromnym problemem.

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że nawet spory wzrost gospodarczy wcale nie musi pociągać za sobą wzrostu zatrudnienia; właśnie w krajach wysoko rozwiniętych obserwuje się tzw. *jobless growth*. Mamy to szczęście w nieszczęściu, że Polska jeszcze długo nie będzie krajem wysoko rozwiniętym, ale i tak zwiększenie zatrudnienia o 1% wymaga u nas wzrostu produkcji rzędu przynajmniej 2% rocznie. Na sam wzrost gospodarczy nie należy więc za bardzo liczyć.

Przykład krajów Unii pokazuje, że dziś najwięcej nowych miejsc pracy powstaje w branży IT (technologie informatyczne), ochronie środowiska, usługach rynkowych i tzw. małych mediach. Wszystko to są zajęcia wymagające umiejętności uczenia się i dość wysokich kwalifikacji, a więc przynajmniej wykształcenia średniego, wzbogaconego różnymi kursami zawodowymi. Tymczasem struktura polskiego bezrobocia jest wręcz unikalna w skali europejskiej: choć na wsi mieszka 38% ludności, to więcej bezrobotni stanowią już 46% ogółu i są to w dodatku osoby o bardzo niskim poziomie wykształcenia (blisko połowa młodzieży wiejskiej kończy jedynie szkołę podstawową, a średnie wykształcenie ogólne ma zaledwie 3%). Tacy bezrobotni nie nadają się do pracy w multimediami, reklamie, handlu internetowym i sektorach wykorzystujących tzw. wysokie technologie. Mówiąc szczerze nie nadają się nawet do produkcji tzw. zdrowej żywności.

W Polsce, jak we wszystkich krajach rozwijających się, istnieją bardzo duże różnice wręcz cywilizacyjne między różnymi regionami kraju (ostatecznie nawet otaczające Warszawę Mazowsze jest właściwie tzw. Polską B). Już dziś widać, że w regionach gdzie bezrobocie jest wysokie (nawet powyżej 20%), będzie się ono jeszcze zwiększać. Natomiast katastrofalna sytuacja mieszkaniowa w całym kraju skutecznie uniemożliwia mobilność siły roboczej, przenoszenie się „za pracą” do regionów niskiego bezrobocia. W dodatku świadome, ideologicznie motywowane, odstępianie od prowadzenia jakiegokolwiek państwowej polityki mieszkaniowej ma też bezpośredni wpływ na poziom bezrobocia; budownictwo jest wszak jednym z najpracochłonnějších sektorów i właśnie jego rozwój mógłby się przyczynić do stworzenia dużej ilości nowych miejsc pracy.

Problem grożącego nam bezrobocia jest tak poważny, iż jego rozwiązaniu powinna być podporządkowana cała strategia gospodarcza Polski (zaapelował zresztą o to w maju br. zespół doradców ekonomicznych prezydenta Kwaśniewskiego). Obecny rząd, który sam na siebie ukreślił bicz lustracji, wstrząsany jest najdzikszyimi oskarżeniami o agenturalność, a zajęty głównie łagodzeniem protestów społecznych i wewnątrzkoalicyjnymi sporami o stanowiska. Chwilowo nic nie słyhać aby pracowano nad jakimś narodowym planem tworzenia nowych miejsc pracy i walki z bezrobociem.

### *Nie tylko bezrobotni ale i bezdomni*

Sytuacja mieszkaniowa Polaków jest ewenementem w Europie i to także Wschodniej; np. na Węgrzech na tysiąc mieszkańców przypada o 100 mieszkań więcej niż w Polsce, a pod względem ilości oddawanych mieszkań w stosunku do liczby ludności znajdujemy się na poziomie Rumunii. Obecnie 1,5 miliona polskich gospodarstw domowych nie posiada własnego mieszkania, a w roku 2004 będzie już ich 3 miliony. Aby zacząć rozładowywać ten unikalny brak mieszkań, powinno się ich budować 300 tysięcy rocznie. W roku 1998 oddano ich do użytku 75 tysięcy w całej Polsce, a więc mniej więcej tyle, ile potrzeba w samej tylko Warszawie (gdyby w



Warszawie wybudowano 70 tysięcy mieszkań, zaspokoiliby to najbardziej drastyczne braki – to oczywiście marzenie ściętej głowy, gdyż w naszej stolicy buduje się średnio 4 tysiące mieszkań rocznie). W dodatku liczba budowanych mieszkań jest z roku na rok niższa, np. w ubiegłym roku oddano ich dwa razy mniej niż w roku 1992, w pierwszych pięciu miesiącach br. – o 26% mniej niż w analogicznym okresie 1998 etc. Nic dziwnego, że choć inflacja w roku ubiegłym wyniosła 9%, to ceny mieszkań wzrosły w tym czasie o 30%. Obserwuje się przy tym szereg paradoksalnych zjawisk, np. wielki popyt na garsoniery, które przez bogatych kupowane są jako lokata kapitału i wynajmowane następnie za horrendalne ceny.

W czasie licznych wizyt w Warszawie wielokrotnie słyshałem z ust swoich różnych znajomych, z reguły związanych z UW, że „dość już stawiania lokatorskich blokowisk, mieszkanie trzeba sobie kupić”. Te kategoryczne wypowiedzi korespondowały z oświadczeniami różnych dygnitarzy o „odejściu od administracyjnego zaspokajania potrzeb mieszkaniowych” (jak to zgrabnie w wywiadzie prasowym ujął przewodniczący sejmowej Komisji Polityki Przestrzennej, Tadeusz Biliński). Zadałem sobie trud sprawdzenia jak to się kupuje nowe mieszkanie w Polsce. Ponieważ *Kultura* adresowana jest do czytelników mieszkających nie tylko w Polsce, ale i na emigracji, konieczne jest tu pewne wyjaśnienie odnośnie stosunków krajowych.

Sprzedają mieszkania w naszym kraju zajmują się głównie tzw. developerzy, których działalność wielce jest osobliwa: nie zaciągają oni kredytu bankowego, ale budują z wpłacanych ratalnie środków przyszłego nabywcy i najchętniej oddają mieszkania w stanie... surowym. Klient musi następnie takie mieszkanie wykończyć we własnym zakresie (a koszt tych prac i materiałów to jakaś 1/5 wartości mieszkania), naturalnie od chwili otrzymania kluczy uiszczając już opłaty za lokal, w którym jeszcze nie może zamieszkać.

Oczywiście można kupić też mieszkanie wykończone. Ceny takich mieszkań są różne. Dziennikarze którzy dostąpili neoliberalnej iluminacji, pisują często z zachwytem, iż w Warszawie sprzedaje się już apartamenty i tzw. *penthouse'y* w cenie 2 tysięcy dolarów za metr kwadratowy; ba, zdarzają

się i tacy przedstawiciele grupy, nazywanej w Polsce fałszywie klasą średnią, którzy za 1 m kw. płacą i po 4 tysiące dolarów, gdyż tyle warte jest podnoszące status lokum w specjalnych, strzeżonych osiedlach. Nas jednak interesują tu wykończone mieszkania dla ludzi normalnych. Ich cena kształtuje się w granicach 4-7 tysięcy zł za 1 m kw. Przyjmijmy z tego przedziału cenę najniższą – oznacza ona, że za bardzo skromne, 2-pokojowe mieszkanie o powierzchni 50 m kw. trzeba zapłacić 200 tys. zł. Niedawno prasa krajowa podała, że w roku ubiegłym przeciętny dochód miesięczny netto na jednego mieszkańca stolicy wynosił 707 zł. Ponieważ zaś niezbędne wydatki miesięczne na jedną osobę zamykają się sumą 620 zł, umożliwiało to zaoszczędzenie aż 80 zł. Dwoje małżonków, dysponujących takim przeciętnym dochodem każdy, musiałyby więc na takie skromne, 2-pokojowe mieszkanie oszczędzać sto lat! Porzućmy jednak takich nieszczęśników, którzy – zdaniem neoliberalów – zasługują na bezdomność, a zajmijmy się przykładem kogoś dobrze sytuowanego. Syn moich warszawskich znajomych jest młodym chemikiem, zatrudnionym w znanej firmie i zarabiającym brutto 2680 zł. Niedawno ukończył studia i jest właśnie w tym wieku oraz sytuacji, które powinny umożliwić zdobycie pierwszego w życiu mieszkania. Załóżmy, że mógłby na to uzyskać kredyt bankowy, co wcale nie jest pewne, gdyż choć zarabia sporo powyżej średniej krajowej, to z punktu widzenia banków w Polsce zalicza się do podejrzanych biedaków, którym kredytu udzielać raczej nie należy (*sic!*). Gdyby jednak zdarzył się cud udzielenia mu kredytu, to i tak wynosiłby on 70% wartości mieszkania, a więc na wspomniane powyżej, skromne mieszkanie 2-pokojowe musiałby mieć własne 60 tysięcy zł. Chętnie dowiedziałbym się, skąd młody człowiek prosto po studiach ma mieć taką sumę. A przecież sytuacja materialna tego młodego chemika jest wyjątkowo dobra. Przekonanie piszącego te słowa, iż mieszkanie powinno być dostępne także posiadającym stałą pracę ludziom gorzej sytuowanym, np. nauczycielom, policjantom, a nawet pielęgniarkom, że katastrofalnej sytuacji – całkowicie uniemożliwiającej mobilność siły roboczej – nie rozwiąże się bez wielkiego, wręcz narodowego programu budowy tanich mieszkań lokatorskich, uznawane jest w Polsce najczęściej za relikwiny komunizmu.



### *Kapitalizm dla niektórych*

W ostatnich czasach przez prasę polską przetaczał się spór o planowane przez Leszka Balcerowicza obniżenie podatków. Powiedzmy tu od razu, że ekonomia nie jest nauką ścisłą, spór o fiskalizm nie jest rozstrzygnięty, a to, co sprawdziło się w jednym kraju, nie musi sprawdzić się w innym. I tak np. w Szwecji znaczne obniżenie podatku dochodowego od osób prawnych (jest niższy od najmniejszej stopy podatkowej od osób fizycznych) wcale nie zaowocowało bujnym rozwojem małych firm. Nawiasem mówiąc roli tych firm nie należy fetyszyzować: badania, jakie w Szwecji przeprowadzili na ten temat Alger Klasson i Glenn Hultman wykazują, że nie są one maszynkami zysku, rozwijają się na ogół tylko do wielkości ograniczonej rodzinnymi i towarzyskimi powiązaniem właścicieli, nie dbają o kształcenie personelu, są konserwatywne, mało innowacyjne i bardzo niechętnie zatrudniające osoby z wyższym wykształceniem (którego właściciele tych firm z reguły nie mają). Jednak wobec grożącej Polsce bomby bezrobocia trzeba stawiać i na małe firmy, a wysoki w Polsce podatek od osób prawnych powinien raczej być obniżony.

Zupełnie inaczej wygląda pomysł obniżenia podatku od osób fizycznych. Należy znowu zaznaczyć, że stosunek do podatków jest różny w różnych krajach i różnych grupach społecznych. Polacy pozbawieni społecznej solidarności, podatków nie lubią, podejrzewając z reguły, iż zawsze korzystają z nich jacyś drudzy, a nigdy oni sami. Jednak nawet przy takim nastawieniu pomysł obniżki podatków od osób fizycznych w wersji Leszka Balcerowicza\* jest

\* W innych krajach europejskich też można znaleźć ministrów finansów o konstrukcji psychicznej podobnej do Leszka Balcerowicza: są równie arogancy, kompetentni, osobiście uczeni, pozbawieni empatii i jakiegokolwiek wyczucia problemów społecznych. Problem jednak w tym, że trzymani są z dala od polityki partyjnej *sensu stricto* i nie są przewodniczącymi współzrządzającego ugrupowania. Mają nad sobą szefa swojej partii, z którym muszą się liczyć, a który zawsze może łagodzić zbyt drastyczne czy aroganckie wypowiedzi własnego ministra, a zwłaszcza te posunięcia, które są społecznie niebezpieczne. Polskim nieszczęściem jest, że Leszek Balcerowicz nikogo takiego nad sobą nie ma, a dla dużej części publicystów stał się tabu, którego krytykować nie wolno.

kuriozalny. Otóż najbogatszym ma się podatki zmniejszyć z 40% do 28% (czyli mają być opodatkowani według niższej stopy niż np. szwedzka sprzątaczką), a biedni, 60% podatników, mają nadal płacić 19% (przy czym odbierze im się ulgi: remontową, leczniczą i możliwość wspólnego opodatkowania małżonków). Ci, których nie stać na wykupywanie lekarstw i których dzieci nie każdego dnia mogą się najeść do syta, odebrali ten pomysł podatkowej redukcji dla najbogatszych niczym uderzenie w twarz. Politycznie jest on tak mało roztropny, iż wręcz należy się dziwić, że wysunięto go w chwili, gdy wskaźniki popularności rządu są wręcz rekordowo niskie.

Smecz napisał w czerwcowym numerze *Kultury*, iż wierzby razem z Leszkiem Balcerowiczem, że „bogata lokomotywa pociągnie biednych”. Nie jest to wykluczone, gdyż są społeczeństwa o tak niskim poziomie egoizmu i tak wysokim – solidarności, których proces ten – przynajmniej do pewnego stopnia – występował. Obawiam się jednak, że w Polsce bardziej prawdopodobny jest proces, który Ulrich Beck nazwał „brazylizacją” – od nazwy kraju, gdzie neoliberalizm wprawdzie zwyciężył, ale kosztem całkowitej erozji zasad demokratycznych (gdyż według europejskich pojęć nie jest demokratycznym społeczeństwem, w którym tylko niewielka mniejszość korzysta z dóbr cywilizacyjno-kulturowych w ogrodzonych i strzeżonych enklawach dobrobytu, a swoich polityków nie tyle wybiera, co kupuje). Ponieważ polskie Ministerstwo Finansów planuje także różnoraki wzrost podatków pośrednich (akcyza, VAT), więc odnosi się wrażenie, że wicepremier Balcerowicz chce jak najwięcej wyrwać wszystkim, gdyż wie, że silni i bojowi potrafią z kolei wyrwać z budżetu różne kąski dla siebie. Słabi tego nie potrafią, ale w myśl neoliberalnej doktryny sami są sobie winni.

W czasach późnego Gierka jeden z dowcipów głosił, że ponieważ trudności wzrostu nie pozwalają zbudować prawdziwego socjalizmu dla wszystkich, trzeba go choć przynajmniej zbudować dla niektórych. Po roku 1989 nikt już nie chciał budować socjalizmu, ale kapitalizm w Polsce też na razie udało się zbudować tylko dla niektórych. Miejmy nadzieję, że na tym się nie skończy.

Gotland, 29 lipca 1999

Stefan ABNER



## Glosariusz rosyjski (III)

### Kora

„Powiadają, iż wielki Piotr nazwał ten  
naród ptakami latającymi na drewnianych  
skrzydłach i żywiącymi się korą drzewną”.

Gawrił Dzierżawin

Kora drzewna, dajmy na to sosnowa... Zali jest o czym pisać? Kora jak kora – zdawałoby się – kora jaka jest, każdy widzi.

Pierwszy raz mnie tknęło w sołowieckiej bani, parę lat temu. Dwa pacany się tam poprzykały, być może wypili, a może tak, z niczego. W każdym razie szumu narobili, matem jeden drugiego obłożył, do kułaków doszło. A starik, co obok się wycierał, mruknął pod nosem: widać, że kaszy sosnowej nigdy nie chleptali...

Zapadła mi ta kasza sosnowa w głowę.

Minionej zimy, gotując się do wyprawy przez Białomorkanał, Jezioro Oniego i Wyg do Starej Ładogi, czytałem poźółkłe żurnaly z ubiegłego wieku – przeróżne *Izwiestija Obszcziestwa Izuczienija Ołonieckoj gubernii, Zapiski Impieratorskogo Russkogo Geograficzieskogo Obszcziestwa czy Cztienija w Obszcziestwie Istorii i Driewnosti Rossii* – wyszukując szczegóły o bycie ludzi niegdyś tam żyjących, w żurnalach bowiem naszego wieku można znaleźć tylko dane walki klas. Uwagę mą zwróciły wzmianki, powtarzające się jak refren, że ludność Karelii żywiła się korą drzewną, zwłaszcza w latach nieurodzaju. Na przykład Jefimienko, pierwsza w Rosji kobieta doktor historycznych nauk (z jej prac Marks z Engelsem czerpali

wiedzę o ruskiej *artieli*), otóż Aleksandra Jefimienko pisała, że „...w całej Rosji nie ma drugiego tak biednego narodu, jak Karelowie, oni jedzą chleb z sosnowej kory i pochlebkę ze słomy”. Różne były przyczyny tej biedy: trudny klimat dla rolnictwa, nadmierne podatki, brak soli...

Z drugiej strony są przesłanki, aby sądzić, że to nie bieda zmuszała Karełów do jedzenia kory, lecz – po prostu – smak sosny. W runach karelo-fińskiego eposu „Kalewala” można znaleźć taki dwuwiersz:

„Rybą smaczną się żywili  
I korą sosnową mięciutką”.

Chleb z sosnowej kory oraz pochlebka ze słomy nieraz zwracały uwagę moich poprzedników, włóczących się po Karelii w XVIII i XIX wieku. Podróżował tędy uczony Lepiechin i akademik Oziereckowskij, bywał tu Szachmatow, Dzierżawin i Priszwin... Niektórzy trafiali do Karelii z własnej woli, innych tutaj zsyłano. Dla przykładu Gawrił Dzierżawin. W 1785 roku – będąc ołonieckim gubernatorem odbył dwumiesięczną podróż po Karelii, to bryczką, to łodzią: z Pietrozawodska do wodospadów Kiwacza, upamiętnionych w słynnym wierszu „Wodospad”, potem po Oniego na Kizi i do Pudoża, dalej Wygorecja, tam zwiedzał skity Daniłowa i Leksina, stamtąd przez Powieniec i Sumskij Ostrog (dziś Sum-Posad) do Białego Morza. 22 sierpnia 1785 roku gubernator Dzierżawin nadał Kiemi oficjalny status miasta. Z podróży sporządził sprawozdanie pt. „Podjonnaja zapiska, uczinjonnaja wo wriemnia obozrienija gubernii prawitielem ołonieckiego namiestnicziestwa Dierżawinym”. Znaleźć w nim można wiele ciekawostek, między innymi różnego rodzaju przepisy kulinarne: „Korę po zdjęciu czyszczą, suszą na powietrzu, prażą w piecu, tłuką, dodają mąki, mieszają ciasto i pieką chleb”. Albo: „Biorą i drobno kroją słomę, suszą, tłuką i mielą, przesypują mąką i pieką chleb”. Nie dziw, że ludzie po takim chlebie „...puchną i zdając się dorodnymi, w rzeczywistości są słabosilni”. A żeby było weselej, z drzewa robili też gęśle i na nich grali. „Można zatem powiedzieć – rekapitułuje poeta – że sosna ich ogrzewa, sosna ich karmi, sosna takż i weseli”.



(Nawiasem mówiąc, Brat twierdzi, że korę sosnową do północnego jadłospisu wprowadzili pustelnicy prawosławni. Na pustyniach Północy ni oliwek nie ma, ni daktyli, jak w Egipcie czy Syrii. Ale coś przecież trzeba jeść! Ot, i wynaleźli starcy jadło północne – korę sosny, liść borówki, biały mech.)

Kora drzewna i słoma nie wyszły z tutejszego menu i w późniejszych czasach, bynajmniej. Stary Wasilicz opowiedział mi niedawno, jak się robi *soczeń* (rodzaj placka) z kory sosnowej. Jedli takie i w kołchozie „Nowe Życie” pod Kargopolem w latach 30-tych, tam norma żywieniowa wynosiła 300 gram ziarna (mokrego) na człeka, i w czasie wojny na *lesopowale* w zonach kargopolskich (gdzie siedział Gustaw Herling-Grudziński), skąd zeka przed Niemcami wywieźli, zaś ich baraki zajęli miejscowi chłopcy. Za młodzi byli na front, więc tyrali w lesie.

– Najpierw ścinasz młodą sosnę i zdejmujesz z niej zdrewniałą korę, potem struną od gitary lub bałajki ściągasz ostatni słoń drzewny, soczysty aż cieknie po brodzie, bo lepiej na świeżo smakuje, resztę suszysz, ubijasz w stępie i dodajesz mąki, zmrożonych, nawet zgnitych kartofli, można brzozywych opiłków, kłącza tataraku albo jagiel, wszystko razem wyrabiasz jak ciasto, na cienkie placuszki, w nie zawijasz okonia lub leszcza i pieczesz.

Parę dni temu, wracając z rybakki, Wasilicz się natknął w lesie sołowieckim na kikuty sosen odartych z kory...

Mariusz WILK

## O kiełkowaniu (demokracji) na pustyni

Był to z pewnością jeden z najbardziej bezproblemowych zamachów stanu zanotowanych w annałach współczesnej historii politycznej świata. Dokładnie cztery lata temu, pod koniec czerwca, jak co roku o tej porze, pakowaliśmy walizki szykując się na urlop w Europie. W dniu wyjazdu, 27 czerwca, zadzwonił ktoś znajomy, że dokonano przewrotu i władze w Katarze przejął syn dotychczasowego emira, szejk Hamad ibn Khalifa Al-Thani. Zdziwieni raczej niż zdenerwowani, podejrzewając spóźniony *prima aprilis*, wyruszyliśmy do miasta, aby naocznie sprawdzić, co się dzieje. Nie działo się nic, oprócz tego, że na kilka godzin zamknięto lotnisko. Nasz samolot miał odlecieć późnym wieczorem. Odleciał zgodnie z planem. O szczegółach przewrotu, który był raczej pałacowym przegrupowaniem, dowiedzieliśmy się w Polsce i Anglii.

Emir-senior, szejk Khalifa, już w roku 1992 powierzył synowi Hamadowi faktyczną kontrolę nad większością spraw wewnętrznych i zewnętrznych Kataru, z wyjątkiem skarbu państwa. Polityka zagraniczna szejka Hamada – zacieśnianie stosunków z Irakiem i Iranem, a także z Izraelem, co naturalnie nie mogło się podobać arabskim sąsiadom – okazała się jednak zbyt niezależna, by wzbudzić aprobatę starego emira. Zaczęły się rodzinne konflikty, stary chytrus usiłował odebrać to, co wolną ręką dał, ale było za późno. Hamad miał już spore poparcie społeczeństwa, zwłaszcza jego młodszej i lepiej wykształconej części. Szejk Khalifa spędzał właśnie letnie kanikuły w Szwajcarii, kiedy Hamad wziął



w swoje ręce całość władzy nad małym emiratem Kataru. Podobno prywatny *jet* zdetronizowanego Khalify krążył przez jakiś czas nad krajem, usiłując wylądować. Lotnisko pozostało jednak zamknięte. Oczywiście, część Katarczyków popierała starego emira, tradycjonalistę ostrożnego w polityce, nierozrutnego w finansach i jeszcze przez długi czas słycać było narzekania. W roku 1996 podjęto nawet nieudaną, siłową próbę anty-przewrotu. Proces jej sprawców i uczestników toczy się do dzisiaj.

Przez cztery lata sprawowania władzy przez dość nowocześnie myślącą ekipę szejka Hamada, większość społeczeństwa zdołała się jednak przywyczaić do „nowego”. Hamad i jego rząd wydają się myśleć w kategoriach politycznego i ekonomicznego realizmu, co znajduje odbicie przede wszystkim w przeprowadzanych reformach wewnętrznych, takich jak reorganizacja sił zbrojnych Kataru, nieznaczne redukcje przywilejów rodziny rządzącej (a to naprawdę jest krok na miarę rewolucji) oraz tzw. kataryzacja czyli stopniowy proces zastępowania zagranicznych fachowców przez odpowiednio wykwalifikowanych Katarczyków. Z punktu widzenia stosunków międzynarodowych – a więc z perspektywy Waszyngtonu, Londynu, Paryża – posunięcia szejka Hamada przyczyniły się do stabilizacji sytuacji politycznej w Katarze w okresie, kiedy w regionie Zatoki Perskiej zaczęły się pojawiać oznaki niepokojów społecznych i nastąpił wzrost popularności haseł fundamentalizmu islamskiego (np. rozruchy w Bahrajnie czy zamachy terrorystyczne w Arabii Saudyjskiej).

Jeszcze w roku 1995 nowy emir zapowiedział wybory do rad municypalnych, a rok później zniósł cenzurę, jaką dotychczas ograniczone były media. Początkowo gazety prześcigały się w peanach na cześć nowej rzeczywistości, ale powoli oswoiły się z nadaną im wolnością i zaczęły z kolei prześcigać się w krytyce wybranych aspektów życia publicznego (wybranych, bo jeszcze nie wszystko wolno i nie wszystko wypada...). W tym kontekście ciekawy jest przykład satelitarne kanału TV Al Jazeera (Półwysep), powołanego do istnienia i sponsorowanego przez rząd katarski od roku 1996. Kanał Al Jazeera nadaje swoje programy po arabsku i w ciągu paru lat działalności zyskał ogromną widownię nad Zatoką Perską, a nawet na całym Bliskim Wschodzie, gdzie

praktycznie wszystkie inne państwa surowo kontrolują swoje media, zezwalając wyłącznie na to, co politycznie poprawne. Al Jazeera jest w tej dziedzinie pełnym wyjątkiem: w nadawanych debatach pojawiają się wypowiedzi ostro krytykujące regionalne reżimy, a do dyskusji zaprasza się dysydentów kuwejckich, saudyjskich, egipskich, algierskich i innych. Tubylcy co prawda sarkają, że Al Jazeera krytykuje wszystkich sąsiadów, bliższych i dalszych, nie wypowiada się natomiast na tematy domowe, ale z tematów domowych wybrano ostatnio do negatywnej oceny poczynania emira związane ze stosunkami z Izraelem, zwłaszcza jego wysiłki, by zorganizować bliskowschodni szczyt ekonomiczny z udziałem Izraela. *Time* pisał niedawno (15.03.1999, „Kicking Up a Sandstorm”), że w oficjalnych wypowiedziach Katarczyków kładzie się nacisk na fakt, iż „Al Jazeera stanowi część planu rozszerzenia udziału społeczeństwa w polityce kraju, co ma w przyszłości nie tylko zneutralizować możliwe niezadowolenie społeczne, ale i zabezpieczyć Katar przed regionalną rywalizacją oraz spadkiem cen ropy.”

W połowie marca tego roku w Katarze odbyły się także zapowiadane od dawna przez emira pierwsze demokratyczne wybory do rad municypalnych w 29 okręgach. Niezwykły jest fakt, iż kobiety mogły w tych wyborach nie tylko głosować, ale i kandydować – dla kontrastu podajmy, że w powojennym Kuwejcie, gdzie wszem i wobec ogłaszano polityczne odrodzenie, skończyło się na obietnicach-cacankach i radości głupich, co w nie uwierzyli, bo w wyborach do nowego Zgromadzenia Narodowego w roku 1992 kobietom nie przyznano nawet prawa głosu! Tymczasem w Katarze, pośród 227 kandydatów znalazło się sześć kobiet, w większości absolwentek Uniwersytetu Katarskiego. Faktem jest, że żadna z nich nie została wybrana, ale ich aktywny udział w wyborach należy odnotować jako ogromny postęp w kontekście tego regionu, tej kultury, tych układów politycznych i społecznych, gdzie beduińskie kobiety nie mają nawet prawa jadać wraz z mężczyznami, czekając swojej kolejki, aż ich ojcowie, mężowie i bracia najedzą się do syta, aby samym móc spożyć posiłek, czy raczej jego pozostałości. (W związku z tym obyczajem, podczas wizyty królowej angielskiej w Arabii Saudyjskiej w roku 1979 zaistniał duży problem dyplomatyczny: trudno



było przecież wymagać od brytyjskiej monarchini, aby razem z innymi kobietami dojadła resztki po swoich męskich gospodarzach. Salomonowym iście rozwiązaniem okazało się nadanie Elżbiecie tytułu honorowego mężczyzny...)

Ale do rzeczy: wybrana w marcu Centralna Rada Muncypalna zaczęła swoje obrady w połowie maja, wyznaczając jako sprawy priorytetowe uformowanie komisji, które zajęłyby się konkretnymi kwestiami natury finansowej, technicznej oraz legislacyjnej, wskazanymi do rozwiązania przez społeczność Kataru. Proponuje się praktykę działania polegającą na tym, że obywatele będą mogli bezpośrednio zgłaszać swoje uwagi, postulaty oraz skargi do wybranego przez siebie członka rady okręgowej. Jak to zadziała, Allah jeden wie. Dużo jeszcze czasu upłynie, dużo piasku wywieje wiatr z pustyni, zanim nowy system nabierze tu rumieńców i pewności siebie. Demokracja nie ma przecież żadnych fundamentów kulturowych ani historycznych w tym post-be-duińskim społeczeństwie, które w dalszym ciągu bardziej opiera się na układach plemiennych niż na racjonalnych zasadach współżycia społecznego wypracowanych gdzie indziej przez wieki rządów parlamentarnych i oświecone warstwy ludności. Demokracja jest tu niczym kiełkująca dopiero roślina, świeżo zasadzona, jeszcze niepewna nowego otoczenia, które równie niepewne jest walorów nowej rośliny, nie wiadomo więc, czy zechce ją pielęgnować. Pustynia Półwyspu Arabskiego nie należy do środowisk przyjaznych działalności człowieka – oprócz ogromnych przestrzeni nieużytków i martwoty krajobrazu, rozciągają się tu także obszary pustki kulturalnej, nietolerancji, despotyzmu i politycznej opresji. Dlatego eksperyment katarski wydaje się podwójnie istotny i cenny, ale i stojący wobec wielu zagrożeń. Pozostaje mieć nadzieję, że się powiedzie.

Na marginesie powyższych pustynnych uwag i w kontekście wynurzającej się z niebytu katarskiej demokracji, zastanowiła mnie niedawna wizyta w Katarze pani marszałek Sejmu RP, Alicji Grzeškowiak, która wyraziła swoje zainteresowanie życiem parlamentarnym tego emiratu. Jakkolwiek podtrzymywanie przyjaznych stosunków z każdym nieagresywnym państwem wydaje się politycznie zasadne, to podróż dygnitarza z Polski (a jest to podróż długa i kosztowna) do

Kataru, odbyta w celu okazania zainteresowania czymś, czego jeszcze na dobrą sprawę nie ma, a co się dopiero wyłania i staje, stanowi co najmniej marnotrawienie pieniędzy podatników. Poparcie dla niezłych skądinąd projektów politycznych emira można było wyrazić sensownie sformułowanym listem, ale żeby zaraz tu przylatywać? Po co? Uczyc Katarczyków demokracji i parlamentaryzmu? Bez zbytej kądliowości, ale i bez przesady można przyjąć, że dostępne im są europejskie wzorce bardziej w tych dziedzinach zaawansowane niż Polska. Uczyc się od Katarczyków? Czego? Chyba jeżdżenia *jeep*'em po wydmach, bo przecież nie zasad życia politycznego. Pytania te niech raczej pozostaną retoryczne. Następnym sejmowych i rządowych wycieczkowiczów warto jednak zachęcić, aby cele swoich zagranicznych wycieczek formułowali bardziej konkretnie i przekonująco. Może polscy podatkodawcy znajdą dla nich wtedy więcej zrozumienia.

Magdalena ROSTRON

P.S. Z ostatniej chwili: Lokalna gazeta angielskojęzyczna, *The Peninsula*, donosi (17 maja 1999), że w Kuwejcie, ukazem z góry, postanowiono nadać prawa wyborcze kobietom, które będą mogły głosować i kandydować w wyborach municypalnych i parlamentarnych w roku 2003. Błysnęła więc nieśmiała nadzieja, że być może przykład Kataru rozszerzy się na inne kraje Zatoki. Jednakże nie ma co za bardzo się podniecać, bo ta sama katarska gazeta parę dni wcześniej zamieściła krótką notatkę dementującą nieodpowiedzialne pogłoski o tym, jakoby w Arabii Saudyjskiej planowano znieść zakaz prowadzenia pojazdów przez kobiety. Losy kielka na pustyni...



**Wiersze**

Mieczysława BUCZKÓWNA

**ABY PODNIEŚĆ RÓŻĘ**

pamięci Andrzeja Trzebińskiego

Tym to dobrze wtedy rozstrzelanym  
 Na ulicach Warszawy w czasie okupacji  
 Na Nowym Świecie w Alejach Jerozolimskich na Woli  
 Dobrze im  
 Nie mogą mówić ani krzyżeć wtedy i dzisiaj  
 kiedy rzucać w nich kamieniami – nie mogą usta  
 zalepione gipsem  
 Potem zasypane piaskiem w zbiorowym grobie zamurowane  
 W tablicach pamiątkowych  
 Tym to dobrze  
 Przywiezieni wtedy w ciężarówkach – rauss, rauss... Schnell  
 Karabinami poganiali żołnierze Wehrmachtu w hełmach  
 Było zimno – tak wyładowano kilkudziesięciu zakładników  
 12 listopada 1942... było zimno – trzęśli się w samych  
 koszulach  
 Z papierowymi kapturami na głowach ręce związane –  
 potykali się  
 Wreszcie ich ustawiono pod ścianą – Andrzej że wysoki  
 musiał stać  
 W drugim rzędzie – słyszał tylko trzask odbezpieczanych...  
 Umrzeć pięknie – pomyślał (to jego zdanie z pozostawionego  
 Pamiątnika)  
 Siostra przechowa – ale umrzeć pięknie – błysnęło,  
 pchnięcie w brzuch –  
 – Przyjacielu... pomyśleć zdołał o Bojarskim pod pomnikiem  
 Kopernika  
 Jak dostał serię od żandarma – ja dziś też jak ty umieram  
 jak ktoś – nieznanym – Quidam  
 Z poematu Norwida ów Grek w jatkach – ... nic nowego  
 w historii świata

Więc i ja tak... osunął się, ciepło na nogach... leżących  
 dobijali

Im to dobrze? wtedy rostrzelanym  
 Widział to wszystko dokładnie urzędnik  
 Z okien banku naprzeciwko: tyle krwi tyle... nigdy nie...  
 Bezwładne ciała ciskali na ciężarówkę – odjechała, potem  
 krew zmywali  
 Hydrantami piaskiem... wstrzymany ruch uliczny powrócono

Tym to dobrze – wtedy rozstrzelanym...  
 Nie musieli potem płonąć na Starówce łązić cuchnącymi  
 kanałami  
 Rzucać karabiny na ziemię – gdy się już poddali.  
 Tym to dobrze nie wywożono ich do Dachau, Oświęcimia ani  
 Na Workutę...  
 Nie musieli siedzieć na Rakowieckiej ani odpowiadać  
 na żadne  
 Pytania: zachciało się wam Polskiego Imperium od morza  
 do morza?!  
 Nie wrywano im paznokci nie świecono w oczy – jak  
 zamilkli tak milczą.

Dobrze im  
 Tym Gajcym Stroińskim nie musieli chodzić z czerwonymi  
 sztandarami  
 ani krzyżeć – Stalin Stalin – poematów o nim nie pisali.  
 Te ich tajne druki książeczki – „Grom Powszedni”, „Okna”  
 i tak dalej...  
 Sztuki i Narodu się zachciało – co? że artysta organizuje  
 wyobraźnię?  
 O właśnie – organizacje Solidarność! – Jest spadkobiercą  
 ONR-u?  
 Tym to dobrze milczą milczą milczą  
 Nie siedzieli w Białołęce – żeby Polska była Polską się  
 zachciało?  
 Nie siedzieli przy okrągłym stole nie głosowali na Wałęsę  
 Ani na Tymińskiego – tym to dobrze – nie wstydzą się że  
 wtedy umarli



Co po nich zostało... w antologiach wiersze, „Pamiętnik”  
Andrzeja  
Trzebińskiego – tak to dokument... i jego dramat  
„Aby podnieść różę”... no to podnieś przechodniu ten  
kamień  
Ale nie ciskaj w szarą tablicę na Nowym Świecie  
Boś sam pełen winy – nie ma tam zresztą jego nazwiska.  
Zginął jak inni zakładnicy – bez imienia i jak oni  
Nie ma grobu.

### Mieczysława BUCZKÓWNA

Andrzej Trzebiński – publicysta 1922-1943 schwyty i rozstrzelany pod fałszywym nazwiskiem. „Pamiętnik” – prowadzony do ostatnich dni przed rozstrzelaniem, niezwykle zachowany dokument okupacji, drobiazgowo analizy sytuacji młodego pokolenia. Śladem Brzozowskiego rozwijanie myśli społecznej. Zapiski dnia codziennego – osobiste przeżycia – potem szczegółowe plany założonego Ruchu Kulturowego w okupowanej Warszawie (kształcenie młodzieży, spotkania z pisarzami, koncerty, wieczory autorskie w prywatnych mieszkaniach, podziemnych klasztoru sióstr urszulanek na Powiślu). Zapis konfliktu pod koniec z Konfederacją Narodu, do której Andrzej przystał późno (śladem zamordowanego Bojarskiego). Jedyne wydanie PAX 1975. Obecnie „Pamiętnik” czeka na wydanie w PIW-ie. Może znajdzie się wreszcie sponsor i książka się ukáže...

Bolesław TABORSKI

### DO KRZYSZTOFA PO LATACH

dla nas walczyłeś z astmą tamtej wojny  
która cię zmoęła jednym celnym strzałem  
lecz „coraz mniejszy ciałem” – garstką prochu  
jesteś nam w każdym pokoleniu większy  
kim byłeś jak żyłeś tworzyłeś kochałeś  
wyrastasz ponad nieboskłon olbrzymie

nie mieścisz się na ziemi  
lecz w naszych sercach łatwo  
jesteś zawsze i wszędzie

gdzie są twe mądre słowa  
„wierzę we własną duszę”  
ona żyje w następcach  
tułaczki po kamieniach  
tego placu tych losów  
spadkobierców nieważnych

z nami nie tylko ślad twej krwi na bruku  
i coraz słabsza pamięć zawieruchy  
która zabrała kruchego człowieka  
i w grobie młodość kazała ci prześnić  
z nami na zawsze została dojrzałość  
i przejmujące twojej sztuki piękno

15.3.99

### TEN PLAC

tu na tym placu głuchy huk wybuchów  
tu strach się czaił i ta okrutna śmierć  
wszystko co naszym złym było udziałem  
już wcześniej i znów i potem da capo  
a gdy Corazzi zmagął się z blokami  
kamienia który wykwił wielkim ptakiem  
nie wiedział że ten orzeł stanie się feniksem  
na popiołach nadziei i marzeń wyrosłym  
dla nas którzy tragedie grywać i oglądać  
chcemy nie na tym placu gdzie czaił się strach  
i śmierć i wszystko co tamtych udziałem  
ale tylko w teatrze ale aż w teatrze  
który nasze marzenia oblókł w metaforę  
jasną przejrzystą pod opiekuńczego  
ptaka skrzydłami które nas przygną  
już bez tej epopei krwawej głupio wzniosłej  
lecz radośnie bo tego pragną ludzie wolni

31.1.99

Bolesław TABORSKI



## NOWOŚĆ

Ukazało się długo oczekiwane i potrzebne Polakom  
(i nie tylko Polakom)  
dokumentalne dzieło

**JANA KOSIŃSKIEGO**

(w opracowaniu WALDEMARA SOBCZYKA)

p.t.

## NIEMIECKIE OBOZY KONCENTRACYJNE I ICH FILIE

Zmarły w 1991 roku autor – były więzień KL Auschwitz, Mauthausen, Dachau i Gross-Rosen – porusza w swej obszernej pracy o obozach koncentracyjnych całkowicie zaniedbany w literaturze temat kacetowskich obozów filialnych. Wypełnia tym samym ogromną lukę w historiografii hitlerskiego terroru. Kosiński opiera się nie tylko na własnych przeżyciach i dokumentach ale przede wszystkim na bogatych i wręcz pasjonujących relacjach byłych więźniów.

Całość liczy 772 strony formatu A5, łącznie z 282 ilustracjami oraz (w aneksach) tysiącami nazwisk byłych więźniów i ich przeladowców.

Wydania pracy Jana Kosińskiego podjęła się tak niewielka emigracyjna Drukarnia Polska „Kontrast” z myślą o milionach ofiar niemieckiego faszyzmu, wyniszczanych, eksploatowanych i barbarzyńsko mordowanych w latach minionej wojny.

**Nakład 250 egz.** Cena: DM 105.- (+ DM 5.50 przesyłka)

Zamówienia (tel. 08031/7777; fax 08031/73113) i wpłaty prosimy kierować na:

**POLNISCHE DRUCKEREI „KONTRAST”**

**Inh. Waldemar Sobczyk**

Breitensteinstrasse 33

D - 87031 Schlossberg-Rosenheim

SPARKASSE ROSENHEIM, konto nr 10 15 43 (BLZ 711 500 11)

**Przedstawicielstwo w Polsce:**

LUCYNA TRYDULSKA – ul. Surowieckiego 7/44, 02-785-Warszawa  
tel. (022) 644-72-47; kom. 06-02-27-56-41

## Archiwum polityczne

### Trylogia do NATO

WIDZIANE Z BRUKSELI, WASZYNGTONU  
I WARSZAWY

#### *I. Nowaka, po siedemdziesiątce, życie na nowo*

Nie zazdroszczę przyszłym biografom (dziwię się zresztą, że jeszcze ich nie ma) Jana Nowaka Jeziorańskiego. Już kiedy, mając 32 lata, podejmował decyzję pozostania na Zachodzie, jego przygody, mimo młodego wieku, mogły starczyć na obszerny „remanent”. I starczyły zresztą, sam bowiem (*on n'est jamais mieux servi que par soi même*) opisał swoją epopeję „Kuriera z Warszawy” w książce pod tym tytułem. Ale, choć było tego „Kuriera” kilka wydań, to jednak były to tylko, kiedy zostanie napisany, pierwszy tom biografii Jana Nowaka Jeziorańskiego.

Następny *opus*, także dramatyczny, choć w innym rejestrze, to 24 lata kierowania polską sekcją Wolnej Europy. Ten drugi tom swej *de facto* autobiografii, zamknięty wzruszającym „pożegnaniem” ze słuchaczami, wygłoszonym w noc sylwestrową roku 1976, Nowak także sam (na razie) opisał. Dwa tomy: „Wojna w eterze” i „Polska z oddali” to dokładny (poza fragmentami stanowiącymi – jeżeli są takie – ciągle tajemnicę) opis kierowania fascynującą przygodą rozgłośni, która odegrała tak ogromną rolę w powojennej historii Polski, kronika przedzierania się zarówno przez mur wrogości władz w Warszawie, przez jazgot „szczekaczek” zainstalowanych, z mizernym skutkiem, przez władze komunistyczne, co, *toutes*



*proportions gardées*, pokonywania także bariery niezrozumienia czy ignorancji amerykańskich szefów RWE.

Można by pomyśleć, że jak na jedno życie, to dosyć. Już nie taki młody (wiekiem), Nowak miał w momencie przejścia na emeryturę pełne prawo do tak zwanego zasłużonego odpoczynku. Guzik z pętelką. Życie, inne, ale równie pełne, Nowaka zaczęło się na nowo po siedemdziesiątce. Życie ... podwójne. Najpierw „operacyjne”, żeby to tak określić. Nowak był bowiem (ciągle jest!) głównym motorem polskiego *lobby* w Stanach Zjednoczonych. Inspirował akcje Polonii amerykańskiej, liczbowo ogromnej, ale mało wpływowej w Waszyngtonie, odgrywał, choć o tym, to zrozumiałe, na razie szeroko się nie rozpisuje, ważną rolę w sprawach polskich w kulisach Białego Domu, zarówno w historycznym okresie narodzin Solidarności i sowieckiego zagrożenia, kiedy był doradcą Zbigniewa Brzezińskiego i konsultantem Rady Bezpieczeństwa USA, co i, lata później, w toku walki Kongresu Polonii o rozszerzenie NATO na Polskę i Europę w ogóle.

Potem życie dziennikarskie. Nowak, zwłaszcza od momentu wybuchu demokracji w Polsce, to absolutnie niezmordowany publicysta (czasem polemista), i to we wszystkich krajowych mediach możliwych, do których nareszcie uzyskał dostęp: w telewizji, radiu, prasie codziennej i periodycznej. W ciągu tak gorących 10 lat (to naturalnie nie koniec) kształtowania się współczesnego kształtu polskiego państwa demokratycznego, nie było frontu tego, co komuniści nazwaliby „walką ideologiczną”, na którym zabrakłoby Nowaka. Nowak cytuje zdanie Ciołkosza, że poglądy wypowiedane w prasie codziennej i w radiu żyją tylko jeden dzień, a już w dniu następnym mają wartość zwiędłego liścia. Ciołkosz miał w zasadzie rację, i Nowak, aby uniknąć uwiadu swojej publicystyki, wysnuł z tego prawidłowy wniosek. Właśnie wydał w Czytelniku, pod nieco pretensjonalnym tytułem „Polska wczoraj, dziś i jutro”, kolejny, piąty zbiór swoich, jak je określa, felietonów, komentarzy i esejów, drukowanych w prasie krajowej w latach 1995-1998.

Nowak podliczył, że w tych pięciu tomach ukazały się 144 pogadanki i artykuły, ogłoszone w ciągu blisko 50 lat działalności publicystycznej. Pisanie więc o jednej piątej tak podliczonego dorobku nie miałyby właściwie sensu, gdyby

nie fakt, że można ten piąty tom traktować jako *pars pro toto*, albowiem pewne, podstawowe cechy publicystyki Nowaka, charakterystyczne są dla całej jego, znanej ze słuchania oraz z książek i z bieżącej lektury, twórczości dziennikarskiej.

„Polska wczoraj, dziś i jutro” składa się z czterech części: pierwsza to trzy pozycje „białych plam”, kolejne trzy powtarzają (po co się męczyć?) tytuł główny, przy czym część ostatnia czyli „Jutro”, to tylko jedna pozycja pod odważnym tytułem „Prognoza dla Polski”.

Intencje Nowaka są jasne: ma ambicje wpływania, inspirowania, współtworzenia opinii publicznej w Polsce. Nowak stara się być obiektywny, ale nigdy nie jest neutralny. Wybrał drogę właściwie jedyną, ale i w publicystyce, zwłaszcza polskiej, przywykłej do wodolejstwa (dlaczego, to inny temat), najtrudniejszą: dokumentacja, argumentacja, wnioski. Streścić tych 300 stron, podzielonych na kilkadziesiąt pozycji, każda (w zasadzie, bo są powtórzenia) na inny temat, się naturalnie nie da. Kiedy zaczynałem spisywać notatki do „merytorycznej” części tej recenzji, przyszedł kolejny numer *Tygodnika Powszechnego*, a w nim artykuł Nowaka na temat... jego własnej książki. Zadanie mam więc ułatwione, streszczam za autorem to, jak to kiedyś formułowały tematy naturalne, „co autor miał na myśli”.

I tak „Białe plamy” to wciąż kontrowersyjne okoliczności śmierci gen. Sikorskiego, powstrzymanie przez Stalina ofensywy sowieckiej na Warszawę w 1944 roku oraz kulisy spotkania Adenauera z zachodnimi aliantami w 1951, gdzie rozstrzygała się kwestia pogodzenia się Niemców z polską granicą na Odrze i Nysie. Z rozdziału „Wczoraj”, Nowak wyróżnia jego rozważania na temat „Cudu nad Wisłą”, roli Kościoła i prymasów Hlonda i Wyszyńskiego, m.in. w zagospodarowaniu Ziemi Zachodnich, kulisy (znane już z jego dyktorskich wspomnień) polityki Wolnej Europy w czasie wydarzeń węgierskich roku 1956. Nowak nie ustaje w lansowaniu, z nadmierną chyba dawką patosu, swojej wizji wielkiej roli Polski, która, według niego „cztery razy wywarła wpływ na losy Europy i świata w XX wieku w rozmiarze zupełnie nieproporcjonalnym do swego potencjału sił...” Na specjalną uwagę zasługują polemiki Nowaka, głównie z Adamem



Michnikiem, zarówno w ocenie niedawnej przeszłości (rok 1945: zniewolenie czy niepodległość), a zwłaszcza zjawiska postkomunizmu, jego przedstawiciele (m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego) i ich miejsca w demokratycznej Polsce, no i kilka tekstów wokół najbardziej kontrowersyjnej postaci, stanowiącej swoistą klamrę we współczesnych dziejach i współczesnej, choć czasem archaicznej, mentalności Polaków, mam naturalnie na myśli sprawę płk. Kuklińskiego i debatę „zdrajca czy bohater”, za którą kryją się sprawy znacznie przekraczające osobisty wymiar bohatera.

Także ciekawie, choć w innej melodyce, jest pisana z pierwszej niejako ręki (Nowak był nie tylko świadkiem, ale prawie aktorem opisywanych wydarzeń), prawdziwa kronika prawdziwej „wojny o pokój”, z jej chronologią i strategiami – Brzezińskim i Friedem (aktualny ambasador USA w Warszawie) w rolach głównych, to znaczy o rozszerzenie NATO i włączenie Polski do sojuszu.

Nowak nie unika także najbardziej śliskiego i delikatnego tematu, obciążonego ogromnym balastem historii i ciężarym w aktualne skandale, jakim są stosunki polsko-żydowskie. Widziane są one – a Nowak ma pod tym względem ogromne zasługi – znowu przez aktora, a także inicjatora i uczestnika najważniejszych kontaktów z żydowskimi organizacjami w USA, które, co Nowak ostro podkreśla, odegrały istotną rolę w przeforsowaniu w Kongresie idei miejsca dla Polski w NATO.

Ostatni rozdział nazywa się „Jutro” i jest najkrótszy w zbiorze. Składa się bowiem z jednej tylko pozycji. I słusznie. Jak wiadomo, bardzo trudno jest cokolwiek przewidywać, zwłaszcza jeżeli chodzi o ... przyszłość ...

Sam Nowak za najważniejszą pozycję swej najnowszej książki uważa esej „Zapomniany dekalog wartości”, w którym podjął bardzo ryzykowną próbę, oscylującą między refleksją o moralności a moralizowaniem. Nowak usiłuje, jak sam pisze, „analizować obecny chaos pojęć, kryteriów i norm moralnych” (np. nostalgia za PRL), które, jego zdaniem, składają się na kryzys tożsamości Polaków u progu XXI wieku.

Taki spis rzeczy nie oddaje wszystkich zalet publicystyki Nowaka. Główna jej wartość tkwi, wydaje mi się, nie tylko w refleksjach ogólnej, czasem abstrakcyjnej natury, ale także

w konkretach i w bogactwie szczegółów. Kilka wierszy Nowaka, np. o jego dymisji z Kongresu Polonii Amerykańskiej po antysemickim wystąpieniu prezesa Edwarda Moskala, bardziej przemawiają do wyobraźni i rozumu czytelnika niż niekończące się mowy zawodowych polityków. Fragment o tym jak to rosyjski prokurator wojskowy płk Stiepan Rodiewicz przekazał stronie polskiej kopię rozkazu wymordowania jeńców w Katyniu więcej mówi o istnieniu „dobrych” Rosjan, niż rozmaite „słowa honoru”. Kiedy Nowak dodaje, że Rodiewicz zmarł „nagle” w chwili, gdy miał się spotkać z polskim konsulem, aby znowu mu coś ważnego przekazać, sprawa nabiera rytmu dreszczowca. A kiedy informuje, że ten rosyjski pułkownik pochodzi z rodziny Marii Rodziewiczówny, dramat Katynia komplikuje się jeszcze bardziej.

Nowak stara się unikać (nie zawsze mu się to udaje) dłużyń i banałów. Stara się o przytaczanie „anegdot” (w dobrym sensie), detali wielkich wydarzeń, pozwalających lepiej rozumieć skomplikowane nieraz, zapomniane układy. Np. kiedy gen. Spychalski nieświadomie pomógł w ujawnieniu prawdy o decyzji Stalina skazującej Warszawę na śmierć w 1944 r. Albo epopeja Filipa Bena, korespondenta *Le Monde*, który jako „tajny” korespondent RWE, odegrał ważną rolę w okresie polskiego października. Albo co lepiej oświetli nadwrażliwą kwestię tożsamości Litwinów, niż informacja, że prasa litewska zamieściła wywiad z Janasem Nowakasem Jezioranskisem...

Nowak pisze także, i słusznie, o roli przypadku w historii. Np. jak to młodzi polscy matematycy: Stefan Mazurkiewicz i Waław Sierpiński, obaj późniejsi rektorzy UW, rozbili szyfr sowiecki w 1920 roku, co pozwoliło Piłsudskiemu na wydanie, nie bez ociągów i wątpliwości zresztą, rozkazu o, jak się okaże, zasadniczej dla wyniku wojny, operacji nad Niemnem w 1920 roku. Albo, bliżej nas, i bardziej zabawnie, o tym jak senator Jesse Helms wykorzystał datę swojej operacji dla zaszantażowania przeciwników rozszerzenia NATO. Szkoda, że nie wiemy co mu operowano. Wycięty „organ” przeszedłby może do historii, tak jak nos Kleopatry...

Najnowsza książka Nowaka ma kilka *schönheits-fehler*ów.



Nie bardzo rozumiem dlaczego Nowak, bo wydawca nie mógł tego zrobić bez zgody autora, postanowił, bardzo niesłusznie moim zdaniem, nie podawać ani źródła, ani daty drukowanego artykułu. A przecież to gdzie, a zwłaszcza kiedy, autor coś mówił lub pisał, jest szczególnie zawsze ciekawym i dla „normalnego” czytelnika, i ważnym dla fachowca, recenzenta (jaki sens ma pisanie w tych warunkach, że coś się stało „przed rokiem”, albo „w następnym roku”, albo „w czasie ostatniego sporu”), nie mówiąc już o biografach (niech się męczą w poszukiwaniu danych kto, co i dlaczego akurat wtedy i tam). To samo dotyczy braku źródeł rozmaitych cytatów. *Idem*, w odniesieniu do niektórych nazwisk, np. 20 posłów PSL, którzy (kiedy?) wystąpili z jakimś głupim wnioskiem w sprawie mniejszości niemieckiej. A może niektórzy (którzy?) są jeszcze w Sejmie? To samo kiedy mowa o pięciu posłach SLD, którzy odmówili głosowania nad rezolucją w sprawie 1920 roku. Nie proponuję naturalnie zaopatrywania takich książek w indeks czy obszerne *footnoty*, to nie praca naukowa, chociaż, z myślą o młodym czytelniku – a na nim Nowakowi przede wszystkim zależy – warto by się zastanowić czy nie należy ułatwić mu lektury. Do listy narzekań należy dopisać ryzykowne, bo spekulatywne, twierdzenia, np. „nie budzący wątpliwości” autora wniosek, iż rok samotnej polskiej wojny ocalił Anglię i Churchilla od nieuniknionej kapitulacji. Najzupełniej niezrozumiała jest, u autora tej klasy, nieostrożność w operowaniu po prostu plotką. Nowak pisze, że „są uzasadnione podejrzenia, że Moczarski przekazał *Kulturze* tajne akta NIK w sprawie Jaruzelskiego”. Stosunki Nowaka z Giedroyciem i RWE z *Kulturą* przechodziły różne koleje, ale przecież wystarczyło zatelefonować do Maisons-Laffitte; obaj panowie w końcu dobrze się znają, aby się dowiedzieć, że to po prostu nieprawda.

Nie wybrzydźmy i nie narzekajmy za bardzo. Tak jak dawno temu „Kurier z Warszawy”, albo mniej dawno dyrektor RWE, Nowak-publicysta robi, w innym *genre* i w innych, już wyśnionych przez siebie, warunkach, ważną robotę: stawia Polaków w obliczu ich dziedzictwa i ich odpowiedzialności za teraz i za jutro.

„Powodzenie, albo brak zainteresowania moją książką – pisze Nowak w *Tygodniku* – przyniesie mi odpowiedź na

pytanie, czy warto mówić i pisać póki sił starczy, czy też przyszła pora, by zamilknąć i oddać głos młodym”. Ależ Panie Janie, skąd takie wątpliwości? Pan jest przecież bardzo młody. Byłby Pan rzeczywiście gotów do kapitulacji?! Nie do tego nas Pan przyzwyczaił.

## II. Z Krzczunowiczem, krok po kroku

Przypadek sprawił, że akurat w dniu, kiedy, po postawieniu kropki pod artykułem o „Polsce wczoraj, dziś i jutro” Jana Nowaka Jeziorańskiego, chciałem przefaksować tekst do *Kultury*, wpłynęła na moje biurko książka „Krok po kroku. Polska droga do NATO” Andrzeja Krzczunowicza. Sztafeta, pomyślałem, umówili się, dogadali. Spisek: wszystko na to wskazuje.

Po pierwsze, obaj pochodzą z Wolnej Europy, gdzie Nowak był dyrektorem, a Krzczunowicz (u końca kariery), zastępcą dyrektora. Po drugie, wstęp do książki Krzczunowicza napisał ...Jan Nowak Jeziorański, a Krzczunowicz powołuje się wielokrotnie na Nowaka, z którym wymienili listy „w tym właśnie temacie”. Po trzecie, to Nowak, jak sam ujawnia we wstępie, zasugerował min. Skubiszewskiemu wysłanie Krzczunowicza na ambasadorską, obejmującą także kontakty z NATO, placówkę w Brukseli, bez czego książka „Krok po kroku” nigdy nie zostałaby napisana. Po czwarte, dochodzenie do NATO, które stanowi jedyny temat u Krzczunowicza, jest także, to już wiemy, obszernie traktowane także przez Nowaka. Stąd niektóre epizody, zwłaszcza te najważniejsze, się pokrywają, np. dramatyczna faza dobijania się o nieodwracalny charakter polskich granic zachodnich lub poszczególne etapy debaty amerykańskiej wokół rozszerzenia NATO.

Po piąte, choć u Nowaka jest to rozrzucone na kilkadziesiąt pozycji, a u Krzczunowicza to jedyny temat, właściwie chodzi im o jedno i to samo, los Polski u progu XXI wieku.

Rzadko kiedy, jak u Krzczunowicza, tytuł książki odpowiada jej treści. Jest to bardzo szczegółowa kronika, „krok po kroku”, jak obiecywał autor „narastająca lawina”, jak zatytułował pierwszy rozdział, starań o objęcie Polski



parasolem NATO, czyli wejście jej, po raz pierwszy właściwie w historii, w strefę zagwarantowanego bezpieczeństwa. Krzeczunowicz postanowił swą kronikę rozpocząć w kwietniu 1989 roku, w podwójnie symbolicznym momencie: obchodów 40-lecia NATO w Brukseli i zawarcia umowy Okrągłego Stołu w Warszawie. Kończy ją długim artykułem, zatytułowanym „Ku nowemu stuleciu”, napisanym już po formalnym wejściu, w marcu 1999, Polski do NATO.

Książka Krzeczunowicza (lub Krzeczka jak go nazywano w Brukseli, gdzie był on jednym z najbardziej popularnych i szanowanych dyplomatów, ale gdzie jego nazwisko tylko z trudem wychodziło z ust dystygowanych ekscelencji), to opis żmudnego, a czasem dramatycznego, często niewdzięcznego ale, coraz częściej, w miarę upływu czasu i nabierania w Warszawie niezbędnego doświadczenia, skutecznego, przedzierania się nowej, mieszanej post-komunistyczno-demokratycznej dyplomacji polskiej poprzez, z jednej strony, rozmaite zapory sceptycyzmu, niechęci, egoizmu, bardzo często ignorancji, niezrozumienia i braku wyobraźni zachodnich polityków, ale także, z drugiej strony, spotkań z ludźmi, których wizja, inteligencja oraz, to nawet najważniejsze, prawidłowe rozumienie ich własnego interesu, pozwoliły z trudem, ale jednak, te wszystkie uprzedzenia w końcu przewyciężyć.

Defilują przed nami, w całkowitym porządku chronologicznym, rozmaite konferencje, szczyty i inicjatywy, euforie i zimne prysznicze, śmierć Paktu Warszawskiego i deklaracja wyszehradzka, pucz Janajewa („nikomu na Zachodzie, pisze Krzecz, nie przyszło do głowy nawiązywać z Janajewem kontakt w tym momencie”. Nie jestem taki pewny: *vide* Mitterrand) i Trójkąt Weimarski, *scoop* Bieleckiego, wówczas premiera, w USA, kontakty, zrazu nieśmiałe, potem coraz żywsze od pierwszej wizyty Skubiszewskiego w NATO, poprzez „zajazd” Wałęsy i jego wyskok z „NATO bis”, z czego Krzeczunowicz, bez instrukcji z Warszawy i sam nie wiedząc o co chodzi, musi się tłumaczyć Zachodowi. Opisana jest, widziana z Brukseli, niewiarygodna, ale potencjalnie skuteczna i groźna zarazem, tragifarsa wokół deklaracji Wałęsa-Jelcyn o zgodzie Rosji (i jej wycofaniu) na objęcie Polski gwarancjami NATO (Nowak także o tym wspomina, ale u Krzeczka jest to w szerszym, dyplomatycznym sosie i kontekście).

Mało znany, ale ciekawy, jest wpływ jaki miała „egzekucja” najwyższego sowietu przez Jelcyna w październiku 1993 na zachodnie myślenie o Polsce w NATO, a także bardzo skuteczne wahania, a nawet coś w rodzaju kontry Wałęsy w odniesieniu do „Partnerstwa dla pokoju” (przemówienie Wałęsy – kto je napisał?! – w Pradze w obecności Clintona), które mogło – gdyby nie ostry napór kandydatów i błędy Rosji – stać się dłuższą „poczekalnią”, a nie szybkim tranzytem do NATO.

Strzępy zygzakowatych dialogów, publicznych, tajnych i... prywatnych (Krzecz opowiada jak zdobył dla MSZ-tu pewien ultra-ważny dokument dzięki ... przyjaźni z jakimś, nie mówi naturalnie jakim, ambasadorem), układy NATO z Moskwą i z Ukrainą, ostatnia prosta przed szczytem w Madrycie, i wreszcie zaproszenie „trójki” z Europy Środkowej, i „ostatnia runda”, czyli pierwsze spotkania w „19” i list Geremka, nowego ministra spraw zagranicznych Polski, do Solany, sekretarza generalnego NATO. I klamka, która wreszcie zapadła...

Każdy, albo prawie, ważny etap czy faza, ma u Krzeczka swoją część formalną, dokumentalną i często (szkoda, że nie zawsze) jakąś warstwę anegdotyczną stanowiącą pożyteczną ilustrację wydarzenia, np. rola Niemców, a zwłaszcza Manfreda Woernera, którego Krzeczunowicz pożegnał na zawsze w dłuższym fragmencie. Opowiada m.in. jak on – polski poliglota (to lekcja dla nowych kadr MSZ) „zdobył” Woernera od pierwszego wejrzenia faktem, iż zaczął z nim mówić po niemiecku, choć nie jest to język obowiązujący w NATO, dodając jednak, iż i tak musiał szybko przejść na angielski, bo dwaj dygnitarze NATO asystujący przy rozmowie niemieckiego nie znali ...

Początkiem jest fragment o brukselskim echu wyborczego sukcesu postkomunistów w 1993 roku. Krzeczunowicz opisuje niepokój w Brukseli co do ewolucji w Warszawie, w tym wokół, z dzisiejszej perspektywy zabawnej, ale wtedy niebezpiecznej, pogłoski o możliwości mianowania ministrem obrony Longina Pastusiaka, ongiś czołowego komunistycznego teoretyka anty-NATO. Krzecz wspomina m.in. o interwencji Brzezińskiego „dyskretnej” ale skutecznej na ten temat w Warszawie ... *A propos* Brzezińskiego, ja rozumiem,



że jako ambasador, Krzecz musiał o pewnych sprawach ustamić zamknięte, ale jako wolny autor Krzczunowicz nie powinien był przemilczać sprawy Kuklińskiego, która – ja to wiem – była w Brukseli ostro dyskutowana i w kontekście dochodzenia do NATO jakoś się zapisała.

Tym bardziej, że Krzczunowicz już się na ogół nie krępuje i opisuje inne, każda w swoim rodzaju, ale groźne gąfy, jakie władze w Warszawie popełniały z braku doświadczenia czy ... głupoty: jakiś pomysł z projektem zakupu ... głowicy atomowej, a przede wszystkim obiad drawski i wniosek dla Brukseli ewidentny, iż Polska ciągle nie rozumie co to jest kontrola cywilna nad wojskiem. Jeden z generałów polskich zdumiony zapytał ambasadora RP: „Co oni od nas chcą z tą kontrolą cywilną?” Przy czym Krzczunowicz nareszcie może sobie pozwolić na publiczny wniosek, że w tej zasadniczej debacie, „zawiodła, jak pisze, niemal na całej linii polska klasa polityczna”.

W tym kontekście drobny epizod, choć wcale nie drugorzędny, wskazuje na przepaść między subtelną dyplomacją próbującą sprostać oczekiwaniom NATO a posowiecką mentalnością niektórych wojskowych. Ambasada miała odważny pomysł, opowiada Krzecz, aby zaprosić na konsultanta do MON-u ustępującego dowódcę centralnego regionu NATO (któremu, od wejścia do sojuszu, podlega także wojsko polskie) niemieckiego generała Henninga von Ondarza. Okazja ogromna, jego doświadczenie i ... stosunki, mogłyby ogromnie się przydać (i to za darmo, bo Ondarza nie chciał słyszeć o wynagrodzeniu), w tak trudnym (*vide* Drawsko) dostosowywaniu się polskiego korpusu do kryteriów NATO. Ale Sztab Generalny w Warszawie cały pomysł storpedował, nie godząc się, jak pisze Krzecz, „aby mu doradzał jakiś Niemiec”.

Krzecz na tym przerywa. I słusznie, albowiem, jak się dowiedziałem, dalszy ciąg polskiej kariery niemieckiego generała jest właściwie niejasny. Urządzony gabinet czekał na niego w MON-ie, von Ondarza w Polsce dość często jako doradca był, ale trudno doszukać się wyraźniejszych śladów jego doradzania.

Żeby zrozumieć drogę, „krok po kroku”, jaką Polska musiała przejść zanim parasol NATO się nad nią otworzył,

Krzzunowicz, widać, że choć były, to dobry dziennikarz, odtwarza nie tylko bardzo dokładnie chronologię wydarzeń czy aktów dyplomatycznych, ale przypomina rolę niektórych osobistości. W sensie pozytywnym, to nie niespodzianka, pisze o tym także Nowak, np. rolę jaką odegrał Zbigniew Brzeziński; w sensie negatywnym (wzbudził – pisze Krzecz – „niesmak” w toku konferencji w Stambule) to przykład byłego ambasadora Moskwy w Brukseli, Nikołaja Afanasjewskiego, potem wiceministra, obecnie ambasadora w Paryżu. Wsławił się tym, iż przestał być ambasadorem ZSSR i stał się ambasadorem Rosji w tym samym kraju, w pewnym momencie tego samego posiedzenia w NATO. Afanasjewskiego akurat dobrze znałem. Był to pierwszy i jedyny, jak dotąd w mojej karierze, ambasador, najpierw ZSSR, a potem Rosji, który udzielił mi, na przyjazd i na wyjazd, dwóch długich, nie w „mowie-trawie”, wywiadów dla gazety *Le Soir*, przychodząc do redakcji, nie zadając pytań z góry i nie domagając się autoryzacji. Ale oczywiście sympatyczny nie był...

Krzzunowicz co jakiś czas, i słusznie, woła o ostrożność w sądach, analizach i nadziejach. Przypomina m.in. osławione wypowiedzi francuskiego ministra Chayssona (Francja „naturalnie nic nie robi”) czy niemieckiego kanclerza Schmidta („nareszcie zrobili porządek”), po ogłoszeniu stanu wojennego w grudniu 1981. Ale Krzczunowicz nie musiał sięgać tak daleko. Wystarczyło nieco dokładniej uwzględnić debatę wokół rozszerzenia NATO w USA w 1998 i 1999 roku, penetrację argumentów rosyjskich do prasy i poglądów niektórych polityków w USA, aby uzyskać cytaty znacznie bardziej szokujące i ... aktualne. Przy czym, tu uwaga zlekceważonego autora, aby się na tę debatę powołać nie musiał, kiedy o tym wspomina, sięgać do londyńskiego *Times*'a: wystarczyło zajrzeć do *Kultury*. „Stało” tam więcej i lepiej.

Dobry dziennikarz, powiedziałem o Krzczu. Miał znakomity pomysł: dodał, na zakończenie książki, wybór cytatów wielkich polityków, świadczących o ewolucji myślenia na temat rozszerzania NATO. Od pani Thatcher, która w czerwcu 1990 powiedziała, że „nie jest rzeczą realistyczną myśleć dzisiaj o poszerzeniu składu członkowskiego NATO” czy politologa Henninga Wegenera, który uważał, w kwietniu 1991, że „nie ma sposobu na rozszerzenie NATO”, poprzez



duńskiego ministra Jensena, dla którego „wszyscy jesteśmy w tej samej łodzi” czy amerykańskiego sekretarza obrony, w grudniu 1992, którego zdaniem „z czasem co najmniej niektóre państwa Europy Środkowo-Wschodniej muszą zostać członkami NATO... ale droga jest jeszcze bardzo długa”, i sekretarza stanu Christophera, w sierpniu 1993, że „nie jest to (rozszerzenie) teraz na porządku dziennym”, aż po rozmaite wypowiedzi Niemców – Woernera, sekretarza generalnego NATO i Ruehe, ministra obrony RFN, według których „opcja rozszerzenia jest otwarta” (1992) i „nie mówimy o nowych członkach starego NATO, tylko o nowych członkach nowego NATO” (1993). Wszystko po to, aby zilustrować długi wykład w jaki sposób Zachód udzielił w końcu odpowiedzi na pytania, które sobie sam (czasem niechętnie) zadawał: najpierw czy, potem kiedy, wreszcie jak i kto.

Krzeczunowicz był pięć lat dyplomatą, dziennikarzem znacznie dłużej, a arystokratą całe życie (wystarczy spojrzeć na zdjęcie na ostatniej okładce: coś między de Gaulle'em a Mościckim). W jego książce wymieszane są więc, niestety na mój gust za słabo, *la rigueur diplomatique* z werwą i darem obserwacji szczegółów dziennikarza (notuje np., że pierwsi oficerowie polscy przysłani do NATO nosili historyczne nazwiska: płk Czarnecki i mjr Jagiełło, co jednak tutaj, wzdycha Krzecz, nic nikomu nie mówiło) i sprawnością w korzystaniu z terenu towarzyskiego. W końcu nie wszyscy mogą się pochwalić powinowactwem równocześnie z Freiherrem von Richthofenem, stałym przedstawicielem Niemiec przy NATO, i wysokim urzędnikiem (bez nazwiska) w gabinecie premiera w Warszawie. To pomaga.

Niektóre próbki są pierwsza klasa. Za dobrze znam oboje Krzeczów, aby sądzić, iż np. na polowanie do Sapielhy jeździli wyłącznie ze snobizmu. I rzeczywiście: okazuje się, że na opisane akurat polowanie zaproszony był także gen. MacKenzie, zastępca dowódcy sił NATO w Europie. MacKenzie umówił się na lotnisku z gen. Wileckim na rozmowę w sprawie udziału polskiej jednostki w operacji w Bośni. Wilecki wszystko obiecał i niczego nie dotrzymał... A Krzeczunowicz musiał to piwo wypijać. Przez pięć lat musiał je pić często i do dna. Ale się nie upił i się opłacało. I Polsce i jemu.

### III. Z Onyszkiewiczem, ze szczytu na szczyt

Znowu przypadek? Nie, logika chwili. Ktoś powiedział, że przypadek to kochanek historii. Ale żeby do tego stopnia! Kiedy bowiem kończyłem artykuł o Krzeczunowiczu, w charakterze drugiej, po Nowaku, części recenzji o polskich drogach na Zachód, sztafeta ruszyła na nowo. Nie zdążyłem zgasić komputera, a już tam była, także z dedykacją, książka pod tytułem „Ze szczytów do NATO”, 250 stron rozmowy-rzeki, dwóch ostrych dziennikarzy, rodem z Krakowa i *Tygodnika Powszechnego* (to bardzo dobre pochodzenie), Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetki z Januszem Onyszkiewiczem, ministrem obrony narodowej RP. Szczyty w tytule to aluzja do autentycznych alpinistycznych osiągnięć Onyszkiewicza, a zarazem, klamra na drugim pięttrze: że niby droga bohatera ze szczytów Himalajów na szczyty polityki światowej.

Napisałem „niby”. Nieprawda, zgadza się. Onyszkiewicz był, może, jeśli ma – w co wątpię – czas, jeszcze jest bardzo doświadczonym alpinistą i himalaistą. Onyszkiewicz także, to nie nowość, pomagał, w rozmaitym charakterze i na różnych miejscach, Polsce wspinać się do NATO (twierdzi gdzieś zresztą, że obie wspinaczki się uzupełniają, poczucie odpowiedzialności nabyte na skałach pomaga w pokonywaniu stromych stron polityki).

W normalnej kronice książkowej, pisząc o tej iskrzącej się rozmowie (Beres i Burnetko, świetnie przygotowani, wiedzą o co mają pytać. Onyszkiewicz wie nie tylko co, ale i jak ma odpowiadać, żeby nie moralizować ani nie nudzić), recenzent wspomniałby także o przednатовskich (nawet bardzo osobistych), epizodach krótkiej, ale bogatej przeszłości obecnego ministra, byłego rzecznika „Solidarności”, działacza opozycji i „internisty” po stanie wojennym. Jego przygody jako vice-, a potem ministra, np. okres Parysa urzędującego z bronią w ręku! (Onyszkiewicz także miał pistolet, ale go schował, „aby dzieci go broń Boże nie znalazły”), stosunki ze sztabem, generałami i „rozczarowanie” Wileckim, kulisy zmian personalnych, afera teczek, zupełnie aberracyjna historia „puczu” Wałęsy za czasów premiera Olszewskiego, wieczna kwestia tłumaczenia zagranicznym partnerom języka i



intencji Wałęsy i w ogóle, charakterystyka „Lechu”, wejda do każdego „krótkiego kursu” historii polskiej transformacji.

Bardzo pouczający jest m.in. rozwój kontaktów z Moskwą (ZSSR i Rosją) w sprawie wycofania jej wojsk z Polski, np. opis surrealistycznego, jak mówi Onyszkiewicz, wymuszonego na Gorbaczowie, spotkania polskiego ministra obrony, nie tylko cywila, ale na dodatek z „Solidarności”, z marszałkiem Jazowem, całym kierownictwem Ministerstwa Obrony ZSSR, sztabu generalnego ZSSR i dowództwa Paktu Warszawskiego. „Jak trzeba będzie, to wyjdziemy z Polski” – odpowiedzieli w krótkich, żołnierskich słowach w maju 1990 Onyszkiewiczowi, który pierwszy raz oficjalnie postawił wtedy sprawę ewakuacji armii czerwonej. Dobrą ilustracją pierwszych dni demokracji jest także opis „procesu podejmowania decyzji”, żeby go tak szumnie określić, wysłania Onyszkiewicza na stanowisko w MON-ie. „Najpierw siadaj” – powiedział Mazowiecki do Onyszkiewicza, zanim oznajmił: „Powinieneś wziąć MON. Nadchodzi czas wchodzenia do obu resortów siłowych. Kozłowski idzie na podsekretarza stanu do Kiszczaka”. Pamiętam ten czas. Kilka dni po „wejściu” Kozłowskiego do MSW, byłem u niego w gabinecie: zwyczajny strach, to przecież „Rakowiecka”, ogromne gma-szysko, ponure korytarze, i on sam w ogromnym gabinecie, głucho wszędzie, pusto wszędzie, tylko wielka szafa pancerna, a w niej gruba księga ze spisem personelu, alfabetycznie, według nazwisk (prawdziwych), pochodzenia itp...

Niestety, na więcej wypisów z tej kategorii w tym felietonie miejsca nie ma. Tutaj trzeba się ograniczyć do, nie mniej, a czasem bardziej pouczających epizodów politycznych, szczególnie, jeżeli nie wyłącznie, związanych z NATO, inaczej mówiąc w zaskakujący nieraz sposób uzupełniających spostrzeżenia autorów obu omówionych przedtem książek.

Sytuacja jest jasna i zrozumiała. To mianowicie, co Nowak widział z Waszyngtonu, a Krzeczunowicz z Brukseli, na to Onyszkiewicz patrzy z Warszawy. To co Nowak obserwował jako publicysta czy forsował jako lobbysta, to co Krzeczunowicz sugerował, czy realizował jako dyplomata, o tym właśnie Onyszkiewicz, „własnoręcznie” jako minister lub kolektywnie jako członek rządu, ale raczej w duecie z Bronisławem Geremkiem, decydował.

Właściwie nie wiadomo od czego zacząć. Może... od początku. Na dobrą sprawę, twierdzi Onyszkiewicz (Krzecz także), sprawa członkostwa Polski w NATO została dobitnie postawiona właściwie przez premier Suchocką w trakcie jej pierwszej wizyty w Brukseli w październiku 1992, z okazji zaproszenia jej na Radę Ambasadorów NATO. Plan wystąpienia uzgodniony został w ... samolocie między Warszawą a Brukselą: Suchocka miała zacząć, Onyszkiewicz miał stawiać kropki nad i.

Inicjatywa nie była taka ewidentna, jako że np. Brzeziński, który jest obficie cytowany przez Nowaka i Krzeczunowicza, i słusznie, jako jeden z motorów lansowania wejścia Polski do NATO, tą samą jesienią 1992 roku, uważał, według Onyszkiewicza, że (to nie pretensja, tak wówczas myśleli wszyscy), „trzeba się jakoś wiązać z NATO, ale o żadnym członkostwie mowy nie ma ...”.

Albo afera NATO-bis, królowa Wałęsowskich gaf, nad którą Krzeczunowicz załamuje ręce, i którą Onyszkiewicz eufemistycznie określa jako typowy dla Wałęsy, chorego na ambicje twórcy wielkiej polityki, „wystrzał ni stąd ni zowąd”. Zachód, opowiada Onyszkiewicz, „był tym bardzo zaintrygowany. Musiałem dokonywać (Onyszkiewicz jest tu bardziej oględny niż Krzecz), trochę pokrętnych wykładni, żeby osłonić prezydenta...”.

I Nowak, i Krzecz wspominają naturalnie o roli jaką w tym kontekście odegrał urodzony w Warszawie gen. Shalikhshvili, szef połączonych sztabów USA, a potem dowódca wojsk NATO, którego ojciec, uchodźca z Gruzji, służył w 20-leciu w wojsku polskim. Onyszkiewicz poszedł dalej: odnalazł jego... teczkę personalną (to były archiwa! – prawdziwe, przedwojenne). Służył m.in. w I pułku szwoleżerów, pułku Józefa Piłsudskiego, pod Wieniawą, miał świetne opinie, a w aktach jest jego raport, że urodził mu się syn. „Dalszy ciąg, mówi Onyszkiewicz, był mniej szczytny, bo jako solidny antykomunista, zaciągnął się do formacji współpracujących z hitlerowcami... potem razem z Niemcami wycofał się na Zachód. Jego syn, John, w warszawskim akcie chrztu zapewne zwykły Jan, był, jak informuje Nowak, cytowany przez Krzeczunowicza, jednym ze zdecydowanych przeciwników rozszerzania NATO... Potem zmienił zdanie.



bo Ciekawe, żeby tak to nazwać, jest uzupełnienie, jakie wnosi Onyszkiewicz do kluczowej i u Nowaka, i u Krzeczunowicza, historii słynnej zgody Jelcyna na zamiar Wałęsy wprowadzenia Polski do NATO. Sam Onyszkiewicz w owej „wieczerzy” nie uczestniczył, bo zabrał na kolację (nie do dobrej knajpy, a gdzieś do MON-u) swego odpowiednika gen. Graczowa. Zna naturalnie szczegóły z faktycznie jakiejś pierwszej ręki. Oto część dialogu:

„Czy to prawda – pytają dziennikarze – że w picciu z Jelcynem pierwsze skrzypce grał Wachowski?”

„W picciu z Jelcynem nie – odpowiada Onyszkiewicz. – Co najwyżej w dolewaniu Jelcynowi... Ta kolacja z Jelcynem to było uprawianie polityki innymi środkami...”

I nieco dalej Onyszkiewicz uzupełnia: „Już wcześniej (w Moskwie, w kwietniu 1992) – przy dopinaniu szczegółów wycofywania wojsk rosyjskich z Polski – korzystaliśmy z tego wariantu. Tam też główny postęp negocjacji odbywał się w bufecie”. Tytułem wyjaśnienia Onyszkiewicz dodaje: „Nie byliśmy osamotnieni, bo Litwini też w ten sam sposób załatwili wyprowadzenie wojsk rosyjskich. Tak samo zresztą to, że Rosjanie pozostawili im – czy też sprzedali za niewielkie pieniądze – rozmaite uzbrojenie; np. dwa małe okręty. Tak to wtedy było...”

A swoją drogą, Wałęsa pokazał wtedy dużą klasę. Ponieważ ministrowie Kozyriew i Graczow próbowali z Jelcynem, już po kacu, wszystko odkręcić, to Wałęsa, jak opowiada Onyszkiewicz, po prostu uznał, że tych panów nie ma przy stole. „To są doradcy, powiedział do Jelcyna, rozstrzygać musimy my. Jak prawdziwi demokraci... To my dokonujemy epokowych reform w naszych krajach, inni nas nie rozumieją”. I tak przez kilka godzin, aż go docisnął i wycieńczony Jelcyn powiedział w końcu: *Nu, charaszo*. Jak wiemy Jelcyn niedługo potem wszystko i tak odwołał, ale kawałek historii został wtedy napisany.

„A czy dziś można coś jeszcze przeprowadzić z Rosjanami przez bufet?” I zrezygnowana odpowiedź: „Te metody już chyba nie działają...”

Łza się w oku kręci, chociaż z informacji dochodzących np. z „kontaktów” rosyjsko-czeczeńskich wynika, że te dobre obyczaje nie całkiem jeszcze, może na szczęście, zanikły... Jak

zresztą zapewnia Onyszkiewicz, „Wałęsa pije mało, nigdy nie widziałem, żeby był pijany”...

Nasuwa się także, z innej...beczki, pytanie o Kuklińskiego. Krzeczunowicz o Kuklińskim w ogóle nie wspomina, Nowak, to jasne, jak najbardziej, ale raczej jako publicysta. Onyszkiewicz, który Kuklińskiego tylko raz spotkał już w ministerialnym charakterze, dementuje bzdury o jego rzekomych interwencjach, żeby Kuklińskiego do Polski nie wysyłać. Jedynym Amerykaninem z czołówki politycznej USA, powiada Onyszkiewicz, który podnosił sprawę Kuklińskiego, był prof. Brzeziński i, w swojej kategorii, Nowak Jeziorański. „Prof. Brzeziński był w Białym Domu, gdy przychodziły meldunki Kuklińskiego” i trzeba tę sprawę oceniać w kontekście najważniejszego wątku jakim było, dzięki informacjom Kuklińskiego, uratowanie Polski przez administrację Cartera od interwencji sowieckiej w grudniu 1980. Jeżeli chodzi o Nowaka, on też ma, zdaniem Onyszkiewicza, emocjonalne powody do zaangażowania. Nowak, przypomina Onyszkiewicz, „miał podobną sprawę: uciekiniera z bezpieki, płk. Światły. Tyle, że jego Nowak nie uznał za bohatera. I słusznie, chociaż Światło też nie brał pieniędzy” i chociaż „Światło – zdaniem Onyszkiewicza – znacznie wydatniej przyczynił się do zmian w Polsce niż Kukliński.”

W sprawie Kuklińskiego wszystko już chyba zostało powiedziane, a to co jeszcze jest tajemnicą, jeszcze długo nią będzie. Ciekawa natomiast jest w tym miejscu różnica w podejściu trójki autorów do tego fragmentu najnowszych dziejów Polski. Nowak kilka razy wraca do tej sprawy, poświęca jej nawet cały specjalny rozdział „Jaruzelski versus Kukliński”. Zdaniem Nowaka „stosunek do Kuklińskiego stał się probierzem określającym, co w latach PRL było zdradą, a co zasługą”, i stawia w nim główne według autora pytanie: „Czy mamy uznać, że zachodzi zasadnicza różnica między suwerenną Rzeczypospolitą, która kieruje się własną racją stanu, i PRL – państwem zniewolonym, w pełni podporządkowanym sowieckiej hegemonii?” Lub jeszcze inaczej, ale nie mniej zasadniczo: „Kto był naprawdę sprzymierzeńcem, a kto wrogiem? Związek Sowiecki czy Ameryka”. Krzeczunowicz, który w ogóle się tą sprawą nie zajmuje i Onyszkiewicz, który poświęca jej kilka słów tylko, wyraźnie nie przypisują sprawie



Kuklińskiego większej wagi. Dla Nowaka to jeden z kluczy do tajemnicy polskiej tożsamości *anno domini* 1999; dla pozostałych to krótki, choć „dreszczowy” epizod czasów PRL, bez większego wpływu na rozwój wypadków i świadomości Polaków w niepodległym państwie.

Na deser należy streścić fragment o słynnym „obiedzie w Drawsku”, w trakcie którego doszło, w obecności i z inspiracji prezydenta RP, do głosowania *votum* zaufania generałów (w istocie chodził o jego złamanie) do ówczesnego ministra obrony, Kołodziejczyka. Inaczej mówiąc, chodziło o całkowite niezrozumienie w Polsce pojęcia cywilnej kontroli nad wojskiem, co było jednym z zasadniczych warunków wpuszczenia Polski do NATO. Pisze o tym i Nowak i załamuje nad tym ręce Krzeczunowicz, ale Onyszkiewicz stara się to zrozumieć. Tłumaczy to „tradycją”: po pierwsze uważano za rzecz oczywistą, że ministrem obrony może być tylko wojskowy. Po drugie, zasadnicze decyzje zapadały i tak nie w Warszawie, a w Moskwie.

A co na to NATO? Nadchodziły sygnały, że jest niedobrze, że uważają to w Brukseli, za rzecz absolutnie podstawową, miał bardzo wiele rozmów, ale jakoś, wiem to od Krzeczunowicza, skandal ucichł i nie odbił się na dalszym ciągu, głównie dzięki temu, zdaniem Onyszkiewicza, „żeśmy się za to wzięli bardzo rzetelnie...” Reszta rozmowy to odpowiedzi ministra na zasadnicze pytania raczej polityczne i strategiczne, jest tam sporo publicystyki, a coraz mniej wspomnień mniej formalnych i osobistych. Onyszkiewicza warto przeczytać, jak sądzić można z przytoczonych fragmentów, nie będzie to lektura nudna.

„To prawda – kończy trzeźwo Onyszkiewicz – że sama przynależność do paktu nie gwarantuje nam bezpieczeństwa. Ale na pewno szans na gwarancje byłoby jeszcze mniej, gdybyśmy nie byli członkami NATO”.

#### IV. Czwarta część trylogii

Lektura tej trylogii nasuwa wiele ważnych refleksji. Przede wszystkim w odniesieniu do obecnego stanu znajomości, zwłaszcza przez młode pokolenie, jedynie naprawdę ważne,

współczesnej historii Polski, dziejów sowietyzmu, Europy i NATO. Znane są trudności w nauczaniu historii w polskich szkołach. Brak podręczników, brak nauczycieli, brak ... zainteresowania. Wynik: ogromna ignorancja. Trudno się spodziewać aby publicystyka, nawet dobra, mogła temu sama zaradzić. Dlatego teksty łatwe, w zasadzie, do czytania, interesujące i miejscami... zabawne, takie jak u całej trójki, mogą stać się istotną pomocą w przezwyciężaniu tego, co nie należy wahać się określić, jako historyczną zapaść, groźną dla przyszłego kształtu Polski. Skierowane to jest naturalnie przede wszystkim „na użytek młodszych”, jak w pewnym polemicznym momencie Nowak sam pisze. Były dyrektor RWE wspomina np. o 100 audycjach w wykonaniu Józefa Światły. No, ale kto to był Józef Światły, dlaczego te sto godzin zaważyły w pewnym, chyba dużym, a według Onyszkiewicza, nawet w bardzo dużym stopniu, na losie polskiego stalinizmu? Może warto wydać dziś na nowo „zeznanie” Światły z odpowiednim komentarzem. To przecież może być bestseller.

Pisałem wszystkie trzy kroniki oddzielnie, każdą po kolei, z pewnym niewielkim, ale jednak odstępem czasu, ale, tak podyktowała logika, trzeba było jakoś je sklecić w jedną całość i wydrukować razem. Klamra jest bowiem oczywista. Te trzy książki mają wiele wątków wspólnych. Było to, naturalnie, nie do uniknięcia, cała trójka autorów, w innej skali i w innym charakterze, była przecież nie tylko świadkami, ale i aktorami tego historycznego procesu. I wszystkim im chodzi o to, o co pół wieku temu, jak przypomina Nowak, chodziło Marii Ossowskiej: „jakiego człowieka mamy hodować”. Można dodać: i w jakim kraju?

Ponieważ jednak, jak to ujął pewien klasyk współczesnej politologii polskiej, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, to trójka autorów patrzy na ten sam bieg wydarzeń z innej perspektywy: Nowak z Waszyngtonu i kulis Kongresu USA, użerania się z archaizmami i nonsensami działania kierownictwa Polonii, lobbowania środowisk politycznych i organizacji żydowskich; Krzeczunowicz oglądał to z siedziby ambasady RP, pokonując... krok po kroku, coraz to nowe bariery chroniące, dosłownie i w przenośni, personalnie i instytucjonalnie, fortece NATO przed szturmem Warszawy,



Onyszkiewicz z ministerialnego gabinetu, w stałej wojnie z fantazjami Wałęsy, sowiecką tradycją generalicji, brakiem doświadczenia polityków (właściwie najlepiej orientowali się w sytuacji byli... antynatowcy, a potem zwolennicy NATO z... PZPR czyli SLD).

Tu jednak nie chodzi o bestsellery, ani o strzępy mel-dunków z drogi do NATO. Tu chodzi o NATO i o Polskę, i o intercyzę tego związku. Wszyscy trzej autorzy są tak głęboko przekonani o korzyściach płynących z obecności Polski pod parasolem NATO, że, z małymi wyjątkami, nie stawiają sobie pytania co o tym myśli przeciętny Polak, ten właśnie, którego trzeba jeszcze namawiać nie tylko do czytania takich jak ich książek, ale choćby do czytania gazet, a w tych gazetach, jeśli czytają, artykułów w jakiś sposób związanych z problematyką międzynarodową.

To zresztą nie jest najtrudniejsze. Jak ktoś nie umie w ogóle grać w brydża, to przy jakiejś minimalnej dozie inteligencji, można go nauczyć. Tych zaś, którzy już się nauczyli grać źle, trzeba najpierw doprowadzić do zera, sprawić by się wyzbyli złych nawyków i wtedy dopiero można zacząć edukację od początku. Z NATO jest podobnie. Wobec obojętnych lub ignorantów można podjąć próbę przekonania, że warto się zacząć uczyć warunków istnienia na naszym świecie. Źle nauczonych, czerpiących poglądy i przekonania z tak licznych źródeł uprzedzeń czy obskurantyzmu w Polsce, nauczyć czegokolwiek będzie bardzo trudno. A przekonać jeszcze trudniej...

Czy książki tutaj omówione mogą z tego punktu widzenia odegrać jakąś rolę? Naturalnie, tak. Na tym polu obojętności i braku, na zasadzie: mamy to i tak już z głowy, zainteresowania, wszystko się liczy. Polska weszła do NATO w przełomowym momencie, kiedy zabrakło wroga i zrodziły się wszędzie pytania co do współczesnej racji bytu instytucji powstałej właściwie wyłącznie dla sprostania groźbie agresji sowieckiej. Nowe NATO rodzi nowe obowiązki, także finansowe, których celowość, mimo, a może i z powodu, tej klasy dowodu wprost co wojna w Kosowie, nie jest dla wszystkich jasna i przekonująca.

Jest to stwierdzenie podwójnie ważne. Po pierwsze dlatego, że „podatek natowski”, dosłownie i w przenośni, będzie

rósł i w dyskusji nad tak napiętym budżetem jak polski, będzie łatwym kąskiem dla demagogów w każdej debacie na jakikolwiek temat. Po drugie dlatego, i to jest ważniejsze, bo to dopiero idzie, że jest to tylko mała przekąska w porównaniu z tym, co czeka Polskę i w sferze dyskusji, i w sferze kosztów przy cumowaniu do Unii Europejskiej. Jeżeli można, i trzeba, mówić o ignorancji w kontekście natowskim, w końcu stosunkowo prostym, to w odniesieniu do nader skomplikowanych, bardzo technicznych, a zarazem w prostym odbiorze, np. w wyobraźni chłopów czy górników, bardzo niebezpiecznej sferze spraw związanych z integracją europejską, można mówić o niebezpiecznej przepaści między przekonaniem polityków a percepcją sporej części obywateli.

Nie chcę się mieszać do wewnętrznych spraw RP, ale decyzja rozpisania referendum na temat wejścia Polski do Unii wydaje mi się równie błędna co zbędna, a przede wszystkim ryzykowna. Są decyzje, które władza musi podejmować sama, na swój własny rachunek, jeżeli jest przekonana, że służy to, cokolwiek by oni nie sądzili, interesom obywateli i kraju. Po to właśnie władza została wybrana. Na zabobony nie ma racjonalnej riposty. Nie tylko trzy, ale i tysiąc książek im nie sprostą, co nie znaczy, że nie należy robić wszystkiego, żeby się to udało.

Te końcowe uwagi są po to, aby powiedzieć, że Nowak, Krzczunowicz i Onyszkiewicz nie byli sami. Ja także, z mojej perspektywy, na to wszystko z bliska patrzyłem. Inaczej mówiąc:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,  
A com widział i czytał, w *Kulturze* umieściłem.

Pisane 10 sierpnia 1999.

Leopold UNGER

Jan Nowak Jeziorański: „Polska wczoraj, dziś i jutro”. Wyd. Czytelnik. Stron 290.

Andrzej Krzczunowicz: „Krok po kroku. Polska droga do NATO”. Wyd. Znak. Stron 250. Indeks nazwisk, wykaz skrótów.

Janusz Onyszkiewicz: „Ze szczytów do NATO”. Rozmawiają Witold Beres i Krzysztof Burnetko. Stron 250.



## Wojsko Polskie do NATO

Zaledwie kilka miesięcy po wejściu Polski do sojuszu atlantyckiego, ukazała się nakładem londyńskiego instytutu wojskowości RUSI książka, naświetlająca proces i problemy reformy wojska polskiego w drodze do NATO\*. Autor, wykładowca strategii wojskowej na renomowanej akademii w Sandhurst, podjął się tu tematu nie tylko aktualnego, lecz również niezwykle trudnego, w sensie żmudnego docierania do faktów, przebijania się przez gęste kłęby tajemnic, jakimi sprawy te są otaczane w Warszawie. Stosunkowo dużo się o reformie wojska pisze, lecz z dostępem do rzetelnych informacji jest raczej trudno. Imponujący wykaz literatury, materiałów źródłowych i wywiadów jest tutaj dobitnym dowodem włożonego do książki trudu. Jest też ona w pierwszym rzędzie opracowaniem dla fachowców wojskowości, szukających pewnego obrazu wojska polskiego, w momencie wchodzenia do NATO. Lecz nie tylko. Wielką zaletą książki dr Latawskiego jest to, iż proces modernizacji WP kreśli na szerszym tle restrukturyzacji armii, w świetle ewoluującej doktryny obronnej. Jakkolwiek autor we wstępie zastrzega się, że jego celem nie była analiza rozgrywek wewnętrzzpolitycznych wokół reformy wojska, to jednak polityczno-społeczny kontekst dzisiejszych przemian w wojsku polskim stanowi istotny, niezmiernie interesujący wątek książki.

### *Dekomunizacja armii*

Dekomunizacja Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) oznaczała w pierwszym rzędzie likwidację Głównego Zarządu Politycznego (GZP), w okresie komunizmu sprawującego polityczną kontrolę nad wojskiem, od szczytów dowodzenia, aż po doły szeregowych żołnierzy. Eliminacja struktur GZP, w centrali i

\* Dr Paul Latawski: „The Transformation of the Polish Armed Forces: Preparing for NATO”. Whitehall Paper Series/RUSI, May 1999, London Royal United Services Institute for Defence Studies.

rejonach, była istotnym, lecz nie jedynym aktem dekomunizacji. Równie ważnym, a bardziej złożonym zadaniem, było rozwiązanie Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli tajnej policji wojskowej, oraz Zarządu II Sztabu Generalnego, dwóch najgroźniejszych źródeł komunistycznych wpływów w wojsku. Znaczne problemy były ze znalezieniem nowych kadr dla powstałych w ich miejscu nowych organizacji wywiadu i kontroli, Wojskowych Służb Informacyjnych (WSI) i Żandarmerii Wojskowej (ŻW). Około jedna trzecia dawnego personelu komunistycznego, po przeprowadzeniu odpowiednich weryfikacji, przeszła do nowych organizacji kontroli. Kolejne rządy postkomunistyczne wahały się z podjęciem bardziej radykalnych czystek, w dużym stopniu ze względu na brak entuzjazmu dla tego rodzaju akcji w samej armii. Dużo łatwiejszym zadaniem było przeprowadzenie symbolicznych zmian, takich jak zmiana insygniów wojskowych, umundurowań itp. Nader istotnym czynnikiem dla nowego oblicza WP było wprowadzenie z powrotem ordynariuszy połowych Kościoła katolickiego w r. 1991, a następnie prawosławnego (1993) i protestanckiego (1995). Biorąc pod uwagę ogromne trudności pracy duszpasterskiej w wojsku w czasach PRL-u znaczenie takich zmian trudno przecenić. Co jednak nie oznacza, że proces rechrystianizacji WP przebiega gładko, bez problemów. Coraz częstsza staje się krytyka aktywności Kościoła katolickiego, nietolerancji niektórych księży, porównywanych do ideologicznych komisarzy okresu LWP. Nadmierna klerykalizacja wojska staje się dziś przedmiotem znacznych kontrowersji.

### *Nowa doktryna obronna*

Równoległe z procesem dekomunizacji, rozpoczął się okres nowego myślenia strategicznego w Wojsku Polskim, w poszukiwaniu nowej doktryny, stosownej do nowej sytuacji geopolitycznej w Europie. Autor wyjaśnia tu, iż polski termin „doktryna”, podobnie jak w terminologii brytyjskiej, oznacza „myślenie strategiczne dla rozwoju odpowiedniej polityki, koncepcji obronnej”. Pierwsza, ogłoszona już wiosną 1990 r. nowa doktryna obronna, wyrażała tylko najbardziej elementarne zmiany w myśleniu strategicznym; nie było jeszcze mowy o NATO. Dopiero druga, ogłoszona jesienią 1992 r. doktryna,



wyraźnie określa dążenie do członkostwa w NATO jak cel strategiczny nowej doktryny obronnej. Dokument ten pierwszy raz wyraźnie stwierdza, iż zapewnienie bezpieczeństwa i suwerenności kraju jest podstawowym celem polityki obronnej, do którego będzie dostosowany proces reorganizacji, restrukturyzacji i reformy PSZ. Zawiera on też rewolucyjne stwierdzenie, iż w związku z celem wejścia do NATO, Wojsko Polskie musi dostosować się do działań operacyjnych z jednostkami armii sojuszniczych, jak na terenie Polski, tak na zewnątrz. To ostatnie, bardziej niesprecyzowane stwierdzenie o działaniach zewnętrznych, miało się później stać zobowiązaniem raczej kontrowersyjnym.

Polska doktryna obronna z 1992 r., wyjaśnia autor, ma wybitnie przejściowy charakter. Tylko w szerszych zarysach nakreśla program reformy wojska, brak w niej bardziej konkretnych schematów. Twórcy tej doktryny, podobnie zresztą jak autorzy nowej koncepcji strategicznej w Wielkiej Brytanii, pracowali wówczas w okresie znacznych niepewności odnośnie dalszego rozwoju politycznego w Europie, niepewna była przyszłość samego NATO. Z perspektywy lat wszystko wygląda inaczej, odbija się to w dyskusjach nad rewizją doktryny w Warszawie, chociaż konkretnej daty jeszcze nie oznaczono. Okazyjne raporty robocze wykazują jednak niedwuznacznie, iż nowa doktryna będzie zbliżona do koncepcji strategicznej NATO, co zaważy na kierunku modernizacji armii.

### *Racjonalizacja kosztów*

Racjonalizacja kosztów w procesie restrukturyzacji i modernizacji Polskich Sił Zbrojnych wiąże się głównie z koniecznością redukcji personelu, liczebności armii, oraz likwidacji niepotrzebnej, mocno przestarzałej infrastruktury. Od właściwego rozwiązania sprawy kosztów w tych dziedzinach zależy w dużym stopniu projekt modernizacji armii, jej profesjonalizacji i podniesienia poziomu technologicznego. Opcja całkowitej profesjonalizacji armii nie wchodzi na razie, w polskich warunkach, w rachubę.

Do końca ub.r. niżono stan osobowy armii z 400.000 do 280.000, a aktualny plan zakłada do roku 2004 dalsze niżnienie do liczby 180.000. Proces redukcji i profesjonalizacji przebiega

w niezwykle trudnych dla wojska warunkach, chaotycznej sytuacji, na tle sporów budżetowych między ministerstwami obrony i finansów. Sytuacja taka, przy braku odpowiednich inicjatyw, powoduje coraz większy odpływ z wojska zdolnych kadr oficerskich i poborowych.

Osobnym, niezmiernie złożonym problemem, jest sprawa zbędnej infrastruktury. Sedno problemu spoczywa w tym, iż znacznie zredukowana liczebnie armia dysponuje infrastrukturą dla podwójnie liczebnego stanu. Dochodzi do tego potrzeba modernizacji przeznaczonej do użytku infrastruktury, przy znikomych kwotach budżetowych.

Piętrzące się problemy budżetowo-finansowe, brak pomysłów na racjonalizację kosztów w procesie restrukturyzacji armii, są główną przyczyną utrzymywania planu reformy w tajemnicy. Dotyczy to również debat sejmowych, które odbywają się za zamkniętymi drzwiami. Sytuacja Ministerstwa Obrony w walce o przydziały funduszy dla wojska jest niezwykle trudna. W początkowym okresie odzyskania niepodległości można to było zrozumieć, potrzeby reformy gospodarczej kraju były na pierwszym planie. Dziś takie racje nie mają uzasadnienia.

### *Plan 2012*

Ze wszystkich uprzednich wersji reformy wojska, dopiero przedstawiony jesienią 1997 r. „Plan 2012” robi wrażenie rzetelnie przygotowanego planu modernizacji, szczególnie w zakresie rewolucyjnych zmian w strukturach dowodzenia armii. Od stycznia br. istnieją już tylko dwa główne ośrodki dowodzenia: Pomorski (łącznie z Warszawą) i Śląski (łącznie z Krakowem).

Największym problemem modernizacji, we wszystkich trzech branżach PSZ, wojsk armii, lotnictwa i marynarki wojennej, jest ogromna przepaść między wymogami potrzeb i możliwościami ich zaspokojenia, czyli brak środków, pieniędzy. Nawet najlepsza racjonalizacja kosztów w dziedzinach personelu i infrastruktury nie „zaoszczędzi” dodatkowych funduszy na zakup sprzętu, wprowadzenie nowych technologii. Ogół kosztów modernizacji w ramach Planu 2012 obliczany jest na około 12 miliardów dolarów. Tylko ok. 2 miliardy dol. z tej sumy wiąże się z kosztami dostosowania do NATO, reszta dotyczy właściwej modernizacji WP. Pytaniem



pozostaje, czy fundusze te są wystarczające na realizację przewidzianej w Planie 2012 modernizacji.

Odpowiedź na takie pytanie nie jest łatwa, bo oprócz powierzchownych informacji, źródła rządowe nie podają bardziej szczegółowych danych odnośnie zapotrzebowań poszczególnych branży WP. Można dochodzić do pewnego obrazu tylko drogą okólnych kalkulacji i dociekań. Po pierwszych latach gwałtownego obniżenia wydatków zbrojeniowych po upadku komunizmu, przydziały budżetowe na wojsko od 1994 roku utrzymują się w granicach 2,5 do 3% produktu narodowego brutto (GDP) i przy sumie około 3 miliardów dol. rocznie. Zakładając raczej trzeźwe prognozy dalszego wzrostu gospodarczego, sumy te będą maleć, będą coraz mniej wystarczające na pokrycie bieżących założeń planu. Dodatkowe fundusze Ministerstwo Obrony będzie musiało jakoś wygospodarować w ramach własnego resortu. Realistyczne oceny skłaniają więc do konkluzji, iż przewidziana planem modernizacji suma 9 miliardów dol. nie wystarczy, niedobór może wynosić aż jedną trzecią aktualnych potrzeb.

Problemy z finansowaniem modernizacji w ramach Planu 2012 mogą zaważyć na integracji WP do NATO na samym jej starcie. Konkretnie chodzi tu o sprawę udziału jednostek WP w „misjach zewnętrznych” NATO. Jest raczej niefortunne, iż Polska weszła do sojuszu w momencie, gdy sprawa tych misji zaczyna coraz wyraźniej wchodzić do nowej koncepcji strategicznej NATO, kładąc naciski również na nowe państwa członkowskie. Przygotowanie do tego typu zadań, nawet w ograniczonym zakresie, będzie wymagało dodatkowych środków, których brak. Polska raczej pochopnie przyjęła na siebie zobowiązania, z których niełatwo będzie się wywiązać. Wydatki na modernizację armii mają pierwszeństwo przed wydatkami na akcje, których strategiczne racje w ramach samego NATO pozostają jeszcze nieustalone, wątpliwe. Wyjście z tego rodzaju dylematów wymaga jednak współdziałania, a nie rywalizacji między ministerstwami obrony i finansów. Wymaga odpowiedniego klimatu dla wypracowania w przyspieszonym trybie, nowej doktryny obronnej, uwzględniającej nowe wymogi obronności kraju w ramach sojuszu atlantyckiego. Takie są konkluzje książki o drodze Wojska Polskiego do NATO widziane z Londynu.

Janusz MONDRY

## Czy za dwa lata coś się zmieni?

**Kraj**

1.

Z kilkoma parlamentarzystami umówiłem się na rozmowę po wakacjach. „Wie pan, jeśli się nic nie zmieni” – tak lub podobnie zastrzegali się moi rozmówcy. Najzupełniej bez sensu, bo cóż niby miałyby się zmienić przez jeden miesiąc. Zrozumiałem jednak, że w ten sposób wyraża się mimo woli powszechne wśród polityków wyczekiwanie. Jedni ze strachem, inni z niepokojem, jeszcze inni z nadzieją lub nawet z niecierpliwością wyczekują tego, co miałyby się zdarzyć po wakacjach, może nawet już we wrześniu.

Oczywiście, pierwszym – widocznym od razu na powierzchni, na stronach gazet – powodem takich nastrojów są wyniki sondaży opinii. Atakowani przez ankierów pod rozmaitymi kątami – na kogo byś głosował, kogo lubisz, kogo wolisz, do kogo masz zaufanie, kto się dobrze sprawuje na urzędzie, jak oceniasz sytuację kraju i własnej rodziny – wyborcy wypowiadają się coraz gorzej o politykach rządzącej koalicji, coraz krytyczniej o ich działaniach i coraz posępniej o sytuacji. Nie warto przytaczać szczegółowych tabel. Istotne jest, że ten ześlizg opinii trwa nieprzerwanie od lutego, z jedną dwutygodniową przerwą w czerwcu (wizyta papieska). Istotne jest również, że motywów złych opinii coraz przybywa i że pod pręgierzem stają kolejni członkowie rządu i szefowie centralnych urzędów. Fatalne rezultaty reformy służby zdrowia, te zawinione przez wykonawców, lecz coraz wyraźniej i te z góry wpisane w scenariusz przez rząd i parlament – są



ciągle na pierwszym planie, ale z miesiąca na miesiąc przybywa innych powodów do zmartwień. Chłopi, górnicy, pielęgniarki, znowu chłopi, zbrojeniówka, znowu górnicy, kolejarze, kryzys płatności i utrata kontroli składek w ZUS, kilometrowe chłopskie ogonki do punktów skupu... Warszawa, gdzie odbywają się wszystkie manifestacje, ma prawo być zmęczona, ale miasto jest zdumiewająco cierpliwe. Stoi w korkach i patrzy. „Oni mają rację manifestując” – odpowiadają warszawiacy ankieterom, mimo, że gazety i media bliskie liberalnej stronie rządu szczują przeciw manifestantom na wszelkie sposoby, a prezydent stolicy Paweł Piskorski chciałby zakazać im wstępu do Śródmieścia. Cierpliwość warszawiaków jest tym znamiennejsza, że Warszawa to najbogatszy ośrodek w Polsce: tu jest najwięcej samochodów, najwięcej dobrze sytuowanych ludzi, najwyższe zarobki i najniższe bezrobocie. Tutaj więc ludzie z opóźnieniem uświadamiają sobie to, czego Polacy z prowincji, ze wsi, z małych i średnich miast doświadczają już na własnej skórze: że *prosperity* się skończyła, że dobrze już było.

Wyniki pierwszych siedmiu miesięcy br. każą się obawiać, że wzrost PNB w 1999 roku z trudem dobieje do 3% (wobec planowanych 5,2%). Tadeusz Toczyński, prezes Głównego Urzędu Statystycznego, określił sytuację jako „stan optymistycznego oczekiwania na impulsy wzrostu”, czym rozbawił zgromadzonych dziennikarzy. Świadectwem tego „optymistycznego oczekiwania” ma być wzrost zadłużenia ludności (od XII 98 do VI 99 więcej o 18,9% zaciąganych kredytów, głównie konsumpcyjnych). Według prezesa, skoro się pożyczka, to widocznie oczekuje się poprawy. Rzecznik prasowy GUS, Wiesław Łagodziński uznał, że zapożyczanie się „świadczy o determinacji konsumpcyjnej społeczeństwa”. Tymczasem „determinacji” tej odpowiada spadek oszczędności w rodzinach, obniżenie skłonności do oszczędzania i gasnący wzrost płac realnych brutto w przedsiębiorstwach. Bezrobocie znów rośnie, przekroczyło już 11,6%, choć zaledwie przed rokiem świętowano jego spadek poniżej 10%. We wrześniu przekroczy 12% wskutek pojawienia się w statystyce 200 tysięcy absolwentów (rejestrować się można po 3 miesiącach od ukończenia szkoły).

Pomoc dla bezrobotnych jest coraz cieniejsz rozsmarowywana: zasiłki pobiera tylko co czwarty, a reszta chodzi do pomocy społecznej. Przy stopie wzrostu 3% bezrobocie będzie rosło nadal, może nawet skokowo, gdy na rynek pracy zaczną wchodzić roczniki wyżu demograficznego lat 80-tych. Tymczasem na koniec czerwca br. zatrudnienie w sektorze przedsiębiorstw dużych i średnich było o 1,6% niższe niż przed rokiem. Zwolnienia grupowe, tzn. obejmujące ponad 10% załogi miały miejsce w 1998 r. w 100 przedsiębiorstwach, a w I półroczu br. – już w 80. Wg CBOS 40% w próbie ogólnopolskiej uważa, że przyszłość ich zakładu pracy jest zagrożona.

Pogorszyła się kondycja finansowa firm i jeszcze bardziej dyscyplina podatkowa. Niektóre wielkie przedsiębiorstwa publiczne pracujące pod kreską nie płacą nic, nawet składek na ZUS, o czym z goryczą przypomina prasa liberalna przy każdej manifestacji. Nie rozgłasza się natomiast przykładów spółek jak najbardziej prywatnych, o kapitale zagranicznym, które wykazują straty księgowe (przemysł samochodowy, tłuszczowy), mimo dobrej sprzedaży.

Nie ma natomiast wątpliwości, i to jest zapewne najczerwieńsze światło ostrzegawcze, że osłabły procesy inwestycyjne. Nakłady brutto na środki trwałe, które w I kw. 1988 r. wzrosły o 17,5%, w tym roku w I kw. wzrosły tylko o 6% (dane nominalne, co oznacza realnie stagnację). Statystyk późniejszych jeszcze brak, ale nie zapowiadały się dobrze.

Spór polityczny, jaki toczy się w koalicji na temat przypisywanego Balcerowiczowi „chłodzenia gospodarki”, jest statystycznie nierozstrzygalny. Wicepremier twierdzi bowiem, że niczego nie chłodził, nawet jeśli jego wiceministrom coś się na ten temat wypsnęło. Pogorszenie wyników jest skutkiem oddziaływań zewnętrznych, zwłaszcza kryzysu rosyjskiego, dekonunktury w Europie Zachodniej, a teraz jeszcze śrubowania cen ropy przez OPEC. Wicepremier, w tej wersji, nie chłodził, a tylko bronił równowagi budżetu oraz popierał NBP i Radę Polityki Pieniężnej, stojące na straży mocnego pieniądza. Bez mocnej złotówki nie mielibyśmy zagranicznego kapitału i nie dałoby się prywatyzować Polski. Wiadomo, że prywatyzacja i to z wydatnym udziałem zagranicy, bo w Polsce brak wolnych kapitałów, jest alfą i omegą polityki



obecnej koalicji. Ale obok pryncypialnych względów ważne jest, że właśnie wpływy z prywatyzacji, masowej i przyspieszanej (zwłaszcza banków), umożliwiają w tym roku wicepremierowi nienowelizowanie budżetu i niepodwyższanie limitu deficytu budżetowego, mimo że już w końcu lipca limit ten był na wyczerpaniu (97%). W przyszłym roku źródło to zacznie wysychać. Po pierwsze najsmakowitsze kawałki już sprzedano, po drugie opór polityczny i społeczny wobec wyprzedzaży kraju rośnie, po trzecie wreszcie rząd sam, ze względów ideowych, rozniecił nadzieje reprivatyzacyjne i spowodował, że im dłużej trwa awantura o reprivatyzację, tym wstrzeźliwsi będą inwestorzy. Nawet jeśli rząd i pozycja Balcerowicza w rządzie pozostaną na jesieni niezachwiane, nie wydaje się, by wicepremier zdołał obronić swój preliminarz budżetowy na rok 2000 i swój projekt reformy podatkowej. W szczególności koncepcja, by ubytek podatków bezpośrednich nadrobić wzrostem podatków pośrednich VAT i akcyzy, najpewniej nie przejdzie. Po ostatnich drakońskich podwyżkach akcyzy na paliwa płynne skarb państwa zabiera 75% ich ceny detalicznej (jako 22%-owy VAT i akcyzę). W połączeniu ze wzrostem ceny ropy czyni to z paliwa istotny czynnik inflacyjny. Ze strony Rady Polityki Pieniężnej usłyszeliśmy już w sierpniu, że jeśli inflacja zacznie rosnać to NBP znów podniesie stopy procentowe. To zaś byłoby katastrofą dla naszego eksportu. A tegoroczne saldo ujemne obrotów bieżących już i tak przekroczy zapewne 6% PKB (wobec 4,4% w 1998). Zdaniem doradcy ministra finansów, prof. Stanisława Gomółki, nie wolno więc dopuścić do dalszej aprecjacji złotówki i stopy procentowe wypadłoby raczej... obniżyć.

Tak wyraźna rozbieżność opinii świadczy najzwyczajniej, że polityka gospodarcza inspirowana neoliberalnymi wzorcami i ideałami ujawnia swą zawodność również jako strategia wzrostu.

Mimo nagłości bieżących problemów i mimo ostrości polemik wokół poczynań Balcerowicza, sprawa nie ma bowiem charakteru przede wszystkim doraźnego. Niewydolność neoliberalnego gospodarowania nie na tym przecież polega, jak sugerują jego obrońcy, że zawodzi ono tylko wobec pogorszenia się niektórych warunków zewnętrznych. Chodzi

o to, że zawodzi ono też w warunkach normalnych. Nie ma szans, by Polska mogła tak gospodarując dogonić Unię Europejską, odzyskując wysokie stopy wzrostu z poprzednich lat. Tamto właśnie tempo było wyjątkowe.

Nasi liberałowie sądzą, że koncentrując cały wysiłek polityczny na ograniczaniu ekonomicznej i socjalnej funkcji państwa i wspomagając w ten sposób wzrost udziału kapitału w podziale dochodu narodowego, spadek zaś udziału płac i świadczeń socjalnych osiągną równocześnie dwa cele rozwojowe: przyciągną kapitały inwestycyjne z zagranicy i zwiększą skłonności do inwestowania rodzimych posiadaczy kapitału. Temu sprzyjać mają wszystkie dosłownie poczynania: reformy służące redukcji świadczeń i ochrony socjalnej, decentralizacja zdejmująca odpowiedzialność z władz centralnych, forsowna prywatyzacja, reforma emerytalna i reforma podatkowa jako kolejne uprzywilejowanie bogatych itd.

Czy ta negatywna polityka może się udać? Nie wygląda na to. Pominę porównania międzynarodowe, które wskazują, że jak dotąd ten kurs działa naprawdę skutecznie tylko w USA, dzięki zapewne bardzo specjalnym tradycjom tego kraju z jego kultem sukcesu, pieniądza, indywidualizmu – i dzięki jego pozycji supermocarstwa. W Polsce koszty społeczne są tak duże, że liberalna „polityka negatywna” jest w rosnącej mierze polityką samoniszczącą. Nie tylko z racji czysto ekonomicznych, jak np. że nie podobna liczyć na zastąpienie popytowych bodźców wewnętrznych nieustanną ekspansją eksportową na najtrudniejsze rynki świata (podbój takich rynków wymaga długich lat, nawet jeśli już będziemy w Unii Europejskiej). Głównym aspektem niszczycielskiego działania neoliberalnego modelu jest osłabianie więzi społecznych, rozbudzanie chęci buntu – nawet irracjonalnego, bardzo powszechne poczucie krzywdy i niesprawiedliwości towarzyszące indywidualnym sukcesom i medialnym kultom idoli. Jest nim również rosnąca korupcja, niewydolność sądownictwa i zarazem jego niedostępność dla społecznie i ekonomicznie słabych.

Najbardziej zaś destrukcyjnym efektem negatywnej polityki liberałów jest kompromitacja samej sfery politycznej i oczywiście jej głównych aktorów, partii politycznych. Za tym



zaś kryje się kompromitacja również demokracji parlamentarnej.

Na pytanie CBOS: „Czy, Pana(i) zdaniem, ludzie tacy jak Pan(i) mają wpływ na sprawy kraju?” – obywatele III RP odpowiadali w końcu lipca: Zdecydowanie *tak* – 2%; Zdecydowanie *nie* – 50%; Raczej *tak* – 9%; Raczej *nie* – 37%; Trudno powiedzieć – 2%.

Oto więc wskazówka, że demokracja jest dla prawie każdego Polaka czymś, co jego nie obejmuje, systemem, z którego mimo pięknych słów i ciągłych reform mających ponoć „przybliżyć władzę do ludzi” – on sam jest wyłączony.

Myszę, że to właśnie zaczęło już skutkować głuchym niepokojem moich parlamentarnych rozmówców. Choć może ich przeceniam. Praktycy władzy, którzy stale coś robią, radzą, uchwalają, nowelizują, reformują – oduczuli się pytać, co z tego wynika. „Rób coś, ruszaj się ...” (E. Zegadłowicz). Robią więc. Ale co właściwie z r o b i ł e ś, panie pośle, ministrze, premierze?

## 2.

Prof. Ireneusz Krzemiński, socjolog z solidarnościowym rodowodem, rozważa w *Rzeczypospolitej* (31 VII – 1 VIII), co mogłoby uratować obecną koalicję. Podobnie jak prof. Jadwiga Staniszkis, którą już cytowałem na tych łamach, jest wśród zwolenników obecnie rządzącej koalicji, bliski raczej AWS niż Unii Wolności. Krytykuje on swój rząd nie za niedostateczną efektywność gospodarczą lub niesprawność organizacyjną, jak to zazwyczaj robią liberałowie, i nie za lekceważenie interesów pracowniczych, lecz za niesprostanie nadziejom na moralną i obywatelską naprawę Rzeczypospolitej. Krzemiński chciałby wprowadzić wierzyć, że „to właśnie w latach rządów PSL i SLD uformowała się ostatecznie nowa, bardzo negatywna definicja polityki i polityków”, ale przyznaje że „nasi” okazali się „równie sprawnymi budowniczymi kolejnej nomenklatury jak ich poprzednicy”. Szczególną winą koalicji AWS-UW i zarazem przyczyną jej „obecnej klęski” jest „sposób, w jaki wprowadzono reformy”.

„Uderzająca jest nie tylko siła społecznych protestów, ale

również zadziwiający i dotąd niespotykany w dziesięcioletniej historii stopień ich społecznego poparcia, i to takich form protestu, których dotychczas ogół nigdy nie akceptował. Trudno znaleźć lepszy dowód skali społecznej frustracji i rozczarowania. Po pierwsze (...) nadzieja na uczestnictwo, efektywną dyskusję i liczenie się z głosem opinii publicznej okazały się znowu mrzonkami (...). Po drugie – oczekiwanie na uczciwe i sprawiedliwe działania reformującego się państwa zostały równie drastycznie złamane (...). Sądzę, że jeżeli rządząca koalicja chce mieć uzasadnione poczucie, że rządzi dla dobra ludzi i nie musi obawiać się wyników przyszłych wyborów, to powinna podjąć bardzo stanowcze kroki, które pozwoliłyby na odrobienie strat. Niestety, wydaje się, że pierwszym krokiem byłaby zmiana rządu (...). Inaczej wszystko pozostanie bez zmian, a obecna koalicja przygotowuje swoją klęskę w następnych wyborach”.

O tym, że za rok Aleksander Kwaśniewski uzyska odnowienie mandatu, a za dwa lata SLD wygra wybory, przekonana jest znakomita większość klasy politycznej. Nie wynika to z deterministycznej wiary w sondaże opinii, lecz z niewiary w zdolność do samonaprawy obecnie rządzących. Prawie wszyscy przyjaciele AWS domagają się, jak Krzemiński, zmiany rządu, ale też niemal nikt nie sądzi, by koalicję było stać w tym względzie na więcej, niż operację kosmetyczną. Z Jerzego Buzka jako premiera nikt się już nawet nie śmieje, wszyscy mu współczują. Mocnemu człowiekowi koalicji, Marianowi Krzaklewskiemu, koledzy stopniowo odkręcają ręce. „Z pewnością wszechwładza Krzaklewskiego, charakterystyczna dla okresu tworzenia AWS, kampanii wyborczej i tworzenia rządu, jest stopniowo przez partię ograniczana” – powiada Aleksander Hall z SKL (w rozmowie z Wojciechem Załuską z *GW*). – „Uznajemy jego przywództwo, ale nie zamierzamy bezkrytycznie podążać za każdym jego pomysłem”. Może oznacza to więcej swobody dla kierownictw partyjnych w AWS, ale zapewne również osłabienie zdolności decyzyjnych i tak nie najlepszych. Nawet jeśli AWS będzie teraz więcej myśleć, to na pewno wolniej decydować i osłabnie dyscyplina w formacji, w której każdy szarpie za inne ucho.

Drugim czynnikiem, który nie pozwala wierzyć w możliwość rzeczywistej zmiany „strategii działania” (J. Krzemiński) koalicji jest ciężar uzbieranych zdobyczy: kadr, posad,



źródeł zasilania i całego *acquis* legislacyjnego. Koalicja nie tylko nie naprawia swej polityki kadrowej, ale w przewidywaniu porażki zabezpiecza tyły. O Instytut Pamięci Narodowej mniejsza, gdyż teczki przestaną być wkrótce chodliwym towarem politycznym. Bardziej znaczący jest skład Rady Służby Cywilnej: miejsca obsadzone przez parlament przypadły po równi koalicji i opozycji (4:4), ale premier ze swojej puli dał siedem miejsc przyjacielom, a tylko jedno opozycji. Legitymacja partyjna jest ważnym kryterium kadrowym w całym państwowym sektorze gospodarczym i oczywiście w administracji. Nomenklatura jest nadal adekwatnym terminem opisu. Spolszczając mówi się i pisze o republice koleśiów... Jednym z kluczowych problemów po oczekiwanym zwycięstwie SLD będzie pytanie, czy partia ta potrafi oprzeć się naturalnej pokusie kontynuowania tego systemu. Od tego będzie w dużej mierze zależeć nie tylko to, jak jej się powiedzie u władzy, lecz znacznie więcej: uzdrowienie polskiego państwa i zwalczenie korupcji.

### 3.

Środowiskiem politycznym, w którym najmniej mówi się o przyszłym zwycięstwie SLD, jest właśnie sam SLD, przynajmniej jego warszawskie i parlamentarne przywództwo. Nie wyczuwa się tam żadnego triumfalizmu na zapas. Poseł Janusz Zemke powiedział mi, że wspaniałych wyników sondaży, w których SLD uzyskuje ok. 40% intencji głosowania (czyli wg obecnej ordynacji sporo ponad połowę mandatów), „bardzo się boimy w partii”. Istotnie, nowy SLD jest w trakcie organizowania się, układania programu, przygotowań do zjazdu (19 XII). Jego tożsamość polityczna jest, by tak rzec, celowo rozchwiana (Leszek Miller jest rzecznikiem tej strategii), gdyż chodzi o pozyskanie adherentów w nowych środowiskach i przygotowanie tam przyszłych przychodzących wyborczych. W toku takiej kampanii demobilizacja oczekiwanym sukcesem byłaby niebezpieczna. Nadzieja na zwycięstwo pomaga wygranej, ale pewność sukcesu przynosi porażkę.

Chcąc odnieść polityczny, a nie tylko arytmetyczny sukces w wyborach, SLD musiałby umieć uruchomić elektorat dotychczas bierny, sięgnąć do tej połowy wyborców, którzy

w ogóle nie głosują. W poprzednich wyborach udała się ta sztuka Krzaklewskiemu, choć w niezbyt imponującej skali. A przecież świeżo zjednoczona prawica miała wówczas bardzo silne wsparcie Kościoła.

W tej chwili Sojusz ma bardzo pewne wsparcie swego tradycyjnego wyborcy: 88% tych, którzy głosowali na SLD w 1997, zamierza powtórzyć swój wybór w 2001. AWS ma tylko 65% takich wiernych (m.in. 13% nie będzie głosować, a 9% zagłosuje na SLD). Wiernych Unii Wolności jest 66% (11% przeniesie głosy na SLD). Z elektoratu PSL aż 21% przeniesie głosy na SLD. Wydaje się jednak, że w wielu sytuacjach łatwiej jest pozyskać tych, którzy dawniej głosowali już na innych, niż tych, którzy nie głosowali w ogóle i niczego się po urnie wyborczej nie spodziewają. Supozycja ta wynika z poprzednio omówionego poczucia obywatelskiej bezsilności jako głównego dylematu demokracji parlamentarnej w Polsce.

Aby rozbudzić i przyciągnąć tych nowych wyborców, trzeba nade wszystkim umieć przemówić do nich nowym językiem. Dotychczas używane w III RP są już bardzo zdarte.

Zdarty jest język Solidarności, zwłaszcza jej „etosowej” odmiany, tak lubianej kiedyś w Unii Wolności. Co z niego zostało, pokazał niedawno na łamach *Gazety Wyborczej* Andrzej Szczypiorski w bulgocącej jadem diatrybie przeciw awansowi chamów i chamstwa, który to awans stanowić miał zarówno istotę początków PRL jak i solidarnościowej władzy.

Zdarty jest oczywiście język chłopów, którzy już nie bronią i nie żywią: broni nas NATO a na żywność nie ma zbytu.

Mniej zdarte są języki liberałów i narodowców, ale swą żywotność okupują rosnącą niespójnością: są coraz bardziej niezborne i nawet wewnętrznie sprzeczne.

Narodowcy nadal wracają na Zachód, oczywiście chrześcijański, gdzie jest przyrodzone miejsce Polski. W miarę jednak jak się posuwamy w tym powracaniu, jednolita wizja Zachodu na horyzoncie różnicuje się i ukazuje, z punktu widzenia polskiego narodowca, coraz więcej cieni. Wzrastają lęki przed ztratą tożsamości, narodowego obyczaju i narodowych interesów w zintegrowanej Europie, która jednak nie chce być chrześcijańska w rozumieniu ZChN, z kolei zaś



polska prawica ma w sobie dość Dmowskiego, żeby realistycznie oceniać swoje szanse w dziele ewangelizacji Zachodu. Tym jednak bardziej wybija się na czoło negatywny aspekt dążenia naszej prawicy na Zachód: byle dalej od Rosji, od Ukrainy, od Wschodu. Unia Europejska na pewno nie gwarantuje takiego odciążenia. Tym bardziej prawica chce się nastawić na Stany Zjednoczone: Radek Sikorski, wiceminister spraw zagranicznych od promocji Polski, ostatnią swoją wyprawę partyzancką odbywa na MDM w Warszawie, by przemianować plac Konstytucji na plac Ronalda Reagana. Ale w tym hołdowniczym akcie jest zarazem odrzucenie Ameryki Clintona. Zdumiewać może jak alergicznie reaguje nasza prawica na *political correctness* tej Ameryki: poważni publicyści piszą, że w ten sposób erylguje się zgniliznę moralną (relatywizm) do rangi najwyższej zasady. A to by jeszcze było pół biedy, niech sobie Amerykanie gniją u siebie, gdyby nie ujawniona w tym roku, w Kosowie, a przedtem przemilczana oczywistość, że Ameryka i NATO, które mają nas bronić przed zarazą ze Wschodu, roznoszą ową *political correctness* po świecie i otwarcie głoszą, że prawa człowieka (jednostkowego, grzesznego człowieka, nawet nie Polaka i nie katolika) mają pierwszeństwo przed prawem narodów. Brzeziński mówi otwarcie, że Europa jest protektoratem Stanów Zjednoczonych i nasza prawica godziła się z tym jeszcze chętniej niż inne polskie partie – ale przecież, na miłość Boską, nie takich Stanów Zjednoczonych... Wszystko to nie jest wcale karykaturą: Radio Maryja, posłowie skrajnej prawicy i bliskiego mu skrzydła PSL tak właśnie komentowali wydarzenia bałkańskie ujawniając jak bardzo, wręcz schizofrenicznie, zaostrzył się główny dylemat prawicowego języka: na Zachód, ale nie taki!

Niekoherencja języka liberałów jest, rzekłbym, bardziej wypracowana. Zresztą nie pierwsza. Już przed kilkoma laty liberałowie przeżyli szok w zetknięciu z twardymi postulatami Kościoła. Ustąpili, jak wiadomo, na całej linii, co się wyraziło symbolicznie w ten sposób, że Unia Wolności prezentująca się najpierw na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, jako lewica Solidarności i nurt socjaldemokratyczny, wylądowała wśród chadeków. Idolem tej ewolucji była Hanna Suchocka... Zresztą jedno i drugie było nieprawdą, i socjaldemokratyzm,

i chadecja: Unia Wolności to liberałowie, którzy się w tamtej fazie nie zdołali przyznać do siebie. Balcerowicz ich wyzwolił. Unia Wolności jest odtąd partią z własną twarzą, powinno więc być dobrze, ale nie jest. Bo teraz niekoherencja tkwi właśnie w tym otwarciu liberalnym kursie, nie jest kamuflażem, wymuszonym kompromisem, ale skazą własną. Unia Wolności, mianowicie, głosi konsekwentnie konieczność jak najszybszego włączenia do struktury Zachodu, co po zrealizowaniu akcesu do NATO, oznacza teraz Unię Europejską, ale zarazem chce wierzyć i wmówić swoim wyborcom, iż jedyną strategią realizacji tego celu jest liberalne „państwo minimum”, bez funkcji socjalnych, zdecentralizowane, o zredukowanych zakresach odpowiedzialności. Czytelnik prasy tego kierunku od lat wyobraża sobie, że w miarę przystępowania do Unii, to Bruksela przejmie obowiązki wobec społeczeństwa, których zrzekają się liberalne gabinety. Bruksela przekwalifikuje naszych bezrobotnych, przerobi rolnictwo, nadwyżkowym Polakom da pracę u siebie, w Europie, a do nas będzie tymczasem płynął życiodajny strumień eurośów na inwestycje... Otóż teraz do tego typu myślenia przenikać zaczyna poczucie, że ta strategia jest niewykonalna, że dążąc liberalnym kursem albo skazemy naszą gospodarkę na kompletnie zniekształcenie, albo nigdy nie dotrzemy do Unii.

To tyle o niezbornościach naszych języków politycznych. A SLD?

SLD nie ma języka, posługuje się volapückerem i językiem migowym (między swoimi). Volapücker może podołać krytykowaniu rządu, za wszystko i jak popadnie. Volapücker mógł wystarczyć na jedno zwycięstwo: „tak być nie musi” jako jedyna obietnica. Teraz jeśli SLD chce wygrać, musi sobie język znaleźć i ci, którzy dokonują przebudowy swej formacji, dobrze o tym wiedzą.

Wspomniałem uprzednio o aktualnym celowym rozchwianiu tożsamości SLD, co zresztą można uznać za pierwszy skutek otwarcia proklamowanego przez Leszka Millera. Spoistość formacji zapewnia w tym czasie ów język migowy ale to, oczywiście, nie może trwać.

W SLD ujawniły się po raz pierwszy tak wyraźne różnice programowe; czasem się mówi o partii Schrödera i partii Lafontaine'a. Przeciwnicy SLD, których nie brakuje, nie wie-



rzą tym dyskusjom. Ich zdaniem będzie po prostu tak jak zwykle u socjaldemokratów: „lewe skrzydło”, pyskacze od krytykowania obecnej koalicji, mają wygrać wybory, a potem stery obejmą ci sami, którzy już rządzą: Rosati, Kołodko, Belka (oczywiście nie razem). Rozumowanie logiczne, ale chyba nie docenia socjaldemokratycznych sporów. Ani nie są one pozorem, ani lewe skrzydło nie ogranicza się do „pyskaczy”.

Nominacja Andrzeja Celińskiego na szefa komisji programowej nowego SLD (do którego wstąpił tego samego dnia) była, oczywiście, sensacją dnia. Leszek Miller przeformował tę kandydaturę wbrew bardzo znaczącym sprzeciwom, np. Marka Borowskiego. Intencja Millera jest oczywista: pokazać jak bardzo otwarty jest nowy SLD i jak bardzo nowy ma być poszukiwany nowy język. Równie oczywisty jest sprzeciw Borowskiego, który reprezentuje ciągłość rozwojową formacji.

Ukształtowany podział na lewe i prawe skrzydło w SLD ma klasyczny charakter socjalny, aczkolwiek nawet prawe skrzydło nie godzi się na „państwo-minimum”. Zadaniem Celińskiego będzie uruchomić w SLD inny kierunek debaty. Nie skoncentrowany na rewindykacjach, ale na naprawie państwa i jego instytucji, aby je przybliżyć do społeczeństwa. To też spowoduje podziały, ale według nieco innych linii. Z całej biografii Celińskiego największą użyteczność dla jego nowej partii ma, paradoksalnie, jego przeszłość KOR-owskiego socjologa, wyznawcy obywatelskiego społeczeństwa.

Zastanawianie się dzisiaj, czy to wszystko jest na serio, czy to może tylko atrapa, uważam za bezsensowne. Entomolog Niesiołowski przyznał się niedawno *Rzeczypospolitej*, że choć powinien polubić pająki, nie potrafi, bo mu się zaraz kojarzą z „czerwonymi pająkami” z PZPR. On już naturalnie wie co o tym myśleć, podobnie jak Stefan Bratkowski, który nazywa Celińskiego – byłym Celińskim. Ale myślenie o polityce wymaga wzniesienia się ponad poziom skojarzeń. Ja więc – nie wiem. Wiem natomiast, że kształtowanie się programu nowej partii, przebieg i rezultaty jej grudniowego kongresu, będą najdonioślejszym wydarzeniem na naszej scenie politycznej w tym roku.

Różne skrzydła, czy lepiej powiedziawszy, różne „wrażliwości” (*sensibilités*) mogą w nowej SLD współistnieć i współ-

działać. Ale warunkiem jest, by partia ta otworzyła swym programem perspektywę nie ograniczającą się do stereotypowej „modernizacji Polski” i „przynależności do Zachodu”. Sprawiedliwość społeczna musi być ośrodkiem tej perspektywy, lecz nie werbalnym.

Tylko wówczas SLD będzie mogła rzeczywiście nie tylko wygrać wybory, ale sprawić, by Polacy po roku, dwóch, tego nie żałowali.

13 sierpnia 1999

Krzysztof WOLICKI

## Z ukosa

Ściana budynku w małym szwedzkim przytulnym miasteczku Mariefred otwiera swoje małe usta, w które wkładam polską kartę płatniczą i te plastikowe usta wydają mi pieniądze. Jestem dziecięco wzruszony. Dotykając jeszcze ciepłych banknotów, po raz pierwszy dotykam żywego dowodu, że polski organizm został podłączony do organizmu zachodniej Europy. To jest powrót po stuleciach, o czym przypomina choćby piękny zamek królewski Gripsholm, już za rogiem uliczki widzę go jak na dłoni na tle nieba i wody. Jak tu się płacze polska historia. W tym miasteczku internowano polskich marynarzy z łodzi podwodnej Orzeł, zapewne jeszcze kilku żyje. A patrząc na fasadę zamku wiem, w której wieży szalony król Eryk więził swego brata Jana i jego polską żonę Katarzynę Jagiellonkę, tu więc przyszedł na świat nasz król Zygmunt III Waza, a jego biedna matka, potem królowa Szwecji, darła koszule na pieluszki. To w tej wieży narodziło się zarzewie późniejszych wojen polsko-szwedzkich, których pretekstem były spory dynastyczne i religijne, wojen, które



spustoszyły Polskę i pomogły jej upaść. Czy dopiero dzisiaj raz na zawsze podnosimy się z upadku?

Na każdym kroku w Polsce spotykam brak wiary w siebie, a wiarę w kruchość obecnego rozwoju. Wszyscy jak szaleni pędzą do przodu, z pochylonymi głowami, a w rzadkich wolnych chwilach wykrzykują: to wszystko na pewno źle się skończy.

Polski pęd, nerwowość, a po drugiej stronie Bałtyku spokój. Zbyt wiele lat mieszkałem w Szwecji myszkując po licznych zakamarkach tego kraju, by nie wiedzieć, że za plecami tego spokoju mieszkają ukryte demony, wywlekał je na scenę swoich dramatów Strindberg, a w filmach Bergman. Ale one od naszych są odmienne, introwertyczne, gdy słowiańskie mają bebechy na wierzchu. O polsko-szwedzkich odmiennościach wiele pisałem, przed laty mój referat na ten temat na międzynarodowym seminarium odniósł nawet pewien sukces; powiedzmy, że był to sukces brutalnego uogólnienia, którego być może również nadużywam w tych tekstach o Polsce, i za które krytykują mnie najbardziej subtelni czytelnicy *Kultury*. Nie będę rozpisywać się o Szwecji, bo wiem, że nie trafiłbym szybko skończyć, a czuję też ból kolejnej książki, tym razem o Skandynawii, której nie napisałem. Znam też na pamięć swoje zdziwienie tym krajem, przy każdym po latach spotkaniu z jego planetarną odmiernością.

Najpierw był jednak prom „Rogalin” ze wzruszająco dobrze zachowanym dizainem lat 70-tych, i jak zawsze obok grupki cywilizowanych Polaków i młodzieży o ładnych, otwartych twarzach, najbardziej żywa i widoczna jest nasza szlachta zaściankowa, która niedawno zrobiła spore pieniądze, a w głowach im się do końca pokiełbało. Postacie jak z pamiętników Paska, te gęby, brzuchy, alkohol paruje z głów, i to przekomarzanie się, wywlekanie flaków duszy na drugą stronę, a jak jest okazja są wzdęcia godnościowe. W południe, gdy prom przybył do Nynesham, owi osobnicy wsiedli do swego wozu jak na koń, a stężenie oparów alkoholu było tak gęste, że płomień z zapalniczki groził wybuchem. Nic dziwnego, że Szwedzi wzięli ich potem na wielkie trzepanie. Siedzieli w samochodzie oczekując na kontrolę, już mniejsi, bez powietrza, ale gotowi się stawiać. Ten typ Polaka przejdzie zapewne wkrótce na zawsze do literatury. Może szkoda? Na

ich miejsce wkraczają nowi, młodzi. Krótko ostrzyżeni, w zimie w dresach, w lecie zawsze w luźnych pantalonach nieco poniżej kolan, na nogach adidas, zarysowany początek przyszłego brzucha, byczy kark, telefon komórkowy, co drugie ich słowo „kurwa”. Mniej piją, więcej biją. Nawet gdy wydaje się, że nic nie robią, załatwiają jakieś interesy. To nasza klasa może nie średnia, a średniawa, małe cwaniaczki, które czasem robią duże interesy, zawsze na granicy półświatka, żyją w szarej, a czasami mrocznej strefie. Widać ich na każdym kroku. Wzdęcia naszej szlachty przekształciły się u nich w bezwzględność arogancję. Oni już nie wiedzą co to gest, nie nadymają się, wszystko zostało zjedzone przez załatwianie spraw. Co było szlacheckie, zmienia się w cwaniackie.

Jadę samochodem, odpominam te niezwykle krajobrazy, łagodne wzgórza i liczne mocne skały w uprawie lasu, ten krajobraz przecież nie zawsze łagodny, ma w sobie piękną melancholię, wydaje się wypieszczony przez naturę ale też przez delikatną rękę człowieka, nic go nie kaleczy, ani śmieci na poboczu, ani śmieci w postaci szpetnych domów.

Sztokholm, gdzie tak mocno żyłem przez cztery lata, strzępki wspomnień z mojej dyplomatycznej kariery? Dlaczego tego też nie opisałem? Tu przydałoby się pióro Gogola. Przybywałem do tej polskiej placówki, jako pierwszy dyplomata już wolnej Polski, a w ambasadzie nomenklatura roztrzęsiona końcem ich świata. Szwecja jest znakomitym tłem by obserwować zawilgości polskiej duszy, wszystko co w nas dobre i złe bardzo na tym tle uwyrażnia się. Nasi emigranci? Jak wiele wśród nich jest niezwykłych ptaków, którym tak urosły skrzydła, że zamiatają nimi ulice.

Teraz mocne, ale sympatyczne poczucie inności, na niewielkiej wyspie, jakże intymnej chociaż tak blisko wielkiego Sztokholmu. Wzgórze ze skrawkiem ruin twierdzy Wikin-gów, dużo wody, biały kościółek z XII wieku, gdzie nawet jeśli bywa Bóg, prawie nigdy nie słyhać modlitwy, za to głośnik włączony przez kościelnego mówi w kilku językach do wyboru, o historii tego miejsca. Szwedzi jako panteiści modlą się zapewne po cichu do przyrody, a nową głośną modlitwą jest rzetelna informacja. Na polu widzianym ze wzgórza stoją kamienie runiczne, każdy z czerwonym napisem, wyrytym w kształcie węża, gdzie pismo jest zarazem ma-



gicznym rysunkiem. Te kamienie, jak przybysze z kosmosu, są listami od innej cywilizacji. Ale nie mogłem nie pomyśleć o nich w nawiasie naszego polskiego kompleksu niechlujstwa. Na naszych rodzinnych polach ostoją się może anioły ale takie kamienie, choć potężne, jednego dnia chłop by roztrzaskał kilofem, a Kowalski uwiecznił swoje „Ja” dumnym napisem „byłem tu”, albo „kocham Zośkę”. Na szwedzkich polach stoi tych kamieni kilka tysięcy, nietkniętych przez czas i ludzi, rozrzuconych po polach, jakby nigdy nic. Są niezobowiązujące. Można je minąć, można się przy nich zatrzymać i przeczytać rozszyfrowany tekst, na małej, dyskretnej tabliczce, jak japoński wiersz haiku: „Z tego miejsca wyruszył Sven, za czarnym morzem sępy zjadły jego serce.” W dole ze wzgórz widać małą zatoczkę, owce i krowy, wśród których trzeba przepychać się by dojść do małego statku, który jakby mimochodem przybija do wysokiej trawy wybrzeża.

Kiedy jeżdżę po Sztokholmie, uderza mnie jak w ciągu tych kilku lat od mego wyjazdu zmieniło się to miasto, kawiarnie, które wyszły na zewnątrz, tak, Szwecja ociepla się, otwiera na południe, i chyba pomału zmienia się jej zbiorowa dusza, więc i owe demony też będą już wkrótce inne. Ale trzeba pamiętać, że to lato, zimą ten kraj ma bardzo odmienną twarz i schodzi do Hadesu. Jeżdżę po mieście ze ściśniętym sercem, tyle miejsc było tu dla mnie otwartych, jak przyjazna dłoń, czasami jak skaleczenie. Teraz niemal wszystko zamknięte. Jak blizna, w którą tak długo patrzyłem, jak bezszelstnie zamykała się za płynącym do Szwecji statkiem. Chyba dosyć dobrze czuję Szwecję i rozumiem, ale nadal część jej twarzy jest dla mnie twarzą Sfinksa, i to mnie w tym kraju fascynuje. W Polsce nawet jak czegoś nie rozumiem, zdaje mi się, pewnie błędnie, że rozumiem swoje niezrozumienie.

Kiedy wracam ze Skandynawii i wjeżdżam na polskie szosy, czuję, że wsysa mnie spazmatycznie jakiś monstrualny przefyk, który ma czkawkę i zadyszkę. Wszyscy w tym kraju wydają się być dramatycznie spóźnieni, dlatego tak się spieszą, przekraczają wszystkie możliwe drogowe przepisy, pędzą po dziurawych i nierównych szosach. Na początku jadę godnie, po szwedzku, przestrzegając limitów prędkości. Daję się na-

wet pokornie wyprzedzać przez jakieś liche pojazdy, jeszcze trochę mnie bulwersują szaleństwa wyprawiane przez naszych kierowców, by nagle, kilometr po kilometrze, poczuć jak serce mierza mi w kierunku gardła a żołądek wędruje w miejsce serca. I sam zaczynam wyprzedzać tych, co mnie wyprzedzili, pierwsze chwile wściekłości, ryzykowne manewry, jadę za szybko, ale niezawodni bracia w występku ostrzegają mnie światłami, policja, nasz wspólny wróg, czai się w krzakach, jest słodycz tej drogowej solidarności, która jednak mieszka blisko agresji. I nie wiedzieć kiedy ja też staję się częścią nerwicy tego kraju, do przodu, na Warszawę!

A co w Warszawie? Wydawało się, że upalny czas lipca zamieni polską scenę polityczną w pogodną plażę. A tu proszę, minął tydzień z ogonkiem i po lekturze prasy, muszę uznać, że ojczysty kretyzizm nie wyjeżdża u nas na wakacje. W mrokach totalitaryzmu jednym z bardziej mrocznych i dręczących faktów, jest mnożenie się idiotyzmów. Ale w blasku naszej wolności, przyrost kretyzizmu jest również uderzający. Może właśnie dlatego, że są zapalone światła, a wszystkie okna otwarte, tak krzykliwie to widać. Powodem nie mniej istotnym jest cecha egalitaryzmu i demokracji, która udziela każdemu głosu, a większość ludzi nie myśli. Zapewne słusznie, to bolesne i szkodliwe zajęcie, gorzej, że tak wielu bezmyślnych wobec wszystkich ujawnia wokalne przekonanie, że mają coś ważnego do powiedzenia. Polską specyfiką jest, że tak się zdaje prawie każdemu. I ta skłonność do wydawania sądów ostatecznych.

W ciągu tego tygodnia jeden z ministrów premiera Buzka, ten do spraw rodziny, Marian Kapera, oświadczył publicznie, że „Europa musi zwiększyć przyrost naturalny, tak aby biała rasa w świecie miała coś do powiedzenia”. Wcześniej jako przedstawiciel tej lepszej rasy minister wygadywał kuriozalne rzeczy o AIDS, homoseksualistach i przerwytywach. I premier go nie zwalnia. A kilku przedstawicieli naszej prawicy, na czele z Radkiem Sikorskim, bohaterem wojny w Afganistanie i wiceministrem spraw zagranicznych, wszczęło starania by warszawski plac Konstytucji (tej komunistycznej) przemianować na plac Ronalda Reagana. Gdy dowiedzieli się, że w Polsce jest obyczaj, że żyjący nie może



mieć placu i ulicy, wyjątkiem jest Papież, wtedy zacne grono oświadczyło, że Reagan jednak może mieć plac, bo chociaż jeszcze żyje, cierpi na chorobę Alzheimera, nie uczyni więc już niczego co przyniesie ujmę swemu nazwisku, które tak wiele dobrego uczyniło dla Polski. Tak patriotyczni poczciwcy uśmiercili za życia byłego prezydenta. Przed laty Reaganem nazwałem swego kota, chyba wystarczy? Kiedy pisałem Redaktorowi, że spotkałem się z Radkiem Sikorskim, już jako wiceministrem spraw zagranicznych, że zrobił na mnie rozsądne wrażenie. Redaktor odpisał, że jest zaniepokojony. Teraz go rozumiem.

Słynny piosenkarz, nieźle zresztą postrzelony, Michael Jackson od lat uparcie starał się by Warszawa zgodziła się przyjąć od niego kilka milionów dolarów na park zabaw dla dzieci. I od lat miasto, które przecież nie ma takiego parku, nie potrafi podjąć decyzji, gdzie ów Jacksonland ma powstać. Piosenkarz jest niezwykle cierpliwy, ale jak się wydaje ma już dosyć. Nie lubię myśleć spiskowo, też dlatego, że wiem, że tam u nas gdzie wydaje się, że jest spisek, o wiele częściej bywa zaniechanie i niechlujstwo. Teraz ujawniono, że po prostu pomysł na podobny park rozrywki ma AWS, w postaci posłanki Joanny Fabisiak, przy poparciu takich okazów fauny politycznej jak szef MSW minister Tomaszewski. A i prymas Glemp błogosławi ów plan, który ma być swojski, polski, patriotyczny. Z panoramą Tatr, z repliką pomnika z Westerplatte i oczywiście z kaplicą do modlitwy. Nie jestem zachwycony hamburgeryzacją świata, ani plastikowym smakiem Disneylandu. Ale wiem czego można się spodziewać po naszych narodowych kiczarach.

Zwykle w słusznej sprawie obrony naszej odmienności, nazwijmy to piękną różnorodnością, przeciw amerykańskiej i komercyjnej, zabierają głos nawiedzeni, a to niszczy szansę na publiczne rozważenie autentycznego przecież problemu wedle reguł zdrowego rozsądku. Prowincjonalizm ma u nas dwa oblicza. Jedno, to ślepe małpowanie amerykańskiego, komercyjnego idiotyzmu, drugie to kicz narodowy. Tu, podobnie jak w naszej polityce, brakuje środka. Ten środek, jeśli w ogóle obecny, zwykle zgorzony milczy lub wycofuje się do swoich letniskowych domków, które zarządzane są z coraz większym smakiem. W tym samym mniej więcej czasie, nasi

posłowie i senatorzy debatowali nad ochroną polskiego języka. Zagalopowano się tak daleko, że niewiele brakowało, że zamiast „hot dogów”, pojawiłyby się na sztydach „gorące psy”, a „Margaret Astor” stałaby się „Małgorzatą Astor”. Rozsądek jednak zawsze w ostatniej chwili, jakimś cudem, otorbia nasze narodowe kretyństwo. Czy jednak tak będzie zawsze? I gdzie wtedy do diabła emigrować na starość?

Jadę samochodem na wschód. Mijam grupy pielgrzymów, idą do Częstochowy. Młodzi i starzy, chudzi i grubi, wszyscy rozśpiewani, rozgrzani marszem. Jest w nich jakaś wielka energia i radość, pulsują poczuciem wspólnoty. A to poczucie jest dzisiaj w Polsce na wagę złota, mam więc wrażenie, że mijam niezwykle ważny skrawek naszej rzeczywistości. Na pobliskiej drodze stoją na poboczach prostytutki, o śniadej cerze, to tak zwane tirówki, przyjechały tu bodaj z Bułgarii, ubrane na żółto-czerwonoczararno, jak orientalne ptaki obsiadły kilometry zalesionego brzegu szosy. Między nimi na pobocza coraz gęściej wysypują się handlujący owocami, grzybami, handel staje się dla wielu mieszkańców naszej prowincji szansą na przetrwanie. Ostatnie lata obrodziły krzyżami. Powstał nowy obyczaj, w miejscach przy szosie, gdzie był wypadek i ktoś zginął, rodzina stawia drewniany lub metalowy krzyż, jest kaganek, kwiaty. Zdarza się nawet, że staje marmurowy grobowiec. Jako, że w Polsce jest ogromna ilość wypadków, wkrótce jeździć będziemy naszymi szosami, jak wyboistymi alejami cmentarza. *Memento mori*, krzyczą nasze drogi, ale nikt nie słyszy.

Kilka odwiedzin na naszej mazowieckiej prowincji. Wiele goryczy. Wieś jest w rozpacz, a liczne małe miasteczka pełne niepokoju. Miasteczko W. liczy sobie 13 000 mieszkańców, na jego przedmieściach ma powstać supermarket. Jest panika, że ten dom handlowy wymiecie prywatny handel. Władze miejskie, powszechnie uważane są za niekompetentne, panuje przekonanie, że każdy kto dostaje choćby skrawek władzy, najpierw nadyma się, potem myśli jak dzięki swej funkcji zrobić jakiś dobry interes, niestety, rzadko myśli się o wspólnej sprawie. I taki scenariusz powtarza się wszędzie gdzie tylko zasięgam języka. Aż strach pytać.

X uczy dzieci w wiejskiej szkole. Niemal wszystkie są



z patologicznych rodzin, bo nasza dorosła wieś jest patologiczna, piją mniej więcej wszyscy. Są wśród tych maluchów piękne, utalentowane dzieci, ale co dalej? Nie ma na wsi poczucia, że inwestowanie w naukę własnych dzieci, to inwestowanie w ich lepszą przyszłość.

Nie widziałem jej od dziesięciu lat, jest moją koleżanką ze szkoły. J. leczy alkoholików w kilku małych mazowieckich miasteczkach. W Polsce grupy AA bardzo się rozwinęły. Lecz ona też rozgoryczona. Skala problemu tak wielka, że przytłacza. Twierdzi, że alkoholizm na naszej prowincji nadal rośnie. Trudno mi w to uwierzyć, jak może rosnać, zjawisko tak monstrualnie wielkie. W miastach w pewnych grupach alkoholizm wyraźnie spuścił z tonu. To jest zapewne dalsze różnicowanie się naszego kraju. J. wzdycha „to nie tak miało wyglądać”. To jest westchnienie sporej części Polski, która liczyła na urodę wolności, a nasza wolność bywa ładna tylko dla nielicznych. J. jest głęboko wierząca i aktywna w kościele, ale na szczęście widzę, że mieszka w niej jasna strona polskiego katolicyzmu. A bałem się naszego po latach spotkania. Ona, podobnie jak ja, zbulwersowana kontrastem między twarzą, którą Polska pokazała Papieżowi, a naszym odmiennym tyłem. I też razi ją ograniczenie umysłowe wielu biskupów i księży, zbyt częsta pazerność na dobra doczesne.

P. jest lekarką na wsi. Tyle lat jej nie widziałem. Stała się kopią swojej matki, którą tak żywo pamiętam z dzieciństwa i nagle czuję, że gubię się w czasie. P. kieruje małym wiejskim ośrodkiem medycznym. Jakiś czas temu była zaangażowana politycznie po prawej stronie. Ale rozczarowana AWS-em. I też mówi „nie tak miało być”. Niekompetencja i egotyzm jest u nas jedynym doskonale ponadpartyjnym mechanizmem. Koalicja popełniła wielkie błędy i widać, że nie uczymy się na błędach, w ostatniej dekadzie zawsze są podobne, władza zawsze traci ucho na lęki społeczne. Reformując, często należy płynąć pod prąd opinii społecznej, ale jeśli dopuszczono, że władcy samorządowi i szefowie kas chorych wyznaczili sobie pensje miesięczne po 20 tys. zł (dawne 200 milionów), kiedy pielęgniarka zarabia 700 zł, to jak oczekiwać akceptacji władzy? To jest kryminał! Doprawdy trudno spotkać człowieka, który nie widzi, że wszystkie grzechy, oprócz grzechu złej biografii, są jednako

przypisane wszystkim formacjom. Martwi się przyszłym zwycięstwem SLD, też dlatego, że znowu wszyscy urzędnicy będą wymieceni, czyli zaczynamy taniec od nowa, a tańczyć ci nowi przecież nie potrafią. Upartyjnienie naszej administracji jest jej chorobą. Potwierdza, że na wsi ostatnio pogorszyło się, a obok licznych chorób, które trapią wiejską społeczność, rozgoryczenie należy do najbardziej powszechnych. Nie ma też wątpliwości, że reforma zdrowia została spartaczona. Oprowadza mnie po swoim malutkim drewnianym i schludnym ośrodku, gdzie stare piece obnoszą godnie swoje białe brzuchy. Pokazuje tony książeczek zdrowia z receptami, są błędnie wydrukowane i żaden komputer w aptece ich nie połknie, więc te druki są do wyrzucenia. Reformę trzeba było robić, to przyznaje każdy, ale przygotowano ją fatalnie. P. nie ma wątpliwości, że już sama nieudana reforma służby zdrowia gwarantuje przyszłą klęskę AWS-u, bo ze służby zdrowia korzysta każdy. Żegnam się, a ona odprowadza mnie, przyznaje, że specjalnie po to aby zobaczyć jaki mam samochód. To też jest znak czasu. I znakiem czasu jest, że wszyscy moi wiejscy znajomi mają już telefony komórkowe, to przyszło jak huragan, i cała Polska, od miast do wsi jest nagle podłączona do kosmicznej sieci telefonicznej, ale się porobiło!

Inne spotkanie, również na wsi, ale to już jest pańska wieś. Kiedyś nie rozumiałem K. a teraz mu zazdroścę, że uciekł z miasta. Spotkanie z grupką intelektualnych przyjaciół. Zastanawiamy się jak ratować nasze dusze zjadane przez brak czasu i pieniądze. Ale to właśnie pieniądze stają się jednym z motywów naszej rozmowy. Moje pokolenie ma stary nawyk, że nie wypada mówić o sukcesach finansowych, a chwalić się nimi nie wypada szczególnie. Dzisiaj jesteśmy jedną nogą w „nie wypada”, kiedy druga nie może się powstrzymać, by nie pokazać, że ma złoty bucik. Ludzie chwalą się więc pokracznie, nie wprost. Z dawnej naszej bezinteresowności „bez” zwisa żałośnie, jak wyrostek robaczkowy innej epoki, niepotrzebny już organ. A my szamocemy się w komercyjnej sieci, jeszcze czasem próbujemy coś zrobić bezinteresownie, dla dobra naszej duszy i tego naszego miejsca na ziemi, ale mamy coraz mniej energii, nasze drogi rozeszły się, każdy z nas poszedł w stronę gdzie zapachniało



pieniędzmi. Robiliśmy to na początku krygując się, klucząc i pod jakimś warunkiem, ale z czasem te warunki więdną. Przecież każdy ma dziecko, dzieci, a jak te dzieci kosztują! Zdarza się, że rozchodzą się nasze drogi myślenia o świecie, co jakiś czas słyszę „plum”, to ktoś wpada jak śliwka w kompot myślenia pravicowo-narodowo-spiskowego.

Ale obserwuję też, to prawda, że z rzadka, próbę powrotu do pracy intelektualnej tych, którzy od niej odeszli. To prawdziwy heroizm odessać się od cycka z pieniędzmi. Mówią, „nareszcie, koniec kurwienia się”. Wracają na utracone intelektualne wyspy, by często odkryć, że te wyspy zmarniały.

Odbieram na lotnisku A., wybitny architekt polskiego pochodzenia, który ociepla serdeczne miejsca w Sztokholmie. Czy nie jest to niemal boski przywilej, zmieniać kształt najważniejszych placów tego jednego z najpiękniejszych miast Europy? Kilka tygodni temu, w centrum Sztokholmu, pokazywał mi dzielnicę, która jest dzisiaj zapinana na ostatni kamień. Jeśli porównać architekturę do muzycznego utworu, On był kompozytorem i wielkim dyrygentem kierującym pracą kilku architektów, by stworzyć jedność w wielości. Bardzo mi jest bliskie Jego myślenie o architekturze i o mieście. Potrafił w swoim ostatnim dziele wziąć świadomie to, co najlepsze z dawnej architektury, wyeliminować z niej niewygodę i brud, a ocalić urodę, harmonię i przytulność. I nareszcie ktoś bierze pod uwagę kontekst, historię miasta, dzielnicy, okoliczne domy i ulice. W tej dzielnicy na ponad tysiąc mieszkańców nic nie jest nowe, a wszystko wydaje się nowe. To właśnie można nazwać twórczym czerpaniem z tradycji. Dla mnie kolejny widomy znak, że koło w architekturze zostało już dawno wymyślone, więc przynajmniej na razie, po tylu porażkach, które na wieki zesześciły świat, lepiej na wszelki wypadek poruszać się w tradycyjnym promieniu tego koła. A przecież wielka klęska współczesnej architektury trwa nadal, a u nas ma wymiar szczególny. By uzyskać potwierdzenie tej prawdy, wystarczy prosta obserwacja. Coraz większe ludzkie rzesze próbują przytulić się do coraz mniejszych skrawków dawnego miasta. Dlatego tak wielki tłum zastajemy w Kazimierzu nad Wisłą, chyba w jedynym polskim miasteczku, którego nie udało się zesześcić

nową architekturą. Do Kazimierza jeszcze wrócę, w innym czasie i miejscu.

Spóźniłem się na lotnisko, więc A. już trafił w łapy gangsterów-taksówkarzy, którzy życzyli sobie 80 zł za podróż do centrum, gdy taki kurs powinien kosztować 20 zł. Tubylcy wiedzą, że na Okęciu wzywa się taksówkę telefonem komórkowym, z automatu trudno dzwonić, psują je mafijni taksówkarze. A miasto jest oczywiście bezradne, na czele z nowym, młodym i jak się wydaje arogancko-kulturalnym prezydentem Pawłem Piskorskim; aż wstyd powtarzać i powiedzieć, że to typowe dla Unii Wolności. Jeśli w ciągu najbliższych miesięcy nie oczyści lotniska, a można być prawie pewnym, że nie, to znowu będzie oczywiste, że: albo kolejny prezydent miasta jest niekompetentny, albo ta funkcja jest beczką ze smołą. Ale jest wiele innych, ważniejszych powodów, aby znowu ogłosić alarm dla miasta Warszawy! Od lat dzielę się w swoich tekstach niepokojem, ale miałem pewne nadzieje i złudzenia. Już stopniały. Kiedy jeździłem po mieście z A., który zna tu każdy kamień i każdy korzeń tego miasta na stulecia w głąb, widząc i dzieląc jego estetyczne cierpienie, ujrzałem że Warszawa dryfuje nie wiadomo gdzie. „To prawda, najwyższy czas ogłosić alarm dla miasta Warszawy” – szepce mi D., do niedawna architekt naczelny miasta. Dlaczego nie krzyczał wczoraj, kiedy był na szczycie. – „To jest sprawa na dłuższą rozmowę – szepce – umówimy się na dłuższą rozmowę”. Poczekamy z dalszym pisaniem o dramacie stolicy do tej rozmowy.

Przy okazji tej zagranicznej wizyty, zabawny problem z kluczem, który niech będzie jednym z małych kluczyków do naszej rzeczywistości. Z lotniska zawiozłem A. na pewną ulicę pod adres, gdzie w mieszkaniu u nieznanej mu kobiety miał czekać klucz od innego wolnego mieszkania. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, okazało się, że kolega ma tylko numer domu, nazwisko, a nie posiada numeru mieszkania. I jest problem. Tłem była upiorna wielkopłytkowa architektura z lat 60-ych. Przy obskurnych drzwiach domów tkwią nie mniej obskurne domofony, jakby przyciski były przyciskane zębami, a w równie rozpaczliwym stanie są klatki schodowe.



Większość okien na parterze wybrzusza wymownie swoje kraty. Nowością jest brak spisu lokatorów. Ten zanik lokatorskich list, jest owocem nowej ustawy o ochronie danych osobistych, efekt mariażu demokracji z jaśnie nam dzisiaj panującym lękiem. Ten lęk jest dotykalny: domofony, na parterze kraty, alarmy, napisy „zły pies”, a w końcu ów akt utajnienia danych osobowych, czyli w efekcie brak spisu lokatorów w budynku, ucieczka w anonimowość. Ale przecież to są jedynie pozory zabezpieczeń. Każdy kto chce, sforsuje domofon i nędzę wejściowej bramy, a nazwisko lokatora nie jest tak trudno ustalić, nawet jeśli jest się durniem. Dzwonimy najpierw po mieszkaniach. Ludzie są na początku zjeżeni i niespokojni, ale jeśli zawiąże się nić porozumienia, choćby tylko na ścieżce głosowej, to wychylają się ze schronów mieszkań, ostrożnie jak borsuki, potem zbliżają się, nagle czuli i chętni do pomocy. Okazuje się, że nikt nie zna nazwiska kobiety od klucza. W finale ma miejsce istotna rozmowa z dozorcą, oczywiście przez domofon. Ten mówi zniechęconym, agresywnym głosem władcy, któremu przerywa się drzemkę. Nie może powiedzieć, kto mieszka w domu; nazwiska lokatorów są objęte tajemnicą. Kolega tłumaczy, że to dla niego jest ważne, przyjechał zza granicy, jak nie odbierze klucza, to nie będzie miał gdzie mieszkać. Posiada nazwisko, nie ma numeru mieszkania. Dozorca mięknie, o czym szepce w głośniku dramatyczny szelest papieru, ale po chwili poszukiwań mówi, że takiej osoby w jego domu nie ma. Wychodzi przed bramę jego żona, korpulentna jejmość i oświadcza „nie ma i już, nam nie wolno, tylko dlatego, że pan jest cudzoziemcem, udzielamy informacji”. Skąd wie, że W. jest cudzoziemcem, mówi przecież po polsku? Nie ma w tym logiki. Strach ma u nas wielkie oczy i mały rozumek. Zdumiewające jak nieufność sąsiaduje z życzliwością, a też z bezgraniczną naiwnością. Ta bliskość nienawiści i miłości uderzała mnie dwa lata temu w Moskwie, przeczyłem, że w Polsce jest właściwie podobnie, tylko wszystko w zmiękzonej postaci. Potem robi się małe zgromadzenie mieszkańców, jakieś paniusie w kapelusikach naradzają się i szukają nieistniejącej pani, wszystko w cieniu dumnej ochrony danych osobowych. Na próżno. Potem okazało się, że to był inny dom. Syn W. który mówi po polsku ze wzruszającą szwedzką

podwójną kadencją, wzdycha „to zupełnie inny świat”. Zdefiniować ową inność wcale nie jest łatwo. Inna jest jego fizyczność, odmienna duchowość.

Na moich oczach kolejne pokolenie dzieci zmienia się w dorosłych. Z moim powinowatym P. dzielnie konspirowaliśmy w stanie wojennym, widywałem go na Ursynowie z ulotkami i z małą córeczką Zosią. Dzisiaj ta dziewczyna jest mistrzynią Skandynawii juniorów w pływaniu, a cała rodzina to Norwedzy. Syn mojego bliskiego znajomego S. jest w kadrze szwedzkich koszykarzy. Patrzę czułym fizycznym i metafizycznym okiem na te sportowe, międzynarodowe kariery dzieci moich znajomych, znak upływu czasu, a też jak ta Polska rozjechała i rozplynęła się po świecie. W kraju małe dzieci z mojej pamięci, stają się nagle znanymi dziennikarzami, biznesmenami, reżyserami. I tak samo na moich oczach, które nagle potrzebują do czytania okularów, dorośli zmieniają się w dzieci, schorowane i bezradne. Niezwykle trudna i kłopotliwa jest ta zamiana roli wobec swoich rodziców. Dziecko w nas pamięta jak się nami zajmowali, gdy dzisiaj sami potrzebują naszej pomocy. Czyli stajemy się rodzicami wobec swoich rodziców, którzy zmieniają się w nieporadne i kłopotliwe dzieci. Obserwuję wokół dramat moich rówieśników, którzy opiekują się starymi, chorymi rodzicami. Skończył się model wielopokoleniowych rodzin, wtedy było łatwiej. Dzisiaj w Polsce nie wykształcił się nowy model opieki nad ludźmi chorymi i starymi. Królują drapieżne i kosztowne pielęgniarki, to teraz wielki prywatny biznes. Nie wielka jest pomoc naszego biednego państwa i mało domów opieki, a ceny tych smutnych usług znacznie przewyższają kieszeń przeciętnego człowieka. Skala problemu jest ogromna i rośnie. Ilekroć spotykam sąsiada, który od lat zajmuje się obłożnie chorą matką, ma obłąd w oczach. Jest finansowo zrujnowany, wykończony fizycznie i psychicznie. Jego opowieści o pielęgniarkach, które nieustannie musi zmieniać, układają się w tragikomiczny dramat. Minie sporo czasu, zanim ucywilizuje się chorowanie i umieranie naszego starzejącego się społeczeństwa. Moim szczerym ideałem jest w odpowiednim momencie zażycie cykuty, jej imię brzmi jak imię ładnej dziewczyny i kojarzy się z poczciwym Sokratesem,



by zaoszczędzić kłopotów mojemu synowi, który ma nie-  
szczęście być jedynakiem. Tak się zawsze mówi, a potem  
wszyscy trzymają się życia, najpierw za włosy, potem za jeden  
włosek.

Znajoma z Jerozolimy jest w Polsce, jako przewodniczka  
grupki przybyszy z Izraela. Wyjechała w roku 68 z Polski, i  
bardzo jej Polski brakuje. Przerażona i zniesmaczona antypo-  
lonizmem swojej trzódki, opartym też na braku podstawowej  
wiedzy historycznej. Mówi o ich uprzedzeniach z taką samą  
złością, jak ludzie rozsądni w Polsce rozprawiają o polskim  
antysemityzmie. Do pasji doprowadza ją, a to dotyczy niemal  
całej wycieczki, przestrzeganie koszerności jedzenia, i tego  
cholernego szabasu, kiedy nie można prawie nic. Siedzimy na  
Starym Mieście, ona poruszona, jak się ta nasza Polska roz-  
wija, ale co chwila łapie się za głowę, ma dosyć w Izraelu głu-  
poty i szaleństwa religijnych ortodoksów. Czy nie podobny  
gest wykonałem w miasteczku W., kiedy tamtejsi znajomi  
opowiadali mi, jak to niedawno ludzie AWS-u, którzy wła-  
dają miastem, zaczęli zmieniać nazwy ulic, których patronami  
byli komunistyczni działacze, domyślam się, że jacyś po-  
boczni, głośnych jednak dawno już ścięto. Przy okazji zapro-  
ponowano by zlikwidować nazwę ulicy Berka Joselewicza.  
(Przypominam, to pułkownik z czasów Powstania Koś-  
ciuszковского, potem legionista, szef szwadronu w Księstwie  
Warszawskim, zginął w 1807 pod Kockiem). No, ale Żyd, i  
pewnie komunista? W księgarni w miasteczku, widzę same  
komiksowe powieściadła, zupełne wymóżdżenie; pamiętam w  
tej księgarni za PRL-u wiele cennych książek, dzisiaj, jedyna  
„poważna” lektura jest autorstwa znanego paranoika  
antysemity, niejakiego Pająka, tytuł mówi, że Oświęcim jest  
w żydowskich szponach, Żydki chcą nam go wykraść. Księga  
leży na centralnym miejscu, jak monstrancja na ołtarzu. No,  
ale na co dzień jednak jest zdrowy rozsądek. Więc nie  
przesadzajmy. A *Gazeta Wyborcza* z przesadą nagłaśnia po-  
zew kilku Żydów amerykańskich, którzy domagają się zwrotu  
nieruchomości przejętych po wojnie przez PRL. Argu-  
mentacja pozwu jest obrzydliwa, stawia Polskę obok hitlerow-  
skich Niemiec. *Gazeta* oskarżana przez narodową prawicę, że  
jest żydowska, wali wielkie tytuły na pierwszej stronie,

dyskusje i polemiki; oczywiście wszyscy porządni Polacy i  
porządni Żydzi odcinają się. Jakby *Gazeta* chciała krzykliwie  
pokazać, że jest w takich sprawach patriotyczna i bezstronna.  
Nic jej nie pomoże, były minister spraw wewnętrznych,  
Antoni Macierewicz, pisze, że to tylko „Żydzi kłócą się  
między sobą”. Dzban głupoty po obu stronach już przepel-  
niony, a jak nie ma prawdziwych kropel, to się je wymyśli.  
Więc pewne jest, że polski antysemityzm, nawet jeśli uprze-  
my się, by go nazywać jedwabnym, będzie miał papu na  
długo, podobnie jak żydowski antypolonizm. To doprawdy  
wygląda na bardzo trwałe małżeństwo, na całe nowe stulecie.  
Jeśli kiedyś umrą, należy wybudować im wspólny grobowiec.

Szlachetny skurwysyn. Gdyby nie czas buntu, po którym  
nastał czas triumfu, nie potrafilibyśmy pojąć takiego zjawiska.  
Nietrudno podstawić twarz pod ten paradoks, nam którzy  
kręciliśmy się po piwnicach tego kraju, które jak kieszeń  
odwróciły się nagle na drugą stronę, by stać się salonami. Te  
paradoksalne osoby należą zwykle do obozu, który umownie  
nazwiemy liberalnym. Na tak zwanej narodowej prawicy jest  
liczna grupka „inteligentnych inaczej”, zaś ich moralność ma  
kształt krzyża, którego ramiona są złamane, jak złamane mogą  
być chyba tylko skrzydła ptaka. Powiększa się grupa libe-  
rałów, o krystalicznych antykomunistycznych biografiach,  
którzy tak źle znoszą narodowe głupstwo, że wpadli w ra-  
miona SLD; ostatnio przydarzyło się to Andrzejowi Celiń-  
skiemu, o którym niedawno pisałem. Reakcja wielu jego zna-  
jomych oscyluje od zgorznienia do bolesnego i gorzkiego  
zrozumienia. Ja sądzę, że Unia Wolności mimo swoich wad,  
jest jednak nadal alternatywą dla AWS-u. Nieprzyjemnie  
myśleć co się stanie na naszej scenie politycznej po zwy-  
cięstwie SLD. Narodowa prawica popadnie w obłęd niena-  
wiści, a w Unii Wolności będzie dramat moralny tak wielki,  
że ta partia być może się rozpadnie. Czy pozwolić by SLD  
tworzyło rząd z populistycznym PSL-em, groźnym dla Pol-  
ski, czy stworzyć rząd z SLD?

Słowa o *Kulturze* pewnego znanego pisarza, któremu  
zaczęło się pravicowo odbijać: „Stary jest w porządku, ale  
banda, którą tam wpuścił...”. Epidemia pravicowo-



narodowej czkawki szerzy się wśród zaskakująco sporej grupy młodszych i starszych znajomych. Niby rozumiem poszczególne słowa, ale całych zdań ich myśli, już nie pojmuję. Są zwykle znacznie wyżej Radia Maryja i tego całego wymóżdżonego narodowego kretyństwa, ale chcąc nie chcąc, zapewne nie chcąc, mają wiele punktów stycznych, i właśnie te punkty, nieustannie kompromitują ich poglądy i stawiają wyznawców w sytuacjach dwuznacznych lub beznadziejnych. Rozumiem trochę mechanizm, jest w tym zagubienie, brak akceptacji nowego świata, sam byłem nim zniesmaczony. To jest na gwałt szukanie trwałego ładu, na ruchomych piaskach nowego świata. Ale piasek, to kiepski winny, jak nim gardzić? Ale dlaczego za wszystko winić: Oświeconych, liberalizm, postkomunistów, Unię Wolności i *Gazetę Wyborczą*, za całokształt naszego luksusowego dramatu, luksusowego, bo nikt nie ginie, nie jest głodny, nie bywa w majestacie prawa bity i poniżany, zmuszany do kłamstwa. Gdyby udało mi się kiedyś przełamać brak czasu, a też niesmak, podjąłbym próbę nakreślenia mapy tego myślenia, ale wtedy, kto wie, czy nie okazałoby się, że te rzeki, góry, kontynenty nagle znikają. Brak precyzji, element irracjonalny, niekonsekwencja, są wpisane w to myślenie, podkreślam, ludzi inteligentnych, czyli kolejne wskazanie na rozpacz, jako istotne źródło zjawiska. I trzeba powiedzieć, że jest jednak niezwykła słabość intelektualna grupy prawicowo-narodowej, jak już mają publicystę jako takiego, to się szybko zbiesi, ulegnie seksualnym słabościom i zostanie wystawiony na korytarz.

Trzeba jednak szukać stycznych punktów naszego niepokoju, też niepokoju w jakim kierunku dryfuje cała nasza cywilizacja i nasz kraj. Przecież przy moim spotkaniu, z osobą, która wydaje mi się być już poza rejonem porozumienia, okazuje się prawie zawsze, że jestem w stanie rozmawiać, i następuje oddemonizowanie wzajemne przynajmniej na jakiś czas. Zaczęliśmy żyć w osobnych światach. To jest uderzające, że nie spotykam już ich nigdzie, ludzi z prawego narodowego skrzydła, na wystawach, w teatrze, na przyjęciach, nie ma ich. Chodzimy osobnymi drogami i ścieżkami.

Choroba narzekania, w naszej ojczyźnie, nie zmniejsza się, chociaż mimo wszystko zwiększa się dobrobyt. Jakby

największym ojczystym przedsiębiorstwem był koncern produkujący niezadowolenie. I dotyczy to wszystkich grup zawodowych. Chłopi znowu się burzą, tym razem z powodu problemów ze skupem zbóż, wydają publiczne oświadczenia, że ostrzą kosy, i będą iść na Warszawę. Projekt restrukturalizacji górnictwa, czyli likwidacji większości kopalń najwyraźniej się wali, co więc będą ostrzyć górnicy? Kierowcy narzekają na kolejną podwyżkę paliw, i że będą następne... doprawdy można by tak wyliczać w nieskończoność. Narzekają niemal wszyscy moi znajomi: pisarz, architekt, lekarz, dziennikarz, reżyser, fryzjerka, najbrutalniej taksówkarze. Kościół ustami prymasa na Jasnej Górze mówi, że nie tylko Polska, że „świat dzisiaj jest śmiertelnie zagrożony”. Ratunkiem ma być miłość ojczyzny i tradycja. Prawica narzeka, że Polsce zagraża lewica, a lewica, że grozi nam skrajna prawica. Narzekamy my w *Kulturze*. Nie narzeka mój przyjaciel, lekarz, który ma prywatny gabinet i łysiejącym przeszczepia włosy z tyłu na przód, bierze od jednego zabiegu tyle ile wynosi moja miesięczna pensja. Ale on miał właściwie zawsze dobre usposobienie. Nie narzeka spora część naszej młodzieży, tylko opieprza swoich rodziców „no i co! znowu gadacie o pieniądzach i narzekacie”. Tematem pieniędzy, boję się, młodzi zostaną зараżeni, ale narzekaniem chyba już nie? U jego źródeł jest roszczeniowa postawa wobec świata, to nasza historyczna tradycja wzmocniona przez czasy Polski Ludowej. Młodzi urodzili się w świecie, gdzie za darmo jest już chyba tylko narzekanie.

SMECZ



## Kartki ze skażonej strefy

Wróciłam ze Stanów (z matury wnuka), i natychmiast gdy samolot dotknął naszej ziemi, po raz pierwszy w życiu – pomyślałam, że chcę jechać z powrotem za ocean. Wszystko tu, w kraju, od lotniska Okęcie poczynając, wydało mi się ciupusieńkie, jak domek dla lalek, jaki miałam w dzieciństwie.

No, ale trudno. Jestem gdzie jestem. Podałam się serdecznościom rodzinnym, serce przepęłniła mi wdzięczność (mąż pod moją nieobecność odmalował mieszkanie, wyczyn nie lada), lecz wciąż, gdzieś w tyle głowy, błąkała się myśl, co ja tu właściwie robię w tym lilipucim kraiku.

Upały w Stanach uważane są za szczególnie dotkliwe ze względu na wysoki stopień wilgotności, ale ja dusiłam się tu, u siebie. Dusił mnie niski nieboskłon, gęsta zabudowa, wąskie, kostropate ulice – słowem, brak rozmachu przestrzennego.

Była to wszakże jedynie zewnętrzna warstwa przygnębienia. Istotę złego samopoczucia stanowiła świadomość, że tu, w moim kraju, wszystko, co się zdarzy niedobrego, będzie mnie boleć. Że każdy skandal, nonsens, uchybienie, kompromitacja, głupota i bezmyślność staną się pasmem ustawicznego stresu. Że nie potrafię się oddzielić, powiedzieć sobie: „a co mnie to właściwie obchodzi”, tylko będę się stale wewnętrznie burzyć i gotować.

I tak się też stało.

Minister Kapera, pełnomocnik rządu d/s rodziny, wystrzelił publicznie z twierdzeniem, że oto ginie nam rasa biała (miał na myśli spadek przyrostu naturalnego). Nie po raz pierwszy człowiek ten dał wyraz swojej – łagodnie mówiąc – nietolerancji. Przed kilku laty, jako wiceminister zdrowia, wyraził pogląd, że AIDS jest chorobą zбочeńców. Wtedy, ówczesny premier, Jan Krzysztof Bielecki, wyrzucił go z rządu. Dziś tak się nie stało. Premier Buzek zbagatelizował wypowiedź, a szef partyjny, Marian Krzaklewski, obrócił

sprawę w żart: „ot, sezon ogórkowy; widocznie Kapera kisi ogórki...”.

Skandal z delegacją polską do Genewy na oenzetowską Komisję d/s Praw Człowieka. Żadna z wysłanych osób w liczbie czternastu (inne kraje wysyłały po cztery) nie była w stanie odpowiedzieć na zadawane pytania w którymkolwiek z obowiązujących tam języków. Szef delegacji, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, Bogdan Borusewicz, zaczął po angielsku, ale tak, że nikt go nie rozumiał, inni – z podobnym skutkiem. Powstało zamieszanie, chaotyczne szukanie tłumaczy... Bezradna w tej sytuacji przewodnicząca zarządziła przerwę, żeby się naradzić, co z tym fantem zrobić. Obecni na sali Polacy, nie należący do rządowej delegacji, ukrywali spłonione twarze w dłoniach. W rezultacie czas przeznaczony Polsce przepadł.

Krzysztof Rogala, korespondent, który referował wydarzenie, dał wyraz radości, że przynajmniej na sali nie było kamery, bobyśmy się stali pośmiewiskiem na świat. Dziś, kiedy otrzymuje pogroźki z różnych resortów (których woli nie podawać), za to, że ujawnił sprawę, czyli spełnił dziennikarski obowiązek – nieobecności kamery żałuje. Jej zapis byłby dowodem tego, co zaszło. Borusewicz spytany, co niefortunnego zdarzyło się w Genewie, mówi, że nic, wszystko było OK. „Już za samo to kłamstwo – pomstował słuchacz do mikrofonu – powinien z miejsca wylecieć...”.

Kapera mnie nie boli. Jest, jaki jest. Bóg z nim. „Borsuk” mnie boli, bo ongiś był to z gruntu inny człowiek. Rzetelny, przewidujący, krytyczny. Legenda opozycji, głowę bym dała za jego wiarygodność. Więc żal. Żal nie o to, że nie zna angielskiego (choć na stanowisku, którego się podjął, powinien); żal, że nie zdawał sobie sprawy ze stanu swojej angielszczyzny, a przede wszystkim żal o to, że jako szef delegacji nie sprawdził całej logistyki wyprawy. Myślałam, że istnieje diametralna różnica między nim, a na przykład Ryszardem Czarneckim w sprawie podejścia do powierzonych roboty. Okazuje się, że w tym przypadku nie, że wraz ze stanowiskiem otrzymuje się glejt na postawę nonszalancji, z której prędzej czy później wychodzą publiczne szkody.

Ale to, co mnie najbardziej gnębi, co powoduje ściskanie w dołku, jest beztroska, brak tak własnej samokrytyki, jak



i sankcji wobec kompromitujących zachowań ludzi władzy. Choćby nie wiem jak nabroili, nic im nie będzie, partia wybroni. Nomenklatura w ustroju totalitarnym była logicznie wytłumaczalna; w ustroju demokratycznym jest zgrzytem i karykaturą. A jednak trwa.

Możemy sobie, my, zwykli ludzie i media, drzeć mordy, zdierać pyski, nic takiemu, co raz wzięł władzę, się nie stanie. I stan ten ciągnie się dalej i dalej – aż pokąd?

Spotykam coraz więcej ludzi wyrażających przekonanie, że źle się dzieje w państwie niekoniecznie duńskim. Nic tak nie oddaje nastrojów ulicy jak dowcipy. Ostatnio zasłyszany, już bardzo okrutny, brzmi: „za komuny wszystko było lepsze, nawet Solidarność”. I niestety, ten drugi człon jest prawdziwy. Zwrócił na to uwagę Czesław Niezgoda, przywódca strajku w Lublinie w 1980 r., który nie wszedł do elity władzy, lecz dalej pozostał związkowcem, przemawiając na obchodach rocznicy strajków: „Dziś, gdy przedstawiciele władz i samorządów zarabiają wiele, wiele razy więcej niż pielęgniarki, nauczyciele i robotnicy, warto może przypomnieć, co znaczyło wówczas słowo ‘Solidarność’”.

Dysproporcje płac w kapitalizmie są zjawiskiem normalnym, ale rodzą się w wyniku pewnych – nawet wilczych – ale zawsze reguł. W Polsce natomiast powstaje kasta wysoko uposażonych urzędników-menedżerów, których jedyną kwalifikacją jest partyjna nominacja. Może nie budziłyby oporów pensja kierownika Kasy Chorych (15-20 tys. zł. miesięcznie, pensja chirurga z 30-letnim stażem: 1360 zł, a pielęgniarki od 500 do 700 zł), gdyby stanowisko to obejmowało się w drodze ogólnodostępnego konkursu, a nie tylko dlatego, że się ma rekomendacje AWS. No i jeszcze ta pazerność. Większość takich umów zawiera klauzulę, iż w razie zwolnienia – obojętne z jakiego powodu – przysługuje odprawa w wysokości 24-miesięcznej pensji oraz wymóg zapewnienia równorzędnego stanowiska. Czysta dawna nomenklatura. Nie tylko w czynkach, ale i w języku. Przykład nowomowy. W debacie sejmowej na temat użycia broni przeciwko demonstrantom z „Łuczniaka”, kiedy opozycja grzmiała za „strzelanie gumowymi kulami”, władza broniła się twierdząc, że „policja użyła miotaczy gładkolufowych z niepenetrującymi pociskami gumowymi”.

Powracając do genewskiej delegacji. Jak to się stało, że nikt z ekipy rządzącej, przygotowanej podobno rzetelnie merytorycznie, nie znał żadnego z podstawowych języków świata? Komuniści pilnowali, żeby naród ich nie znał ze względów ideowych. Była to przezorność. Kontakt ze zgniłym Zachodem mógł okazać się zgubny. Przecież „żelazna kurtyna” istniała nie tylko w postaci muru z cegieł, w Berlinie, ale w każdej decyzji władzy.

Lecz rzecz należy do historii. Teraz, w sytuacji masowych wymian młodzieży, kursów językowych, kiedy należymy już do globalnej wioski, kiedy Sejm walczy o to, aby nie mówić „restaurant” tylko „restauracja”, bo tak dalece rozplenila się angielszczyzna, że nawet ci mniej rozgarnięci i słabo wykształceni ją znają, ucząc się jej z powietrza, z bilbordów, reklam, szyldów, seriali, teledysków... W sytuacji rozplenionej angielszczyzny zadziwia, że nie przeniknęła ona do członków partii, która nami rządzi. Bo choć siermiężni, ale za to najbardziej rozpodróżowani, więc coś powinno do nich z tej wiedzy przylgnąć. Chyba, że zadufanie zatyka im oczy i uszy. Zasklepiają się w swoich urzędach, w swoich środowiskach, w swoich komerażach. Może niedługo zaczną sobie przysyłać na imieniny i urodziny z gabinetu do gabinetu kosze kwiatów, jak działo się w Biurze Politycznym KC.

Paweł Piskorski, prezydent Warszawy, podstawił pod Sejm trzy autokary dla posłów, żeby naocznie stwierdzili to, co trzeba zrobić, iżby mogła powstać kolejna stacja metra, „Ratusz”. Chodzi o dofinansowanie budowy z budżetu państwa. Izba musiałaby podjąć stosowną uchwałę. Podstawił, ale autokary się nie zapełniły. Parę osób wsiadło do jednego i bez większego zainteresowania obejrzeli rury i wykopy METROBUDOWY. Funduszy nie uchwalili. I słusznie.

Można powiedzieć, że centrum Warszawy leży na złocie. Żadne inne miasto na świecie nie jest posiadaczem tak wielkiej ilości gruntów. Prywatnych właścicieli jest stosunkowo niewielu. Pierwszy w wolnej Polsce burmistrz Centrum, Jan Rutkiewicz, nie tylko urbanista z wyobraźnią, ale administrator z głową, wymienił mi kiedyś tę sumę (szkoda, że jej



nie zapamiętałam), twierdząc, że można by z nią zrobić wszystko w mieście, i jeszcze część oddawać do budżetu państwa. Jak się można było spodziewać, Rutkiewicza, jako człowieka energii, konsekwencji i odwagi, bezwzględnie tępiącego prywatę, szybko oddalono. I mamy to, co mamy.

Czyż nie wstyd, żeby wreszcie, po pięćdziesięciu latach (wtedy zaczęły się pierwsze przymiarki) nie zmobilizować samorządowych funduszy tak, iżby choćby przeprowadzić tę jedną jedyną nitkę metra z południa na północ do końca? Tymczasem przebogaty warszawski samorząd zebrze u państwa o jedną stację dalej.

Niech mi kto powie, na co idą pieniądze miasta. Chyba do końca nie wyczerpują ich bajońskie gąże samorządowców, reprezentacje, egzotyczne wojaże, stawiane pomniki i akademie ku czci?

Zrobiłam w Ameryce małą ankietę na temat liczby miejskich radnych. Do zupełnej rzadkości należy samorząd, gdzie jest ich kilkunastu. Warszawa ma ich ponad siedmiuset. Rekord godny Księgi Guinnessa. Śmiech śmiechem, ale Boże, czemuż tyłu, skąd ten absurd?! Nie ma innej odpowiedzi: z chciwości.

Słowa te piszę pod koniec lipca. Gdy czytelnik weźmie ten numer *Kultury* do ręki, skandali przybędzie, te tutaj stracą na świeżości, dojdą nowe. Wszystkie jednak podobnie banalne w swojej głupocie i małostkowości.

Ale przecież nie wszyscyśmy tacy! Od zwykłych ludzi padają zewsząd głosy rozsądku, doskonałych pomysłów... Czy to stołek, gdy człowiek na nim zasiądzie, tak go zmienia? Zadaję sobie pytanie: „jaka byłabym ja, gdybym się załapała? Może podobna?” Bo urągając, bynajmniej nie stawiam się wyżej. Ile więc w moich ubolewaniach, uparcie monotematycznych, osobistej goryczy i zawiści, a ile autentycznego obywatelskiego oburzenia? Któż to wyważy?

Może zbyt wysoko stawiam poprzeczkę? Wiem tylko jedno – daleko lżej byłoby mi znosić swoją dolę, gdybym się nie zawiodła na ludziach przy władzy. Gdyby okazywali się godni prowadzić ten kraj w sposób bardziej uporządkowany, mniej warcholski, z właściwie ustawioną hierarchią spraw. Ale oto brniemy w XXI wiek i w tym zakresie, zakresie sterowania nawą Rzeczpospolitej, niewiele zmienia się na lepsze.

Przychodzą młodzi po to, żeby odtwarzać grzechy starych – i tak dookoła Wojtek.

I jak tu nie tęsknić za śpiewem słowika, ulokowanego na magnolii wielkiej jak lipa przed domem mojego syna w Dolinie Hudsonu? Nie może mi wyjść z głowy ten śpiew jako symbol tamtego sielskiego czasu. Skala i intensywność głosu w tak nikłym ciele – niebywała, nie równająca się z żadnym śpiewakiem operowym. Zaczynał swój godowy trel o północy, kończył o brzasku. Prosiłam wnuka, żeby wyłączył swoje młodzieżowe kapele, mówiąc, że chce mi się spać. Nieprawda. Wyjmowałam zatyczki z uszu, od których jestem uzależniona od młodości mieszkając w potwornym zgiełku Warszawy – i wsłuchiwałam się w pienia słowika. Koif lepiej niż sen.

Syn był co prawda innego zdania. Zaklinał, że gdyby miał pod ręką dubeltówkę, to jak nic, ustrzeliliby małego wokalistę – tak bardzo dojmujący był ten nocny koncert. No, ale on ma go na co dzień, a ja – od święta.

Za oceanem autentycznie interesowałam się problemami Ameryki, ale ponieważ były to problemy nie moje, nie przyprawiały mnie o ów ból w trzewiach, nawet gdy ziały grozą. Tam nie musiałam się wstydzić, a tu – muszę.

Powtarzam, nie umiem powiedzieć sobie: „a co cię to obchodzi?! Zbliżasz się do zejścia, zajmij się lepiej sprawami duszy. A na to, co się w kraju dzieje, patrz jak na film, który szybko się dla ciebie urwie.” Racjonalne podejście, ale dla mnie niewykonalne.

Do Ameryki leciałam długo kombinowaną z ołówkiem w rękę linią, żeby wyszło najtaniej. W drodze powrotnej czekał mnie sześciogodzinny postój na lotnisku w Helsinkach. Ludzie pamiętają, że nie tak dawno pomieszczenie portu lotniczego stanowiła tam skromna budka. Nie było większej potrzeby. Skraj Europy. Któż tamtędy latał?

Bałam się tego czekania po całonocnym locie na siedząco *via* Grenlandia, Islandia, Spitzbergen. W przeddzień wylotu poszłam do kręgarza (w Stanach ludzie lubią kręgarzy), żeby mi mój kręgosłup, wygięty w literę S, jakoś wyrzycował.



No i żałowałam, że poskapiłam sobie i nie frunęłam naszym drogim jak diabli, ale szybkim LOT-em.

Niesłusznie. Lotnisko w Helsinkach wynagrodziło mi niewygodę. Gdy przez rękaw przystawiony do samolotu znalazłam się w ogromnym, jasnym, przejrzystym pomieszczeniu; z drewnianą posadzką, z ciszą, i wszystkim, czego człowiekowi potrzeba, pomyślałam: „no tak, tu można sobie odpocząć.” Podłużna hala, co krok kafejka, restauracyjka, kraniki ze źródłana wodą *gratis*, sklepy wszelkich branż, no i czyste, aż do bólu, toalety. Wszystko dla wygody człowieka, bez wystawności i nachalności. Nawet ogłoszenia płynące z megafonów, choć słyszalne w najustronniejszych zakątkach, stonowane. Skonfrontowałam je potem ze złością na Okęciu z naszymi, niewyraźnymi, jakby nadawanymi z epoki radia kryszałkowego, pełnymi trzasków i warkotów...

Wzdłuż helsińskiej hali stoją „kilometry” miękkich ławek – nie zdarza się, żeby zabrakło miejsca. Znalazłam więc sobie ujutny kącik i rozłożyłam się w nim bezpiecznym obozem (wszak tu nie kradną!) do spania. Ale sen nie przychodził. Trapiła mnie myśl, dlaczego podobne lotnisko jest u nas nie do pomyslenia.

Po wojnie, gdy gwałtownie ruszyło lotnictwo pasażerskie, towarzystwa lotnicze wskazały Warszawę jako najdogodniejszy punkt przesiadkowy. Istotnie, wystarczy spojrzeć na mapę, żeby fakt ten stwierdzić. Godząc się na tę propozycję moglibyśmy na niej wyjść niewiele gorzej niż Niemcy na Planie Marszala. Ideologia – co było do przewidzenia – nie pozwoliła nam przyjąć oferty. Bano się kontaktu z Zachodem. Odmówiliśmy.

Jednakże, wraz z nastaniem wolności, mogliśmy do idei portu przesiadkowego powrócić. Nie zrobiliśmy tego. Nowe Okęcie zbudowaliśmy po naszymu – czyli bez wyobraźni. Lilipucie. Choć zgrabne. Na frontonie widnieje napis „Terminal 1”. Tak, jakby naturalną rzeczą koleją miał za nim powstać terminal 2, 3, 4. Nic z tych rzeczy! Żaden nie powstał, choć miejsca w bród. Gdy dziś na Okęciu siadają niemal równocześnie trzy maszyny: z Nowego Jorku, Chicago i Toronto, w hali przylotów robi się piekło.

Rozmyślałam o tym, wyciągnięta wygodnie na ławach helsińskiego lotniska. Z megafonu płynie rosyjski (dużo ro-

syjskiego i Rosjan). Proszą do odprawy pasażerów odlatających do Petersburga. Zauważyłam, że istnieje most powietrzny między Helsinkami i Petersburgiem. To właśnie w Helsinkach Rosjanie przesiadają się na dalsze trasy. Kilkumilionowy kraj leżący na uboczu potrafił zrobić to, czego my nie potrafiliśmy.

Nad wieczorem – pełnym słońca, wszak to jasność letniej północy – wsiałam do Lotowskiego samolociku, który uwozi mnie ku Warszawie. Steward przemyka z prasą tak szybko, że z trudem łapię gazetę, i odruchowo mocniej ściskam torebkę w rękę. Udaję się wszak do nonszalanckiego i złodziejskiego kraju. Lot trwa niewiele dłużej niż dojazd po wylądowaniu autobusikiem do budynku. Zatrzymujemy się, stajemy, czekamy. Pewnie wopiści nie zasiedli jeszcze w swoich okienkach. O tej porze ruch tu żaden. Widać jak na dłoni, że nie staliśmy się ani lotniczymi Helsinkami, ani tym bardziej Frankfurtem.

Wreszcie! Ładuję na wózek walizę z pomocą miłego podróżnego Chińczyka. Wyjście na znany mi wysoki zagajnik brzoź. Szczęściem, projektant je ocalił. Piękne. Liście drżą lekko w poświacie wieczoru... Zasiadam w wysłużonym poloniezie i wsłuchuję się w familiarnie mi brzmiące okrzyki męża: „gdzie się pchasz, łachudro; jak jedziesz, gamoniu”, adresowane do mijanych kierowców.

W Stanach wymysły te mają swoją nazwę *road rage* (wściekłość drogowa). Podobno działają pozytywnie, bo nieszkodliwie (adresat ich nie słyszy) rozładowują napięcie. Pod warunkiem, że kierowca nie ma broni, bo w zapale może nią poprzeć słowa. U nas przeciętny obywatel jej nie ma, więc spokój.

Znalazłam się oto w ukochanym kraju. Brrr! Nagle rozpaczliwe pragnienie: chcę wracać tam, skąd przybyłam.

A jednak zdarza się, że tamci chcą wracać tutaj! I to młodzi. (U starych poważnym argumentem przeciw jest „niski standard umierania”; dosłownie, boją się naszych szpitali). Córka znajomych, lat 16, w ramach Stypendium Kościuszkowskiego, przyjechała na wakacje do Polski jako asystentka



nauczyciela. Będzie mu pomagać uczyć młodzież po angielsku. Przyjechała, i zachwyta. Oświadcza, że chce tu studiować. Inna, na gwałt szuka po księgarniach gramatyki polskiej w języku angielskim, bo chce studiować u siebie polski jako drugi język. Byłam świadkiem, jak pytano w księgarni o „Wierną rzekę” po angielsku. Czy była kiedykolwiek tłumaczona?

Naraz dzieci urodzone na obczyźnie już w drugim pokoleniu zaczynają interesować się Polską. Nie dla wszystkich magnesem jest biznes czy handel ze Wschodem. Po cóż biznesiarzowi „Wierna rzeka”?

Więc co? Skąd to przyciąganie? Ja nie wiem.

Nie wiem też, jak to się dzieje, że poziom nauczania matematyki, fizyki, biologii w naszych szkołach i uczelniach jest szerszy niż w amerykańskich. Oczywiście brak nam ichniego instrumentarium, ale teoretyczną wiedzę dajemy wyższą. Fakt ten potwierdzają tamtejsze uniwersytety; dla stypendystów polskich mają jedynie słowa uznania. Ludzie nauki doceniają Polskę. Młodego człowieka pochodzenia polskiego pretendującego do bardzo dobrej amerykańskiej uczelni spytano o znajomość jakiegoś języka obcego. „W domu mówimy po polsku”, bąknął nieśmiało. Byli zachwyceni. Wystarczyło.

Mit nierozgarniętego Polaka – prawdziwy więc czy fałszywy? Oto pytanie.

„Dziwny jest ten kraj” – można tylko stwierdzić, parafrazując znaną piosenkę Czesława Niemena.

(A nawiasem mówiąc, gdy poszłam do lekarza na swój przewlekły bronchit, gdy mnie osłuchał, powiedział: „prezentowało się świetnie, gdzie pani była?” Pokiwałam głową. Już po kilku dniach chrypa i rżenie wróciły.)

Z kącika cwaniaka.

W Ameryce byłam na własny koszt. Sprawa oczywista, ale postanowiłam o tym wspomnieć, bo...

Szef Rządowego Centrum Studiów Strategicznych, Jerzy Kropiwnicki wybrał się służbowo na Alaskę.

– Spotkania ministra będą poświęcone m.in. problemom

strukturalnym w rolnictwie oraz polityce wyrównywania społeczno-ekonomicznego w regionach – wyjaśniła cel wizyty szefowa biura prasowego ministra, Małgorzata Szyszko-Duńczyk, odpowiadając na pytania dziennikarzy.

Po tym jak marszałek senatu zapoznawała się z doświadczeniami parlamentarnymi w Katarze studyjna podróż ministra nikogo już nie zdziwiła.

Prócz mnie, naiwnej. Bo ja stale sobie myślę jak starzy Francuzi: „złóż *sou* do *sou*, a zbierzesz, ile dziurawemu budżetowi potrzeba”. Tymczasem wszystkie nasze „*sous*” idą w rozkurz, to znaczy, na prywatę.

27 lipca 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

## Chmury nad Polską

Polska od niedawna uchodziła za lidera przemian politycznych i gospodarczych w krajach byłego bloku wschodniego. W ostatnich dwóch latach sytuacja diametralnie się zmieniła. Polska znalazła się na trzecim miejscu. Właśnie w rozwoju gospodarczym znaleźliśmy się na trzecim miejscu. Wyprowadzają nas nie tylko Węgrzy, lecz także Słowacja.

Przed elewatorami zbożowymi stoją kolejki ciągników z ziarnem po 24, a czasem 48 godzin. Ceny zboża są przedmiotem zacieklego sporu rolników i administracji rolnej. Tymczasem telewizja polska pokazała liczne wagony ze zbożem na granicznych stacjach, importowanym właśnie ze Słowacji i Węgier. Zrozpaczeni rolnicy, nie mogący zbyć swych produktów i kłócący się o ich realne ceny, posunęli się ponownie, jak przed rokiem, do rozpaczliwej, ale także niegodnej metody wysypywania ziarna z wagonów na tory



kolejowe. Świadczy to o emocjach, jeśli nie wręcz rozpaczy polskich rolników. Mają oni raczej mówiąc, po co importujemy, skoro sami mamy za dużo zbóż? W zeszłym roku potępił rolników z tego samego powodu, nie tylko rząd, ale także prymas Glemp. Teraz rolnicy napisali do przedstawicieli rządu i do prymasa Glempa rozpaczliwe listy z pytaniem dlaczego nie mogą zbyć swoich produktów, a jednocześnie importuje się ziarno z zagranicy? Przykro jest widzieć ziarno, a więc chleb nasz powszedni, na torach, lecz trzeba także zrozumieć rozpacz rolników, czekających po kilkadziesiąt godzin na zbycie ich ziarna i to za ceny dużo mniejsze niż im obiecywano. Prymas Glemp powinien teraz pouczyć polityków jakoby katolickich, a nie rolników.

Drugi przykład. Do połowy sierpnia tego roku podniesiono już po raz czternasty ceny benzyny i olejów napędowych. Jest to praktyka bez precedensu i godzi oczywiście nie w zamożnych posiadaczy limuzyn, lecz ludzi transportujących właśnie płody rolne i inne produkty, zwłaszcza przemysłowe. Rząd ratuje się tymi podwyżkami, bo uchwalił budżet i chce go jakoś zrównoważyć okradaniem obywateli.

Reforma zdrowia całkowicie zawiodła. Nigdy po wojnie nie było tak trudno dostać się do lekarza specjalisty, jak obecnie. Za to Kasy Chorych mają liczną i dobrze opłacaną administrację. Chory człowiek na drodze musiał umrzeć, bo nie mógł przyjechać do niego kompetentny lekarz z bliskiej odległości, lecz mógł przybyć tylko inny z województwa chorego, choć jego podróż musiała potrwać tak długo, że pacjent zmarł. Jest to klasyczny przykład nie tylko źle przeprowadzonej reformy służby zdrowia, lecz reformy wszystkiego. Kompetencje wojewodów, starostów, wójtów i samorządów są tak powikłane, że załatwienie czegokolwiek wydłuża się wraz z postępem reformy, z której niezadowoleni są także lekarze. Natomiast dygnitarze lokalni zarabiają nie mniej niż posłowie i wyżsi urzędnicy w ministerstwach, czyli grube tysiące. No i teraz wiemy, komu najbardziej była potrzebna reforma administracji i komu ona rzeczywiście służy.

Jesienią pojawi się nowy dramat związany z reformą przemysłu węglowego i hutnictwa. Nieuchronne są dalsze liczne zwolnienia pracowników w obu tych dziedzinach życia

gospodarczego. Jeśli w latach 1993-1997 bezrobocie w Polsce spadło o milion osób, z trzech do dwóch milionów osób, to zanoszą się na to, że do połowy przyszłego roku znowu wzrośnie do trzech milionów osób. Zreformowanie kraju powinno być ponownie przemyślane i poddane publicznej dyskusji specjalistów, byśmy po dziesięciu latach od odzyskania niepodległości nie stali się krajem znanym w świecie ze znieczulicy społecznej i swego rodzaju odwrotnej sprawiedliwości społecznej. Głęboko szanuję patriotyzm Solidarności z lat osiemdziesiątych i bardzo martwi mnie, że jej dawne zasługi zostaną przysłonięte przez niedowład państwa i brak kompetencji ludzi, którym oddano lekkomyślnie władzę. Nie mogę zrozumieć, że kiedyś niemal wszechwładny Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” niewiele ma teraz do powiedzenia, gdy trzeba było przejść od polityki protestów do budowania państwa rozwijającego się, sprawiedliwego i demokratycznego. Trzeba bić na alarm, bo Polska, do niedawna bardzo chwalona, teraz w prasie zachodniej, a jeszcze bardziej w kancelariach państw zachodnich, jest postrzegana jako partner coraz bardziej słaby. Ale przeszłość łatwo się zapomina; teraźniejszość zaś Polski budzi zdumienie Zachodu.

Czy jest jakieś realne wyjście z zaistniałej w Polsce sytuacji społecznej? Oczywiście jest takie wyjście i politycy dobrze o nim wiedzą, lecz nie bardzo chcą z niego skorzystać. Akcja Wyborcza Solidarność boi się przedwczesnych wyborów parlamentarnych w tym lub przyszłym roku, bo wie, że wyborcy nie będą na nią głosować po doświadczeniach ostatnich dwóch lat. AWS tylko zdaje się nie wiedzieć, że z powodu braku kompetencji jej polityków, za rok, czy też za dwa lata będzie miała jeszcze skromniejsze wyniki wyborcze niż otrzymałaby je teraz, bo ludzie liczą na jakieś realne zmiany personalne w układach rządowych prawicy.

Może jest to zabawne, ale także lewicy nie bardzo spieszy się do przyspieszonych wyborów parlamentarnych, choć mogłaby obecnie uzyskać zadowalające wyniki. Kłopot lewicy polega na tym, że już w przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie, w których Aleksander Kwaśniewski ma duże szanse ponownego zdobycia fotela prezydenckiego. A więc sam prezydent Kwaśniewski i jego zwolennicy na lewicy



woleliby poczekać z wyborami parlamentarnymi, dopóki nie zostanie wybrany nowy prezydent. Duża część społeczeństwa myśli w tej sprawie inaczej. Wolałaby przyspieszenie wyborów parlamentarnych, bo one będą decydujące dla dalszego rozwoju kraju, a prezydent Kwaśniewski i tak może liczyć na ponowny wybór w konstytucyjnym terminie, czyli po pięciu latach, a więc w grudniu 2000 roku.

Moim zdaniem interesy polityków obydwu skrzydeł politycznych różnią się od interesów kraju. Potrzebny jest nam bowiem przede wszystkim nowy parlament i nowy kompetentny rząd, byśmy dalej nie staczali się w przepaść gospodarczą i polityczną. Obecnie rządząca koalicja jest już świadoma swojej słabości w społeczeństwie, więc do wyborów jej się nie spieszy. I choć wolałaby mieć innego prezydenta niż Aleksander Kwaśniewski, to jednak jej priorytetem będą wybory parlamentarne, gdy tylko rządowi AWS uda się jakimś cudem zrobić coś korzystnego dla kraju. Kościół zapewne także chce utrzymać rządzącą koalicję, bo krzykliwie deklaruje ona swój katolicyzm i wyraźnie stara się być posłuszna wobec życzeń Episkopatu. Większość obserwatorów politycznych w Polsce wydaje się być przekonana, że wybory prezydenckie i parlamentarne powinny odbyć się w terminach konstytucyjnych, a więc prezydenckie w 2000 roku, a parlamentarne w 2001 roku. Nie wiem, czy będzie to dobre dla Polski? Chwilowo Aleksander Kwaśniewski nie ma zdecydowanej alternatywy personalnej na urząd Prezydenta, choć wymienia się wiele nazwisk, w większości zresztą rozbijając zabawnych. Nie jestem więc przeciwny terminowi konstytucyjnemu wyborów prezydenckich. Natomiast skłaniałbym się do przyspieszenia wyborów parlamentarnych, ale tylko wtedy, gdyby w obozie AWS pojawili się jacyś nowi i wybitniejsi ludzie niż ci, którzy nas teraz raczej ośmieszają i pozostają w permanentnym konflikcie z rolnikami, górnikami, hutnikami, pracownikami przemysłu tekstylnego i wielu innych zawodów. AWS przystąpił do wyborów w 1997 roku zupełnie nie przygotowany. Teraz miałby szansę rozliczenia tych polityków, którzy zawiedli, a także przygotowania nowych kadr, mających realne doświadczenie w administracji państwowej i w różnych dziedzinach życia gospodarczego. Ale czy to realne?

Nie jestem prorokiem, ale wydaje mi się, że w obecnej sytuacji dużo większe szanse na wygranie wszelkich wyborów, a więc także prezydenckich, jak i parlamentarnych ma SLD, a nie AWS. Rozczaruje to tak zwanych ludzi etosu solidarnościowego, lecz dla kraju byłoby korzystniejsze niż obecna degrengolada osobiście radziłbym ludziom zainteresowanym polityką w Polsce, by odeszli od myślenia przeszłościowego i zaczęli myśleć o przyszłości Polski. Bohaterów, zwłaszcza prawdziwych, umiemy czić i o nich nie zapomnimy. Natomiast potrzebni nam są fachowcy i pragmatycy, a nie tylko ludzie „etosu” i jednostronni pragmatycy typu profesora Balcerowicza. Nie zapominam mu, że to on właśnie zaczął wznosić budynek Polski rynkowej, lecz zdumiewa mnie teraz jego jednostronna, liberalna linia. Była ona koniecznością, by zmienić gospodarkę kolektywną PRL-u na system rynkowy. Ale czysty liberalizm ekonomiczny, bez uwzględnienia spraw społecznych jest okrutny moralnie i z czasem przestaje być kluczem do rozwoju gospodarczego.

Andrzej MICEWSKI

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30



## Sprawy i troski

### Bicie się w cudze piersi

Od dłuższego czasu obserwuję w *Kulturze* systematyczne określanie Polaków jako narodu genetycznie obciążonego plagą antysemityzmu, z której to przywary zespół autorów takich jak Janusz Marciniak, Ewa Berberysz, Henryk Grynberg, Leopold Unger, Smecz, postanowili Polaków wyleczyć, a samo zjawisko napiętnować.

Nie będę się spierał, czy antysemityzm wśród Polaków istnieje i jakie są tego przyczyny, jako, że na każdy argument można znaleźć odwrotną odpowiedź i każdy z autorów widzi zagadnienie ze swej własnej perspektywy. Istnieje także obawa, że taka dyskusja mogłaby trwać dłużej niż 600 lat historii polskich Żydów.. Co mnie niepokoi, to jednostronne naświetlanie tego tematu na łamach *Kultury*, wykrzywiające obraz tych Polaków, dla których sprawy żydowskie są albo obce, jako że się urodzili, kiedy już Żydów wśród nich nie było, albo podobnych do mnie, dla których kwestia wyznania zawsze była i jest obojętna. Jeśli za lat kilka albo kilkanaście ktoś weźmie do ręki archiwalne roczniki *Kultury* z ostatniej dekady, to będzie miał opinię, że Polacy i Polska w końcu XX wieku to nawiedzony naród „oszołomów”, który upodobał sobie Żydów jako symboliczne ofiary do znęcania *in absentia*. Gdyby jednak przyjąć, że duża część społeczeństwa polskiego jest nastawiona antysemicko, to jednak trudno zrozumieć stawianie tego tematu na świeczniku bieżących polskich zagadnień społecznych. Równie dobrze można by tępić uprzedzenia w stosunku do łysych czy otyłych, których jest więcej w Polsce niż Żydów. Z perspektywy morderczych konfliktów w Kosowie, polski antysemityzm wygląda raczej jako niedościgniony wzór tolerancji, wzajemnego szacunku i wieloetnicznej współpracy.

Zabieram w tej sprawie głos jako, że manipulowanie prawdą i życie w zakłamaniu było przyczyną mej emigracji z Polski

w latach 60-tych. Jakie jest moje zdumienie i zawód, kiedy z podobnymi metodami „uwypuklania i wyciszania” spotykam się dzisiaj na łamach czasopisma mającego długą historię walki o wolność słowa i obiektywizm. Czyżby to dowód, że ziemia jest okrągła, jako że idąc daleko na Zachód znajdziemy się nagle na Wschodzie?

Jeśli jednak przyjmiemy, że przyjaźń i zrozumienie między Żydami i Polakami są wskazane, a nawet w dobrym tonie, to do jej nawiązania i utrzymania potrzeba dużo dobrej woli obydwu stron. Niestety obserwując sytuację z perspektywy amerykańskiej, to właśnie Polacy, a nie Żydzi, są przedmiotem ciągłych napaści i obraźliwych paszkwili w środkach masowego przekazu, a także w materiałach przeznaczonych dla szkolnictwa średniego i wyższego.

Dla ilustracji nienawistnych antypolskich wypowiedzi pozwałam sobie przytoczyć wyjątki z materiałów edukacyjnych (wywiad z panem Leonem Scherem, ocalonym z zagłady Żydem z Częstochowy) publikowanych na stronie internetowej Uniwersytetu Tulane w Nowym Orleanie. Pan Leon Scher, pod wpływem naprowadzających tendencyjnych pytań, podaje, że jedynymi „sprawiedliwymi” ludźmi jakich spotkał w czasie Holocaustu w Polsce byli dwaj gestapowcy; polska Armia Krajowa zajmowała się głównie mordowaniem ukrywających się Żydów, a sami Polacy mają szczególną przyjemność w mordowaniu Żydów. Wedle danych z tego źródła około 60-tysięcy amerykańskich nauczycieli i studentów czyta te materiały rocznie przygotowując się do obowiązkowych wykładów w amerykańskich szkołach średnich o zagładzie Żydów. Reszta materiałów edukacyjnych opublikowanych w Internecie przez Tulane University Southern Institute for Education and Research jest równie antypolska i cały Internet aż się roi od tego rodzaju wypowiedzi. Ja mam osobiste powody do urazu w stosunku do Uniwersytetu w Tulane za rozprzestrzenianie kłamliwych opinii o Polakach w Częstochowie, gdyż jako 9-cio letni chłopak podawałem w 1944 roku przez druty kolczaste wodę dla spragnionych współwięźniów Pana Schera, a także znałem kobietę, nagrodzoną, *post mortem*, ostatnio (2 maja 1999 r.) przez izraelski Yad Vashem, która przygarnęła z narażeniem życia własnej rodziny dwuletnią dziewczynkę, córkę więźniów tego samego obozu, w którym siedział Pan Leon Scher.

Dla zainteresowanych, cały obszerny wywiad, ponad 20 stron, w trzech częściach z Leonem Scherem (w języku angielskim) jest dostępny w oryginale pod adresem internetowym:



<http://www.tulane.edu/~so-inst/scher.html> a internetowy adres Instytutu, który temu przedsięwzięciu patronuje jest: [www.tulane.edu/~so-inst/mainpage.html](http://www.tulane.edu/~so-inst/mainpage.html)

Jeżeli któryś z autorów, po zapoznaniu się z wyżej wymienionymi materiałami „edukacyjnymi” zamieszczonymi przez Tulane University stwierdzi, że ma odmienne zdanie o roli Polaków w zagładzie Żydów, może skierować wyjaśnienie do Rektora Uniwersytetu w Tulane pod adresem:

Tulane University

President Scott S. Cowen

6823 St. Charles Avenue, New Orleans,

70118, USA

Pozostawiam Panu Redaktorowi i wymienionym wyżej autorom decyzję, czy należy o podobnych antypolskich zachowaniach mówić i pisać w polskiej prasie, czy też zamilknąć, licząc na uczciwość i dobrą wolę drugiej strony. Jednocześnie mogę Pana Redaktora zapewnić, że już teraz młodzież amerykańska w większości wypadków na zapytanie co wie o drugiej wojnie światowej odpowie: „Żydzi byli mordowani w Polsce”, a prasa angielskojęzyczna od wielu lat, mimo protestów Polskiej Amabasady, ciągle się „myli” nazywając Auschwitz „Polskim Obozem Koncentracyjnym”, co po angielsku wyraża silniejsze przypisanie odpowiedzialności Polsce i Polakom niż w brzmieniu polskim. W świetle powyższego nie warto więc rozdzierać szat nad zachowaniem się ks. Jankowskiego czy pana Świtonia, jako że ich osoby nie liczą się w grze o nową, „politycznie poprawną” historię, gdzie Polakom z góry przypisano rolę nie tyle pionków co półgłówków.

*Jan CZEKAJEWSKI*

Załącznik

Wyjątki wywiadu z Leonem Scherem

Pytanie: Często spotykam się z opinią że Polacy byli gorsi od Niemców.

Leon S.: Jeśli da im się wolną rękę, będą gorszymi. Oni (Polacy) byli zimnokrwistcy, oni nie mieli współczucia. Oni mogą zabić Żyda łatwo. To była przyjemność dla nich.

Pytanie: Co wiesz na temat AK (Armii Krajowej)?

Leon S.: Oni byli specjalnie (dokładnie) antysemitcy. Oni zabijali żydowskich partyzantów. Oni (AK) polowali na nich,

aby ich zabić. W lasach, Armia Krajowa była naszym wrogiem.

Pytanie: Ostatniego lata w Warszawie miałem wywiady z wieloma Polakami, którzy zostali uhonorowani przez żydowską organizację Yad Vashem jako „Sprawiedliwi Nie-Żydzi”. Czy znasz to określenie? Czy w czasie wojny otrzymałeś jakąś pomoc od takich ludzi?

Leon S.: Jeśli mam wymienić jedną Sprawiedliwą Osobę, to byłby Niemiec, może dwóch Niemców. Niemiec, o którym mówię był członkiem gestapo. On mi pomógł! Dzięki niemu ja i mój brat jesteśmy żywi. Dzięki niemu inni ludzie są żywi. A to dlatego, że jak go poprosiłem o przysługę on mi ją czynił. (...) Ludzie w Polsce nie myślą wiele. Kościół (katolicki) myśli za nich. Kościół jest mową dla ludzi. Jeśli Kościół nic nie mówi, ludzie (Polacy) milczą.

Pytanie: Jeden z Żydów, który przeżył zagładę powiedział: „Z każdej ambony płynął jad antysemityzmu”.

Leon S.: Ja bym to potwierdził. Nie z własnych doświadczeń, jako że nigdy nie byłem w kościele i nie słuchałem kazań, ale każdym razem jak ludzie wychodzili z kościoła, mogłeś widzieć, że dostali zastrzyk antysemityzmu. Zastrzyk, nowy zastrzyk. Troszkę więcej wzmocnienia dla antysemityzmu.

Pytanie: Polska armia i korpus oficerski zostali pokonani bardzo szybko w 1939 r i Rząd Polski uciekł. Jak ktoś powiedział, w 5 dni całe nasze życie kompletnie się zmieniło.

Leon S.: To jest prawda. Ja widziałem polskich żołnierzy zrzucających mundury, zakopujących, palących. Oni mieli małe karabiny, z którymi nie wiedzieli co robić i jak się ich pozbyć. Łamali karabiny na połowę, aby się ich pozbyć. Chciałbym powiedzieć cały Polski Rząd trwał 5 dni i potem uciekł do Londynu. Powstanie w Warszawskim Getcie trwało trzy (3) tygodnie i prawdopodobnie (Żydzi) zabili więcej Niemców niż cała Polska Armia.



## Polish jokes

Telawiński tygodnik polskojęzyczny *Nowiny-Kurier* (9 lipca 1999) wyłowił z polskiego Internetu dwa zbiory „dowcipów” antyżydowskich, które ze słusznym oburzeniem omawia na swoich łamach. Przytoczone przykłady typu: „Co robi mały żydek w kominie? Czeka na mamusię”, albo „napis na kominie w Oświęcimiu: Żydzi górą” itp. wskazują na ewidentne zezwierzęcenie ich autorów i jest hańbiące dla społeczności polskiej. Zaprotestujemy jak najusilniej przeciw takiej twórczości, wzywając odpowiednie czynniki polskie do wykrycia – jeśli to możliwe – jej autora(ów).

Łódź, lipiec 1999 r.

Lesław GRUSZCZYŃSKI

### KSIAŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## O religii bez namaszczenia

### O wizycie Papieża w kraju – krytycznie

Zdaję sobie sprawę, że jestem w minimalnej mniejszości przynajmniej, że nie podzielam entuzjazmu milionów moich rodaków, które wyległy na powitanie i zbiorowe uwielbianie papieża Jana Pawła II w czasie jego czerwcowej podróży po Polsce. Mało tego. Jestem wprost boleśnie świadom, że krytykując tę postawę tłumów, od najskromniejszego obywatela poprzez przedstawicieli mediów do najwyższych dostojników kościelnych i państwowych, głęboko ranię ich uczucia patriotyczne i religijne. Jest to bolesne, bo wiem również, że zmieszane z tym zbiorowym omamieniem były rzetelne głębokie uczucia osobistej czci i miłości do ich i mojego sławnego rodaka i tego wszystkiego co on swoim wysokim urzędem reprezentuje. W tej sytuacji nie mam wielkich szans na przekonanie czytelnika, że to dwutygodniowe *jamboree* rozlane na całą Polskę było w sumie zjawiskiem wysoce niepokojącym, zgoła patologicznym, mającym, wbrew pozorom, niewiele wspólnego z prawdziwym chrześcijaństwem. Tylko głębokie przekonanie, że cała ta impreza stała się poważnym zagrożeniem dla zdrowego rozwoju polskiej myśli religijnej i przyszłości polskiego Kościoła, każe mi pisać to zasadniczo negatywne podsumowanie kolejnej wizyty papieża w jego rodzinnym kraju.

Mojej negatywnej oceny nie zmienia fakt, że papież w swych rozlicznych homiliach głosił na ogół autentyczną prawdę. Czegóż innego należało się spodziewać od najwyż-



szego przedstawiciela chrześcijańskiego Kościoła? Głoszenie Ewangelii jest jego podstawowym obowiązkiem, tak samo zresztą jak każdego księdza i wyznającego publicznie swoją wiarę świeckiego chrześcijanina. Przedmiotem negatywnej oceny jest nie treść papieskich wystąpień, lecz okoliczności tych wystąpień i sztuczne ramy, w jakie zostały ujęte. Na długo przed rozpoczęciem papieskiej podróży (wolę to określenie od pretensjonalnej „pielgrzymki”) kazano nam nasłuchiwać jakiegoś specjalnego „nauczania papieskiego”, jak gdyby papież mógł nauczać czegoś innego niż to, co głosi każdy kapłan, czyli objawioną 2000 lat temu Dobrą Nowinę Chrystusa Pana. Różnica między tym, co głosi papież, a tym co głosi ksiądz w parafialnym kościele miała zatem leżeć nie w treści głoszonego słowa, lecz w tym kto to słowo głosi, a zatem papież – i to właśnie Jan Paweł II, nasz polski papież, którego dlatego, że jest Polakiem specjalnie kochamy. Nie ulega wątpliwości, że dla olbrzymich rzesz, które towarzyszyły papieżowi wszędzie od Gdańska po Kraków oraz Nowy i Stary Sącz, to było bez porównania ważniejsze niż to, co papież głosił. I Msza św. na krakowskich Błoniach, odprawiona przez kardynała Sodano w zastępstwie chwilowo chorego Jana Pawła II, nie była dla nich tym samym co Msza odprawiona przez uwielbianego gościa. I tu dotykamy jednego z dwóch teologiczno-duszpasterskich problemów, jakie nasuwa zastosowana przez organizatorów reżyseria papieskiej (*sit venia verbo*) pielgrzymki. Obu tym problemom – drugi sprecyzuję za chwilę – należy się bliżej przyjrzeć.

Nastąpiło tu, zamierzone niewątpliwie, ale dlatego szczególnie niewłaściwe, przesunięcie akcentu z ewangelicznego posłania na osobę posłańca. Nie jest to zresztą nowość. Cała zastosowana w ciągu obecnego pontyfikatu strategia podróży papieskich (a także innych osobistych interwencji Jana Pawła II w życiu Kościoła) w większej lub mniejszej mierze zakłada i praktycznie niesie w sobie niebezpieczeństwo takiego przesunięcia akcentu. Karol Wojtyła w swym duchowym wnętrzu jest zapewne nadal tak samo skromny i nie pożądamy osobistego wyniesienia, jaki był jako już metropolita krakowski i kardynał, świadomie grający drugie skrzypce przy Prymasie Polski, kardynale Wyszyńskim. Natomiast jest niewątpliwie dumny – i trudno się temu dziwić – ze swe-

go bezprecedensowego wyniesienia na tron papieski, widząc w tym szczególne zrządzenie Opatrzności. Wielokrotnie sam o tym mówił. Jest zatem dumny nie tyle z siebie, ile z wielkiego urzędu, który Bóg kazał mu sprawować. Jest jednak przy tym skłonny do przeceniania nadprzyrodzonego charakteru tego urzędu i związanej z tym szczególnej Bożej opieki – wbrew historycznemu doświadczeniu Kościoła, który znał tyluż papieży prawdziwie świętych co zgoła zbrodniczych, tyluż głęboko mądrych co tragicznie omylnych<sup>1</sup>.

Ta obecna wersja mistyki Stolicy Apostolskiej wychodzi daleko poza praktykę ostatnich papieży, także przedso-borowych, ale nade wszystko stanowi odwrót od zamierzonej przez Vaticanum II, choć tylko częściowo w dokumentach soborowych zrealizowanej, rewaluacji roli biskupów, tak w rządach ich diecezji jak i w rządach całym Kościołem (tzw. zasada kolegalności). Papież jest dziś znów absolutnym władcą Kościoła w sensie tradycyjnych świeckich monarchii „z łaski Bożej”, jakkolwiek oczywiście ograniczonym ogólnymi wymaganiami doktryny katolickiej. Jan Paweł II siłą swej osobowości i mistyki swych przekonań zdołał narzucić tę koncepcję papieżstwa całemu Kościołowi (choć nie bez znacznych oporów, o których poniżej), w tym zwłaszcza swemu rodzi-memu Kościołowi polskiemu. I tym tłumaczy się owo, pod pewnymi względami aż absurdalne zachwianie wewnętrznej równowagi i godności polskiego Kościoła, jakiego byliśmy świadkami w ciągu owych dramatycznych dwóch tygodni w czerwcu 1999 roku<sup>2</sup>.

1. Warto tu zwrócić uwagę na znakomitą historię papieżstwa pióra oxfordzkiego uczonego, *nota bene* praktykującego katolika, Eamona Duffy pt. „Saints and Sinners”, Yale University Press 1997. Ostatni rozdział książki daje mądrze zrównoważoną historię pontyfikatu Jana Pawła II aż do tej daty. Książka zasługuje na możliwie rychły przekład na język polski.

2. Porównania ze świeckimi przykładami personalnego absolutyzmu w minionym stuleciu, w rodzaju np. „kultu jednostki” byłyby nie na miejscu i mylące ze względu na zupełnie inny kontekst świeckich dyktatur. Porównywalne są jednak pewne absurdy. I tak monotematyczność i ideologiczne zaangażowanie prasy katolickiej owych dni żywo przypominały przebrzmiałe komunistyczne eulogie. Jeden z niesionych w tłumie transparentów głosił: „Tatusiu święty, kochamy Cię” – symptomatyczny dowód rezygnacji z politycznej i religijnej dojrzałości.



Drugi problem teologiczno-duszpasterski, który nasuwa czerwcową wizyta papieska, dotyczy recepcji papieskiego nauczania przez wiernych. Nie ulega wątpliwości, że kolejne masowe nabożeństwa i homilie, mimo ich widowiskowego charakteru niesprzyjającego skupieniu, były również okazjami do zupełnie swoistych głębokich przeżyć religijnych i do refleksji. Ja z wdzięcznością czytałem tekst homilii wygłoszonej w Ełku, w której papież dopominał się o los tych wszystkich, którzy w imponującym rozwoju gospodarczym kraju, nie z własnej winy pozostają w tyle i cierpią rosnącą nędzę. To kwestia elementarnej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Ale nie dostrzegłem w homiliach specjalnej ekspozycji tego, ani szczególnego zainteresowania tym, co się powszechnie nazywa „nauczaniem papieskim”. Na przykład jednym z kluczowych elementów nauczania Jana Pawła II jest kategoryczny zakaz stosowania tzw. sztucznych środków antykoncepcyjnych. Zakaz ten, po raz pierwszy wyraźnie sformułowany w roku 1930 w encyklice Piusa XI „Castii Connubii” i równie wyraźnie wznowiony w encyklice „Humanae Vitae” Pawła VI w 1968 roku, jest jednak w Kościele posoborowym szeroko (choć przeważnie milcząco) kwestionowany, a nade wszystko w praktyce (także sakramentalnej, w spowiedzi) ignorowany. W Polsce, nie mniej niż w innych krajach, środki antykoncepcyjne są praktycznie do nabycia. Gdyby tak nie było, małżeństwa katolickie musiałyby mieć o wiele więcej dzieci niż dwoje, czy kilkoro, co dziś jest powszechnie praktykowaną normą. Zakaz ten jest też na pewno ignorowany przez tych, którzy w setkach tysięcy wylegli na powitanie papieża. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ci ludzie i wtedy, i dziś jeszcze nie zdali sobie sprawy, że postępują wbrew nauczaniu uwielbianego przez siebie Ojca Świętego. A nie jest to dla papieża sprawa małej wagi. Jest to jedno z dwóch zagadnień etyki seksualnej (drugim jest prawo do życia każdego załóżka istoty ludzkiej od chwili poczęcia), w których Jan Paweł II jest skłócony z większością kompetentnych myślicieli chrześcijańskich, w tym także wielu katolickich, i w których zdecydowanie broni swojego stanowiska bez żadnych szans kompromisu, żądając absolutnego posłuszeństwa całej podległej mu hierarchii<sup>3</sup>.

3. Zdaniem amerykańskiego biografa papieża, kardynał Karol Woj-

Mimo to, o ile wiem, papież w ciągu całej swej dwutygodniowej tury po Polsce słowem o tej sprawie nie wspominał. Przyznaję, że nie czytałem wszystkich homilii papieskich, ale znamienne jest, że w homilii wygłoszonej w Łowiczu, której tematem było powołanie rodzicielskie i życie rodzinne, nie ma o tym wzmianki. Miło byłoby pomyśleć, że papież zmodyfikował swój pogląd, ale to jest mało prawdopodobne. Raczej uznał, że poruszenie tej sprawy w euforycznej atmosferze pielgrzymki do Ojczyzny mogłoby tę atmosferę całkowicie zepsuć. O ile mi wiadomo, żaden z kościelnych komentatorów również tej sprawy nie poruszył, licząc zapewne na to, że mało kto wśród tych tysięcznych rzesz zdawał sobie sprawę, że taki kłopotliwy element papieskiego nauczania w ogóle istnieje. I lepiej było nie wywoływać wilka z lasu.

Oczywiście rzuca to pewien cień na całą tę patriotyczno-religijną imprezę. Ale gotów jestem się zgodzić, że jest to szczegół, którego nie należy wyolbrzymiać. Ważniejsze jest, że rzuca on cień na stan całego polskiego chrześcijaństwa, w tym zwłaszcza na ten jego element, w który i ja przez wiele lat jako dziennikarz byłem zaangażowany, mianowicie na chrześcijańską (nie tylko kościelną) służbę informacyjną. Polacy nie tylko nie wiedzą, że papież całkiem inaczej niż oni widzi intymny problem planowania rodziny. Nie wiedzą również wielu innych rzeczy. I zapewne wolą nie wiedzieć, że gdyby ich córka (albo żona, albo kochanka) padła ofiarą gwałtu, to według nauczania papieskiego powinna przezycieżyć swój wstręt i urodzić i pokochać dziecko gwałciiciela; papież ostatnio znowu przypominał ten obowiązek ofiarom masowych gwałtów w Kosowie. Nie wszyscy się z tym zgadzają. Wiele jest rzeczy w nauczaniu i rządach papieża Jana Pawła II, z którymi wielu ludzi w Kościele się nie zgadza.

tyła był w dużej mierze współautorem kontrowersyjnej encykliki „Humanae Vitae”. W roku 1968, gdy Paweł VI jeszcze się wahał, czy zignorować opinię większości powołanej przez siebie komisji, która zalecała dopuszczalność umiarkowanej antykoncepcji, opinia wysoce cenionego przez papieża kardynała Wojtyły przeważała szalę na niekorzyść papieskiej komisji. (Jonathan Kwitny: „Man of the Century. The Time and Life of Pope John Paul II”. Warner Books, New York 1997. Str. 218-220).



Także jego bracia w biskupstwie. Wśród nich tacy ludzie jak były arcybiskup Wiednia kardynał Koenig oraz były arcybiskup San Francisco kardynał Quinn, od lat wołają o daleko idące reformy w Kościele. Ale to jest osobny, olbrzymi temat.

W ramach naszego tematu przebieg pielgrzymki dowodnie wykazał, że Polacy jak jeden mąż zgadzają się z papieżem. Nie dlatego, żeby lepiej wiedzieli, czego dzisiejszemu Kościołowi potrzeba, lecz dlatego, że nic o Kościele Powszechnym nie wiedzą. I nie chcą wiedzieć. Wystarczy, że papież wie. Bliska mi koleżanka po fachu, znakomita felietonistka londyńskiego *Tygodnia Polskiego* napisała dosłownie: „...nie widzę w tej orgii uwielbienia zbiorowej hysterii. Nie chcę widzieć. Chcę widzieć potrzebę miłości do człowieka, któremu można ufać.” (Dla równowagi dodam, że Krysia Cywińska w swoim poprzednim felietonie bardzo trafnie skrytykowała budowę monstrualnej bazyliki w Licheniu.) Ale może jestem trochę niesprawiedliwy. Nie wszyscy wierni Polacy potracili głowy. Publicysta katolickiego *Tygodnika Powszechnego* Adam Szostkiewicz uciekł na krótko z objęć własnego pisma, by na łamach *Polityki* (z dn. 19.06.) bardzo łagodnie skrytykować papieża i zacytować trzeźwą opinię zagranicznej dziennikarki: „Rozumiem tłumy wiernych na spotkaniach z papieżem, ale czy wasze media też tak muszą? Wszystkie wielkie gazety i telewizje wyglądają tak samo. Ciepłko, emocje, zero refleksji”. Może więc nie jestem w swej krytyce tak osamotniony jak to mi się zrazu zdawało. Także w mej bardzo konserwatywnej rodzinie w kraju mój uczony brat Karol (imiennik papieża), lat 90, emerytowany profesor uniwersytetu, napisał w liście do mnie: „Gdybym był organizatorem tych uroczystości, to zaleciłbym ludziom, by zamiast ‘Niech żyje papież’ powtarzali równie głośno bez końca ‘Chcę być dobry! Chcę być dobry!’ A gdybym był papieżem, to zabroniłbym pod groźbą kary stawiania mi pomników i nazwania aż 72 szkół moim imieniem. Zakaz przestałby obowiązywać dopiero po 10 latach od mojej śmierci.”

Ja na to mogę tylko dopowiedzieć: Amen.

Antoni POSPIESZALSKI

## Ostatni idealisci

*Poniższy tekst jest przekładem artykułu, który ukazał się pierwotnie w irlandzkim miesięczniku katolickim The Forum, wydawanym przez słynne seminarium duchowne w Maynooth. Zamieszczamy go za zgodą redakcji tego pisma, jako przejaw dokonującej się w tym kraju od kilku lat – jakkolwiek opornie – odnowy myśli katolickiej. Tłumacz, p. Maria Owsianka, posłała artykuł najpierw do Tygodnika Powszechnego, który jednak zbył go całkowitym milczeniem.*

Pewnego wrześnieowego dnia zjawił się w Maynooth. Właśnie skończył osiemnaście lat i patrzył w przyszłość ze spokojną pewnością siebie. Stanął w bramie seminarium, w czarnym ubraniu, w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu, z walizką, w której znajdowała się, starannie złożona, czarna sutanna. Dostał czarną książeczkę, zawierającą modlitwy po łacinie. Wchodząc w ten czarny świat podpisał się w czarnej księdze. Pełnym imieniem, ostrzegł Rektor, poruszający się jak na kółkach, nie odrywając stóp od podłogi. Nie używamy zdrobnień.

Oprowadzono go po seminarium. Przechodząc koło lustra zauważył dziwną czarną postać i nagle poznał samego siebie. Był to pierwszy z niezliczonych absurdów. „Moim zadaniem” – powiedział poruszający-się-jak-na-kółkach Rektor – „Moim zadaniem jest obciąć was do połowy”. Przejął nas dreszcz, pomimo czarnych ubrań. Potem Rektor-jak-na-kółkach rozdał nam książki, jakie nakazywała tradycja: „Naśladowanie Chrystusa” Tomasza a Kempisa, „Medytacje” Philipa, „Wprowadzenie do pobożnego życia” Franciszka de Sales, „Liber Usualis” i Pismo Święte. Więcej *yin* niż *yang*, pomimo, że gdzieś ktoś wymienił Jeanne de Chantal. Potem Rektor, który wchodząc do sali zostawiał uśmiech na korytarzu, uczył nas jak przekazywać znak pokoju i tajemną wiedzę – jak nosić biret, który, jak to określił Seamus Heaney, jak Galia, dzielił się na trzy części.



Po siedmiu latach, pewnego czerwcowego poranka, opuścił seminarium ze spokojną pewnością siebie. Tym razem w modnych dzinsach. Czarny płaszcz gdzieś przepadł, sutanna zzieleniała i parę lat temu została wyrzucona. Kapelusz, symbol dawno minionej ery, został na szafie. Rektor nie mylił się przewidując, że połowa rocznika osiemdziesięciu studentów odpadnie na przestrzeni lat. Pomimo tego opuszczając seminarium, by przygotować się do święceń w rodzinnym mieście, czuł więcej niż zwykłą nadzieję i podniecenie jakie były zawsze udziałem młodych kleryków w tym błogosławionym okresie pomiędzy seminarium a kapłaństwem. Czuł ponadto, że jest częścią nowego i zupełnie odmiennego Kościoła.

Powiedziano mu – i uwierzył – że Kościół odnowi się i będzie odtąd bliższy realiom ludzkiego życia. Powiedziano mu również – i uwierzył – że słowa takie jak kolegalność i współodpowiedzialność staną się rzeczywistością, że powstaną instytucje, które wprowadzą w życie dekretu Soboru Watykańskiego, mówiące o kapłaństwie wiernych. Powiedziano mu jeszcze – i uwierzył – że jest bardzo potrzebny jako młody i energiczny pracownik na niwie Pańskiej.

### *Pole ideałów*

Zostałem wyświęcony w roku 1973 w optymistycznym Kościele. Jasno było na świecie i wiały przychylne wiatry. Jak pisał kapłan-poeta, Padraig J. Daly: „Błogosławiło nas słońce, śpiewały nam pola skowronków, deszcz był objawem Twojej dobroci”. Był to okres szczęśliwy i pełen nadziei. Humor i koleżeństwo podczas lat spędzonych w seminarium przeciwdziałały ciasnocie umysłowej kryjącej się pod powierzchnią. Z trudem starano się dostosować przestarzałe tradycje do wymogów nowoczesnego świata. I w tym momencie święcenia kapłańskie z towarzyszącym im świątecznym nastrojem otwierały przed nami pole ideałów. Wprawdzie wiedzieliśmy, że po dniu przychodzi noc, wiedzieliśmy, że cieplarniana atmosfera seminarium różni się od codziennego życia na parafii, lecz w dalszym ciągu wierzyliśmy, że nie ma nic niemożliwego. Był to czas młodocianego zachwyty, moment

zawieszony pomiędzy odczuciem obecności Boga i pewnością, że przed nami otwiera się nowy Kościół. Pełni zapału, zśliśmy zdobywać następne pokolenia dla Chrystusa, przekonani, że mamy do tego zadania dość sił. Pod naszym kierunkiem miał się zrodzić nowy Kościół. Trzymając w jednej ręce Pismo Święte, a w drugiej dokumenty Drugiego Soboru Watykańskiego sądziliśmy, że starczy nam energii i talentu by nim kierować.

Jak w każdym życiu, tak i w naszym, ostatnie ćwierćwiecze składało się z dobrych i złych chwil, z prawdy i hipokryzji, światła i ciemności. Lecz teraz, po dwudziestu pięciu latach, widzimy je z innej perspektywy. Teraz mamy wiatr w oczy i droga prowadzi ostro pod górę. Słyszymy, że religia przestała być w modzie, że powołanie kapłańskie czy zakonne nie ma sensu. Jesteśmy wyobcowani, stanowimy stereotypowe postacie takie jak ks. Ted, ks. Douglas czy ks. Jack<sup>1</sup>, żyjące w świecie, stworzonym przez nas samych, nie zauważając wcale, że nikt, prócz nas samych, nas nie słucha.

Po dwudziestu pięciu latach wracam do Maynooth, by z resztkami rocznika '73 obchodzić srebrny jubileusz święceń kapłańskich. Jak *Beau Geste*, niesiemy poszarpany sztandar przez pustynię. Jakie było to ostatnie ćwierćwiecze? Najbardziej widoczną rzeczą jest to, że jako Kościół nie umieliśmy przyswoić sobie zmian. Byliśmy jak narciarz, który próbuje utrzymać równowagę podczas lawiny śnieżnej, lecz grunt usuwa mu się pod nogami. Tak jak większość instytucji nie doceniliśmy wielkości i siły zachodzących przemian. Nie mieliśmy zaufania do proroków, którzy mogliby nam pomóc w tym zadaniu.

Gdybyśmy ufali Duchowi i pozostali wierni ideałom, to teraz, w trzydzieści lat po zakończeniu Soboru Watykańskiego, mielibyśmy Kościół, w którym ludzie świeccy odgrywałyby zasadniczą rolę, Kościół oparty na współpracy, będący udziałem wszystkich jego członków. Ten strukturalnie odnowiony Kościół byłby zdolny uznać błędy przeszłości, widziałby stan obecny i umiałby wypracować strategię na przyszłość. To się jednak nie stało. Moim zdaniem zawinił tu

1. Komediove postaci księży z popularnego serialu w telewizji.



brak umiejętności przewodzenia ze strony biskupów i księży, brak przekonania do nowej teologii, a nawet wyczuwalna do niej niechęć.

### *Zaprzepaszczone okazje*

Historia irlandzkiego Kościoła w ostatnich dwudziestu pięciu latach jest historią zaprzepaszczonych okazji. Za centralizację władzy w rękach kleru płacimy obecnie upadkiem autorytetu Kościoła, brakiem zaufania wśród szerokich rzesz wiernych i gwałtownym, niemal niepohamowanym spadkiem praktyk religijnych. Absolutna niezdolność klerikalnej władzy w poradzeniu sobie z nadużyciami seksualnymi w stosunku do dzieci i różnymi innymi skandalami wyraźnie wskazuje, jaką stratę poniósł nasz Kościół przez brak zaufania i wyobraźni by umożliwić powstanie Kościoła wszystkich wiernych. Nie stało się to wyłącznie z naszej winy. Częściowo jest to cena, którą płacimy za próbę powrotu przez uniwersalny Kościół do minionego stanu rzeczy i za brak odwagi, by się temu przeciwstawić. Co jest jeszcze bardziej niepokojące, w tym uniwersalnym Kościele również nastąpił zwrot. Próba zbliżenia z nowoczesnym światem, podjęta przez Sobór Watykański, została sprowadzona na manowce przez uwarunkowanie jej tysiącem ograniczeń. Teraz mówi się, że Jan XXIII był pomyłonym staruszkim, a Paweł VI udręczoną duszą i że to z jego winy Kościół wszedł na fałszywą drogę, a obecny Papież próbuje odrobić powstałe z tego szkody.

„Postępowanie Jana Pawła wyraźnie wskazuje, że jego zdaniem Paweł VI był słaby i niezdecydowany i miał fałszywe pojęcie o znaczeniu kapłaństwa, życia zakonnego, niebezpiecznych teologów, kolegalności biskupów, ekumenizmu, stosunku do Kościołów Wschodnich i Drugiego Soboru Watykańskiego.”

(Peter Hebblethwaite, „Paweł, pierwszy nowoczesny Papież”, 1993).

Toteż wszędzie wokół nas widać znaki, że spuścizna Jana XXIII i Pawła VI jest stopniowo demontowana. W chwili obecnej siła intelektu i umiejętność dialogu z reprezentantami najrozmaitszych ideologii jest konieczna jak nigdy przedtem.

Tymczasem teologowie o otwartych umysłach nie mają dostępu do wpływowych stanowisk na uniwersytetach czy w seminariach. Zabrania się teologom pisać o możliwości dopuszczenia kobiet do święceń. Kiedyś Święte Oficjum nie pozwoliło Rahnerowi pisać o koncelebracji. (Gdy Rahner po latach przypomniał to Pawłowi VI, Papież uśmiechnął się i odparł: „Tak, jest czas płaczu i czas radości”). Obecnie księża, którzy próbują prostymi słowami wyrazić skomplikowane pojęcia, nie pozbawiając ich wszelkiego znaczenia przez wprowadzanie niezliczonych zastrzeżeń, jak i ci, którzy do cierpienia spotykanego w codziennym życiu próbują zastosować współczucie Chrystusa, automatycznie pozbawiają się szansy awansu w Kościele. Synod Specjalny 1985 roku, który zaprzepścił kluczową myśl Soboru Watykańskiego, którą było pojęcie Kościoła jako Ludu Bożego, jest dalszym dowodem na to, co Peter Hebblethwaite nazwał „pesymistycznym przeredagowaniem znaków czasu”.

*Echo kroków w pamięci*

*W przejściu, w któreśmy nie weszli,*

*Do drzwi, które pozostały zamknięte,*

*Wiodące do ogrodu pełnego róż.*

(T.S. Eliot, „Cztery kwartety”).

Wracamy obecnie do biało-czarnych reakcji z przeszłości; znowu mamy być przekonani, że na każde pytanie istnieje odpowiedź, że każdy problem ma rozwiązanie; odrzucamy to, co widzieliśmy w latach posoborowych jako skomplikowaną, trudną rzeczywistość i zamiast tego widzimy znów biało-czarny świat katechizmu. Znowu rośnie przepaść między ciałem i duszą, między Kościołem i światem. Szarość przestała istnieć, a wraz z nią możliwość działania wobec skomplikowanych sytuacji w stale zmieniającym się świecie. Kiedyś wierzyliśmy, że potrafimy przystosować się do zmian. Teraz, w drodze powrotnej do ciemnych wieków Kościoła, staramy się sobie wyperswadować, że nic się nie zmieniło.



### Klerykalizm

Innym zasadniczym faktem ostatniego ćwierćwiecza jest chorobliwa narośl przytłaczająca irlandzki Kościół, potocznie zwana klerykalizmem. Przez słowo „klerykalizm” rozumiem mieszkankę elitaryzmu, władzy i poczucia wyższości, które wspólnie tworzą pojęcie wyższej kasty kapłańskiej. To nie tylko hamuje osobisty rozwój indywidualnych kapłanów, lecz również sprawia, że nie umieją oni podejść otwarcie i uczciwie do spraw dzisiejszego świata. Ich stosunek do nich jest zaprawiony cynizmem, najbardziej szkodliwą cechą w życiu irlandzkiego Kościoła, która mu uniemożliwia wszelką działalność. Klerykalizm podtrzymuje przekonanie o niższości kobiet, mające źródło zarówno w celibacie, jak i w niezrównoważonym stosunku do spraw seksualnych. No i słyszymy twierdzenia w rodzaju: „Kościół nie jest demokracją”; „Istnieje ontologiczna różnica pomiędzy sakramentem kapłaństwa a kapłaństwem wiernych”; albo, po prostu „To ja jestem proboszczem!”.

Podstawowym warunkiem powstania Kościoła wiernych jest zlikwidowanie kasty kapłańskiej. Stojący na piedestale kapłan nie stanowi już na szczęście nieodzownej części życia w Irlandii, lecz, co jest zdumiewające, my sami znieczuliliśmy się na rzeczywistość, która nas otacza. Postępujemy tak, jakbyśmy byli lepsi od innych. Jak Napoleon na Elbie, oczekujący hasła do powrotu, zachowujemy się jak gdyby potrzeba było tylko czasu, by chwilowe trudności minęły i wszystko powróciło do dawnego stanu. Jak gdyby świeckim można było zamknąć usta, oszołamiając ich słowami „ontologiczny” czy „hierarchia”, jakby wyszukane ubiory i nadawanie sobie tytułów, za którymi nie stoi żadna rzeczywistość, było czymś więcej jak tylko smutną próbą udowodnienia samym sobie, że jesteśmy ważni.

W chwili zastanowienia jubilat może sam siebie zapytać jaką wartość przedstawiają tytuły takie jak na przykład „wielebny”, które bez wahania przyjmuje. Co w takim razie znaczy „przewielebny”? „Najwielebniejszy”? Gdy ksiądz spędził wtorek grając w golfa lub w karty z przyjacielem, a w środę adresuje do niego list: „Przewielebny Ksiądz Kanonik

Michał O'Malley”, czyż to nie jest dziecinne? Komu mają zaimponować te tytuły? Listonoszowi? (Leo Morahan, „The Furrow”, 1997).

Do tego właśnie prowadzi klerykalizm. Pod jego wpływem jesteśmy przekonani, że możemy żyć w świecie stworzonym przez nas samych, że możemy udawać, że się nic nie zmieniło w irlandzkim Kościele w ciągu ostatnich dziesięciu lat, lub że nie jest to nasz problem, lub co najmniej, że nie my jesteśmy za to odpowiedzialni. Winę ponosi świat, albo apodyktyczne kobiety, albo zmiana pogody. Dlatego też księża, podczas wspólnych spotkań, tak mile wspominają okres minionej chwały i wyrażają tak wielki żal, że dawne zwyczaje oparte na przywilejach i elitaryzmie idą w zapomnienie. Dlatego też nie mówi się otwarcie o zniechęceniu, tak często obecnie spotykanym wśród księży. Kończy się jednak na narzekaniach. Jakbyśmy mieli od Boga dany przywilej, by każdy napotkany człowiek darzył nas szacunkiem, za to jedynie, że ubieramy się na czarno. Jakbyśmy mogli uchylić się od niewygód i bezsensów, które są udziałem większości ludzi. Jakbyśmy mieli prawo stale płynąć z przychylnym wiatrem. W przeciwnym razie lamentujemy za utraconą przeszłością.

Słyszysz się często: „Żyj własnym życiem”. I księża idą na to. Wielu odchodzi wczesnie, jeszcze na tyle młodo, by móc ułożyć sobie życie od nowa. Inni trzymają się dalej z ponurym uporem, w duchu żałując, że nie potrafili odejść, często stając się członkami greckiego chóru, wyśmiewającego się z cynizmem z entuzjazmu tych, co pozostali. Jeszcze inni urządzają sobie życie, w którym kapłaństwo schodzi niemal do roli hobby, jak golf, komputery czy zawody jazdy konnej. Są tacy, którzy w stosunkach z innymi ludźmi znajdują wartości, które stają się dopełnieniem ich życia w kapłaństwie i przynoszą pewną dozę zadowolenia. Ale są i tacy, którzy nie uznają faktu, że żyją w realnym świecie. Uparcie trzymają się z daleka od reszty ludzkości, często oddając się rozmaitym, chwalebny czy też dziwacznym zajęciom. Lecz wielu usiłuje trzymać się dawnych ideałów, próbuje prostować drogi życia prowadzące do Królestwa, dla siebie i dla otoczenia.

A więc w czerwcu resztki rocznika '73 wrócą do Maynooth, by uroczystie obchodzić dwudziestopięćciecie



kapłaństwa i upamiętnić obecny etap na drodze życia. Wychylą toasty, będą rozpamiętywać, jak wszyscy po dojściu do pięćdziesiątki, podziela się doświadczeniami, wysłuchają przemówień. Odbędzie się przyjęcie, podczas którego, tradycyjnie, jeden z nas wzniesie toast na cześć irlandzkich biskupów, jak zwykle biorących udział w uroczystości. Jeżeli tradycji stanie się zadość, będą to uprzejme słowa bez znaczenia. Powiemy sobie, że to nie jest miejsce, by mówić prawdę. Raczej napełnić kieliszki dobrym winem Chardonnay. Niech świąteczny nastrój stępi krytyczne umysły. Czas radości, jakby powiedział Paweł VI. „Panowie bracia, kochajmy się!”.

Nikt z nas więc nie powie: to jest prawda, do której doszedłem po dwudziestu pięciu latach; tego nauczyło mnie życie; takie było moje kapłaństwo; takie wnioski wyciągnąłem ze służby Kościołowi przez ćwierć wieku. Teraz widzę i czuję to tak:

Gdy widzę jak bezpieczni i ostrożni są mianowani na biskupów, tęsknię za charyzmatycznym przywódcą, który nie lękałby się ryzyka ani otwartej wymiany myśli; za kimś kto z głębokim przekonaniem i znajomością rzeczy głosiłby prawdę ewangeliczną, nie obwarowując co drugiego słowa zastrzeżeniami, które pozbawiają je wszelkiego sensu.

Gdy widzę kapłanów złamanых samotnością i odcięciem od ludzkich kontaktów, pragnę wołać o pomoc do nieba i mówić, że mogłoby być inaczej.

Gdy widzę świeckich (to poniżające określenie) traktowanych z góry przez organy kościelne oderwane od prawdziwych potrzeb członków Kościoła i od demokratycznego ducha czasu, czekam by ktoś wreszcie uznał, że Lud Boży jest systematycznie pozbawiany głosu w Kościele, który przecież do niego należy.

Gdy widzę jak ludzie życzą Kościołowi dobra, jak pragną dla niego sukcesu, jak chcą by Kościół stał się taki jakiego potrzebują ich dzieci, pragnę wierzyć, że nasza odpowiedź na tę potrzebę będzie czymś więcej niż tylko propagandowym posunięciem dla uspokojenia wiernych.

Gdy widzę jak lojalność wobec jednostki lub instytucji jest ceniona wyżej niż dobro Kościoła, pytam dlaczego nikt nie wytłumaczy, że miłość Kościoła nie jest prerogatywą tych, którzy zawsze się zgadzają ze *status quo*.

Gdy widzę jak kobiety odchodzą od Kościoła, nie mogą znieść jak ta instytucja traktuje je z pogardą i poczuciem wyższości, pragnę mieć choć trochę nadziei na jakiś minimalny krok w kierunku sprawiedliwości i rozsądku.

Gdy widzę jak Kodeks Prawa Kanonicznego, czy papieski Nowy Katechizm, są częściej cytowane niż Pismo Święte, zastanawiam się jakim to celom i komu służy takie ustawienie priorytetów.

Gdy widzę biskupów, którzy poświęcają więcej uwagi wysokom niezrównoważonym ludzi mających wizję i powtarzających absurdalne ostrzeżenia Matki Boskiej, marzę o przywódcy, który raz na zawsze stawi czoło tym nonsensom w imię prawdy ewangelicznej i wiarygodnej mariologii.

Gdy widzę karierowiczów, zawracających z każdym podmuchaem wiatru i zmieniających kolor w zależności od tapety w pokoju, w którym się w danej chwili znajdują, chcę wołać do nieba, że chyba nie w tych politycznych posunięciach objawia się wola Boża.

Gdy słyszę jak członkowie Kościoła wikłają się w roztrząsanie najdrobniejszych szczegółów moralności seksualnej, pytam dlaczego nikt nam nie każe zamknąć kościołów, aż do chwili kiedy uznamy i zaradzimy potrzebom setek bezdomnych dzieci, żyjących na ulicach w straszliwych warunkach.

Gdy słyszę jak bracia-kapłani dyskutują o złych skutkach jakie na całym świecie przynosi obowiązkowy celibat, pytam, dlaczego nikt w Irlandii nie ma odwagi wypowiedzieć na głos tej trudnej prawdy, zamiast szeptać ją jedynie, gdy biskup wyjdzie z pokoju, lub po wypiciu większej ilości alkoholu.

Lecz nic takiego nie zostanie powiedziane. Będziemy układni, uśmiechnięci i dostosujemy nasze zachowanie do wymogów otoczenia. Jak poprzednie roczniki znajdziemy kogoś, kto wypowie grzeczne, nic nie znaczące słowa, które nikogo nie urażą i nie zaniepokoją. Potem minie okazja i rozjedziemy się do własnych parafii. I kiedyś ci, którzy dożyją w kapłaństwie i w dobrym zdrowiu do złotego jubileuszu, powrócą. Inni biskupi usłyszą następną pochlebną mowę od rocznika, który obecnie doszedł do święceń, a wtedy będzie obchodził srebrny jubileusz. Tylko trochę kompromisu, małe ustępstwa. A w trakcie tego procesu wiele idealizmu przeszliż-



nie się między palcami. Iskra, która mogła wzniecić ogień na ściernisku gąśnie gdzieś w oddali. Żałujemy swojego obecnego życia i tego życia, które mogliśmy mieć. Stąpaj lekko, gdyż stąpasz po moich marzeniach.

*Na początku była jasna pewność,  
Wola Twoja jak otwarty plan  
Leżący nam przed oczami.*

*Błogosławiło nas słońce  
Śpiewały nam pola skowronków  
Deszcz był objawem Twojej dobroci.*

*Lecz w naszych ideałach była skaza;  
I teraz już nie z radością  
Lecz z uporem przy nich stoimy.*

*Wracając z wojny niesiemy poszarpane sztandary,  
Wiodąc rannych towarzyszy przez pustynię.*

PADRAIG J. DALY, „Ostatni idealisci”, ze zbioru „Krzyk  
zająca” (Daedalus Press) 1997.

*Tłum. M. OWSIANKA*

*Ks. Brendan HOBAN  
Kapłan w diecezji Killala, Irlandia*

Artykuł ukazał się w kwartalniku *The Furrow*; czerwiec 1998.

## Notatki Redaktora

W Sejmie trwają prace nad ustawą regulującą wynagrodzenia osób pełniących funkcje publiczne. Jednocześnie minister skarbu odmawia informacji o wysokości indywidualnych wynagrodzeń osób kierujących przedsiębiorstwami państwowymi, spółkami prawa handlowego z większościowym udziałem Skarbu Państwa, agencjami, fundacjami, kasami chorych oraz publicznymi zakładami opieki zdrowotnej. A w tym samym czasie w warszawskiej gminie Ursynów przewodniczący Rady przyznał burmistrzowi najwyższą w historii administracji publicznej ostatnich lat nagrodę roczną – 26 tys. złotych brutto. Jednocześnie wszystkie stanowiska lukratywne są przyznawane według klucza partyjnego. Tak ostatnio Waldemar Fluegel, członek Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, objął stanowisko prezesa Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych mimo negatywnej opinii Rady Nadzorczej Funduszu. Nowy prezes nigdy nie miał nic wspólnego ani z zarządzaniem dużymi pieniędzmi, ani z problemami inwalidów. W tym powszechnym TKM Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe zajmuje jedno z czołowych miejsc. Warto dodać, że wniosek Unii Wolności, aby ludzi na tego rodzaju stanowiska wybierać w drodze konkursu, został odrzucony.

Między Stanami Zjednoczonymi a Polską nie ma symetrii w stosunkach konsularnych. Wizy do Polski dla obywateli amerykańskich zostały zniesione. Natomiast obywatel polski musi ją mieć, jeśli wybiera się do Stanów. Opłata za wniosek o wizę amerykańską, niezależnie od tego, czy się ją otrzyma czy nie, wynosi 45 dolarów. Jest zrozumiałe, że muszą być jakieś utrudnienia przy wyjeździe do Stanów Zjedno-



czonych. Byłoby zrozumiałe, by wizę do Polski Amerykanin uzyskiwał z łatwością, a Polak do Stanów z trudnością – Stany Zjednoczone bronią się przed imigracją. Ta nierówność powstała na skutek gestu prezydenta Lecha Wałęsy, ale byłby już czas, by to skorygować, bo to jednak uraża poczucie godności obywatela polskiego. Z wizami w ogóle są kłopoty. Władze RP stosują jeszcze peerelowski przepis, że obywatel USA, urodzony w Polsce, MUSI brać obywatelstwo polskie. Były wypadki zatrzymywania przy wyjeździe i wtedy dana osoba traciła bilet i musiała zostać w Warszawie aż wyrobiła sobie paszport RP. Nie wiem jak ta sprawa wygląda we Francji czy w innych krajach.

W toczącej się dyskusji w sprawie mniejszości narodowych brak jest ścisłych danych. Ostatni spis ludności w 1980 r. nie precyzował narodowości obywatela polskiego. Byłoby wskazane by spis ludności przeprowadzić w roku 2000.

Sytuacja Biblioteki Polskiej w Paryżu jest katastrofalna, gdyż od dłuższego czasu brakuje środków na jej utrzymanie. Najwłaściwszym rozwiązaniem byłoby utworzenie w kraju fundacji zbierającej środki na jej działalność. Również niewyjaśniona jest jej sytuacja prawna. Przed wojną Biblioteka podlegała Polskiej Akademii Umiejętności. Po zawieszeniu działalności Akademii w 1958 r. Biblioteka przeszła pod kuratelę rządu francuskiego. Do roku 2030 dzierżawa Biblioteki została przyznana Polskiemu Towarzystwu Historyczno-Literackiemu. Czas by tę sytuację uregulować. Na uregulowanie czeka również sprawa Szkoły Polskiej na Lamandé, której budynek podlega PAN.

Zwraca uwagę, że mimo różnych zabiegów, przy oddziałach polskich znajdujących się na terenie jugosłowiańskim,

nie ma kapelana prawosławnego. Jest to potrzebne, gdyż Serbowie są prawosławnymi, i w tej chwili są ostre konflikty na tym tle z Albańczykami.

15-ego sierpnia obchodzono święto Wojska Polskiego. Można mieć poważne zastrzeżenia co do organizacji tych obchodów, natomiast uderzył fakt, że w programie dotyczącym obchodów rocznicy wojny polsko-bolszewickiej nie wspomniano ani słowem o układzie Piłsudski-Petlura i wielkim wkładzie armii ukraińskiej w pokonaniu bolszewików. Nie wyświetlono również, mimo obietnic, filmu „Trudne braterstwo”.

Walka o posadę w perspektywie: w najbliższym czasie ma nastąpić wybór prezesa Instytutu Pamięi Narodowej. Jest to posada na 5 lat (a więc dłużej niż kadencja Sejmu) połączona z bardzo dobrymi poborami. Kandydaci, ma się rozumieć, nie myślą o ciężkiej pracy, której będzie wymagać funkcjonowanie Instytutu, a jedynie o pensji i wpływach. Walka o stanowisko będzie zacięta, gdyż kandydat musi uzyskać trzy piąte poselskich głosów, co jest bardzo trudną poprzeczką.

Córki prezydenta Edwarda Raczyńskiego wystosowały do prezydenta miasta Poznania list, którego treść podają:

„W. Pan R. Grobelny  
Prezydent Miasta Poznania

28-go czerwca 1999 r.

Wielce Szanowny Panie Prezydencie

Otrzymałyśmy dzięki uprzejmości kogoś mieszkającego w Poznaniu artykuł pt. „Hańba dla Poznania” wydrukowany w *Głosie Wielkopolskim* z dnia 11.06.1999 r.



Jako pra-pra-pra-wnuczki Edwarda Raczyńskiego, założyciela Biblioteki Raczyńskich, który prawnie dodał tereny przeznaczone na rozbudowę tej tak zasłużonej instytucji, dowiadujemy się z oburzeniem, iż władze miejskie mają zamiar sprzedać, lub już sprzedały, te tereny Telekomunikacji S.A., chyba celem wybudowania jeszcze jednego wieżowca jak w Warszawie! Jest to krzywda kulturalna nieoceniona wyrządzona miastu, któremu rodzina nasza poświęciła wiele hojnych inicjatyw. Już Edward Raczyński, założyciel Biblioteki, przewidywał konieczność jej rozbudowy w przyszłości, a teraz to dalekowzroczne spojrzenie ulega zniweczeniu przez komercyjny głód władz miejskich.

Wydaje nam się, iż darowizna Edwarda Raczyńskiego nie może być złamaną i do tego nie przez władze komunistyczne, ale przez przedstawicieli ucziwego samorządu!

Jako osoby zainteresowane w tym co rodzina Raczyńskich zrobiła dla Wielkopolski i w ogóle dla Polski – jesteśmy córkami Prezydenta RP na uchodźstwie, również Edwarda – sprzeciwiamy się z głębi serca temu projektowi i prosimy zainteresowane władze o zmianę tej decyzji, jeśli już zapadła.

Z wyrazami poważania

Wanda DEMBIŃSKA

Wirydianna REY

Katarzyna RACZYŃSKA

cc Dyrektor Biblioteki Raczyńskich”

Sprzedaż terenów zapisanych przez założyciela Biblioteki Raczyńskich na jej rozbudowę jest zwykłym bezprawiem. Dla względów komercyjnych przekreśla się nie tylko dar człowieka, któremu Poznań tyle zawdzięcza, również możliwość rozbudowy w przyszłości tej jednej z cenniejszych bibliotek w Polsce. Mam nadzieję, że władze miejskie zmienią swą decyzję i że nastąpi skuteczna interwencja władz a w pierwszym rzędzie prof. Zakrzewskiego, ministra kultury i sztuki.

Obserwujemy duży wzrost bezrobocia wśród absolwentów wyższych uczelni. Absolwenci mają kłopoty ze znalezieniem pracy, przedsiębiorcy narzekają na brak pracowników

o określonych, specjalistycznych umiejętnościach. Wśród osób po studiach najbardziej poszukiwani są specjaliści w dziedzinie marketingu oraz ze znajomością języków obcych. W roku ubiegłym prawie co siódme przedsiębiorstwo, spośród tych, które zgłaszały niedobór kadr, wskazywało na brak pracowników o takim profilu.

Wybitna scenografka, Krystyna Zachwatowicz, otrzymała Kawalerski Order Odrodzenia Polski przyznany jej przez Prezydenta, a wręczony przez ministra kultury i sztuki, Andrzeja Zakrzewskiego. Odznaczenie to specjalnie nas ucieszyło, gdyż p. Zachwatowicz, bardzo bliska przyjaciółka Józefa Czapskiego, stworzyła rekonstrukcję-przeniesienie pokoju Józefa Czapskiego z Maisons-Laffitte do Muzeum Narodowego w Krakowie. Najlepiej to mogę ocenić, gdyż Józef Czapski był jednym z moich najbliższych przyjaciół i współpracowników. Pani Krystyna Zachwatowicz zaimponowała mi wielką uwagą poświęconą człowiekowi i kształtowi jaki przybierało jego życie.

W związku z głośnym procesem wileńskim, który wzbudził tyle namiętności w Polsce, z inicjatywy ambasadora Jana Widackiego został wystosowany przez szereg polskich działaczy i polityków apel do prezydenta Litwy Valdas Adamkusa, którego tekst podaję. Apel ten został podpisany również przeze mnie. Oto on:

„Jego EkscelePncja  
Prezydent Republiki Litewskiej  
Pan Valdas Adamkus

Panie Prezydencie

W pełni szanujemy prawo Litwy do ściągania tych, którzy godzili w jej niepodległość i integralność terytorialną. Zdecydowanie odcinamy się też od tych polskich polityków i środowisk, które dziś w sposób brutalny pró-



bują wyrzucić nacisk na niezawisły wymiar sprawiedliwości niepodległej Litwy.

Apelujemy jednak do Pana, Panie Prezydencie, o ułaskawienie – w imię dobrych przyszłych stosunków polsko-litewskich – skazanych w procesie wileńskim Leona Jankielowicza, Jana Jurolajcia, Jana Kucewicza, Alfreda Aliuka i Karola Bilansa.

Litwa jest dziś państwem demokratycznym, cieszącym się uznaniem i szacunkiem społeczności międzynarodowej. Ma również wielu przyjaciół w Polsce.

W naszym najgłębszym przekonaniu Litwa może sobie pozwolić na wielkoduszny gest wobec osób, które bez względu na swe przeszłe winy w żaden sposób nie zagrażają już jej niepodległości ani integralności terytorialnej. Takim gestem byłby akt łaski, jaki Pan jako Prezydent Republiki Litewskiej może wykonać.

Warszawa 18.08.1999.”

*Gazeta Lubuska* z sierpnia omawiając książkę A.S. Kowalczyka „Giedroyc i ‘Kultura’” podaje, że byłem odznaczony przez prezydenta Kwaśniewskiego orderem Orła Białego. Nie odpowiada to prawdzie. Mimo kilkakrotnych propozycji (również i poprzedniego prezydenta) odmówiłem przyjęcia tego odznaczenia.

REDAKTOR

## Co się dzieje z zabytkami w Polsce?

Gdybym był bohaterem rysunkowego cyklu „Mroźek by night”, czyli facetem w krakusce i z pawim piórem, co mnie, Krakowiaczkowi z urodzenia przecież przystoi, załamałbym dramatycznie ręce i powiedziałbym: „Oto Polska się wali” (a w tle należałoby koniecznie umieścić seksującą parę). Ale nie jestem patriotą komiczno-dramatycznym więc postaram się *sine ira et studio* zrelacjonować to co widzę i o czym wiem. Tak więc moja relacja będzie się składać z plusów i minusów, a czytelnik – jeśli będzie chciał – sam sporządzi sobie bilans.

Pierwsze wrażenie globalne: można Polskę przejechać wzdłuż i wszerz nie napotykając żadnego lub prawie żadnego zabytku. Jeśli nasz kraj zestawić nie tylko z Włochami, Niemcami i Wielką Brytanią, ale także z Czechami czy Rumunią, zaskakująca jest bardzo rzadka sieć obiektów zabytkowych. Dominuje budownictwo najnowsze, przeważnie byle jakie, czasem zdumiewające, a najczęściej śmieszne, tak jak śmiesznymi są (czy wydają nam się) ubodzy krewni. Ja już dawno sformułowałem diagnozę na temat podstawowego kanonu estetycznego mych rodaków: „piękne jest to co jest nowe”, wszystko co stare nie warto jest funta kłaków i należy to koniecznie zburzyć, by zrobić miejsce dla tego „nowego”. A że Polacy nie należą do narodów chłujnych (mój ojciec zwykł był wzdychać: „Ach, ta polska niechłujnigkeit!”), więc ich kanon przeobraża się w smutną rzeczywistość błyskawicznie. Wystarczy nie załatać dziury w dachu, nie zaszkląć wybitego okna (a już tynkowaniem czy malowaniem któżby miał się



troszczyć?) i mamy gotowe krajobrazy ruder. Chciałbym jednak podkreślić pewne drobne moze, ale pocieszające zjawisko, które pojawia się od niedawna, szczególnie w Małopolsce południowej, zaczyna się umieszczać w oknach i na balkonach kwiaty, porządkować bezpośrednio sąsiedztwo budynku mieszkalnego, a nawet gospodarczych, sprawiać estetyczne ogrodzenia. Mało, ale cieszy.

Jednym słowem: do zabytków w Polsce trzeba jechać, trzeba wiedzieć gdzie ich szukać, każdy bowiem wie, gdzie jest Zamość, Kazimierz Dolny, Dębno Podhalańskie, ale już tylko nieliczni słyszeli o Krzyżtoporze, Sucheju, Krośnie koło Ornety, a prawie nikt nie wie o takich cackach jak Klępsk, Szalowa, Oporów itd. Mamy więc do czynienia z dwoma aspektami zagadnienia, wciąż jeszcze niedostatecznym rozpropagowaniem tego, co posiadamy, nie mówiąc już o niedostatecznej opiece nad zabytkami położonymi „w bok od drogi”. Jednakże to wszystko byłoby do odrobienia, bo na przykład domagałem się przed laty, by ważniejsze obiekty miały swoje foldery, małe przewodniki i już tak jest w znacznej liczbie zabytków, zwłaszcza kościelnych. Natomiast nadal kuleje świadomość społeczeństwa, które w zdecydowanej większości nie ceni sobie tego „co stare, więc brzydkie”. A na tę sytuację nakładają się dodatkowe perturbacje, które towarzyszą przeobrażeniom ostatnich lat.

Zacznijmy więc od początku. Nie muszę tu podkreślać, że gierkowska reforma administracyjna z 1975 r. była pociągnięciem nie tylko fatalnym w dziedzinie gospodarczej, ale w omawianym tu zakresie wręcz katastrofalna. Rozwalono całą strukturę władz konserwatorskich i trzeba było wszystko „zaczynać od początku”, a w tym zamieszaniu ile archiwów, zbiorów itd. uległo zapodziałaniu i zmarnowaniu, nikt dokładnie nie wie. Ale potem upłynęło przeszło 20 lat i zrobiono nową reformę, a sądząc po zenujących sporach terytorialnych zrobiono ją źle, bo bez koncepcji i liczyło się tylko ile będzie województw: pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt. Nikogo zaś nie obchodziło, jak się one mieć będą do gospodarczych współzależności i uwarunkowań. Chodziło o to tylko, kto wygra w tych przetargach i kto jakich zdobędzie dzięki temu zwolenników. Ja się deklaruje jako wróg partyjniactwa i zupełnie jest mi obojętne kto w następnych wyborach wygra, bo ani nie

kocham SLD, ani PSL, ani AWS, ani UD, a jeszcze mniej tych różnych kanapowych partyjek panów: Dupki, Sęka i Bzdyla.

Ta ciężka artyleria parlamentarno-partyjniacka niewiele pomogła w kraju znękanym postkomunizmem. Może kiedyś w przyszłości da świetne rezultaty, ale na razie wielowładza, która się narodziła z rozmaitych „politycznych” przetargów, niewiele dała krajowi, a jego budżet obciążyla znaczenie niewspółmiernymi do zarobków zwyczajnych ludzi apanażami samorządowców. Od czasu wdrożenia reformy nic, tylko zewsząd płyną jęki, a poszczególne grupy społeczne tylko strajkują i manifestują, by ile się da załapać z budżetu, który my – tak zwani „szarzy ludzie” – wypełniamy naszymi podatkami. A powracając do sprawy ochrony zabytków, to tylko rozpieprzono to, co przez dwadzieścia lat z okładem zbudowano w pogierkowskiej Polsce. Zlikwidowano Urzędy Wojewódzkich Konserwatorów w likwidowanych województwach, a i tak dobrze, że udało się szczątki tychże ocalić w postaci „delegatur”, czyli azyli dla ludzi zresztą tak potrzebnych, bo już wdrożonych w działanie konserwatorskie.

Gorzej, że w ramach owej reformy zdecydowano zlikwidować służbę ochrony zabytków, jako samodzielny pion administracji. To co zadekretowano w 1992 r. było ważną zdobyczą w tej dziedzinie: wyłączeniem konserwatorów spod „opieki” administracji państwowej. Ale to zostało „cichcem-mychcem” obalone i konserwatorzy znów powrócili pod skrzydła wojewodów. Jak bardzo nieszczęśliwe jest takie podporządkowanie, jak wielkie szkody może przynieść mieszanie się niefachowców w działalność fachowców, tego nie trzeba tłumaczyć, bo rozpasanym teoretykom reform i tak niczego wytłumaczyć się nie da.

Dotychczas ów samodzielny pion ochrony zabytków podporządkowany był Generalnemu Konserwatorowi, który w resorcie kultury i sztuki pełnił funkcję wiceministra, z własnym aparatem, pozwalającym zarządzać ową siecią terenowych urzędów konserwatorskich. Na czele tej struktury stał konserwator generalny. Ostatnio był nim wyłoniony w poprzedniej kadencji drogą konkursu prof. Andrzej Tomaszewski, legitymujący się własnym znacznym dorobkiem naukowym, a także międzynarodowym obyciem, przez czas



jakiś bowiem pracował w zagranicznych agendach rozmaitych instytucji państwowych i społecznych.

Kiedy zmieniła się kolejna ekipa rządząca i władzę objęła koalicja AWS i UD, nastąpiła również zmiana w resorcie kultury i sztuki, na którego czele stanęła Joanna Wnuk-Nazarowa, a jej zastępcą do spraw ochrony zabytków został Stanisław Żurowski (dodajmy, że w ramach ustaleń koalicyjnych ten resort dostał się w ręce Unii Demokratycznej). Zostałem zaproszony wówczas do objęcia stanowiska przewodniczącego Rady Ochrony Zabytków przy ministrze kultury i sztuki. I natychmiast dowiedziałem się, że trzeba koniecznie usunąć ze stanowiska Tomaszewskiego, bo go „stale nie ma w biurze, ciągle jeździ za granicę”. Zapytałem wówczas kogo mają upatrzonogo na to miejsce i otrzymałem odpowiedź, że kandydatem nr 1 jest mgr Aleksander Broda, dotychczasowy konserwator wojewódzki w Częstochowie. Zdziwiłem się niezmiernie, bowiem ten kandydat, niewątpliwie zresztą inteligentny, niczym się dotychczas nie wślawił, a jego stopień naukowy był daleki od tego, czego należałoby się spodziewać po kandydacie na to stanowisko.

Więc chociaż nikt się do naszej Rady nie zwracał po opinię, uchwaliliśmy takową, wyrażając zdanie, że prof. Tomaszewskiego należy pozostawić na jego stanowisku. Jednakże odwołano go, a my nie otrzymaliśmy żadnej w tej sprawie odpowiedzi i jedynie mnie poinformowano „prywatnie”, że musiano tak postąpić, bo „domagał się tego Olechowski”. Zapytałem wówczas: „A kto to taki?” Wtedy poinformowano mnie, że był on w którymś z przelotnych rządów ministrem spraw zagranicznych. Jednym słowem facet, który liźnął władzy, ale dobrze zapamiętał jej smak. Kiedy zaś wyraziłem zdumienie, co jakiś były polityk ma do gadania w sprawie ochrony zabytków, powiedziano mi, że stanowisko generalnego konserwatora to stanowisko polityczne i musi się je obsadzać z klucza partyjnego.

Oto do jakiego absurdu doprowadzono „polityczność”, że konserwator generalny, a więc facet który musi mieć znaczne doświadczenie zawodowe, staje się marionetką w rękach nie tyle konwentyki partyjnych, co familiantów. Oburzony takim stawianiem sprawy zrezygnowałem z przewodniczenia owej Radzie, jakoby funkcjonującej przy ministrze (który

nigdy żadnej naszej opinii nie chciał). A potem wypadki posypały się lawinowo: minister Wnuk-Nazarową odwołano, a na szefa resortu powołano prof. Andrzeja Zakrzewskiego. Ten zaś wkrótce odwołał Brodę (i to w momencie jego nieobecności w Warszawie), a na jego miejsce powołał Andrzeja Pawłowskiego, profesora uniwersytetu w Montpellier, ale po czterech godzinach (w czasie których „elekt” już zdążył podpisać zwolnienie dotychczasowego dyrektora biura generalnego konserwatora) odwołano go i przez szereg następnych tygodni na tym stanowisku pozostawał *vacat*, a kiedy piszę te słowa nadeszła z Warszawy wiadomość, że powraca na nie Aleksander Broda. Zupełnie jakby nie było w tym kraju kandydatów na to stanowisko, na którym powinien się znajdować jakiś profesor czy przynajmniej docent. Widocznie jednak „polityczność” tego stanowiska jest nomenklaturowa, a więc ograniczona do czyichś pociotków.

I to jest owo straszne znamię partyjniactwa rozszałego, rozhuśtanego do granic rozsądku i to bynajmniej nie tylko w resorcie kultury i sztuki ale wszędzie. I to jest budowanie własnej „koalicyjnej” nomenklatury, więc jeżeli co chwila pojawia się „iskwienie na złączach”, to jest ono spowodowane ową krwiożerczą walką o stołki pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami.

Przed wojną ktoś, bodaj Paczkowski, napisał taką fraszkę:

*Są dwa zasadnicze powody,  
Dla których Polska mi zbrzydła:  
Za dużo święconej wody,  
Za mało zwykłego mydła.*

Ja bym ten znakomity tekst nieudolnie strawestował w następujący sposób:

*Jest powód, jak belka w oku,  
Dlaczego Polska mnie wkurwia:  
Za dużo na każdym kroku  
Karierowicza i durnia.*

Wspomniałem powyżej o ustawie o ochronie dóbr kultury, sporządzonej w 1962 r. i – jak na tamte czasy zupełnie



dobrej. Potem – już po przemianach obalających komunę, była nowelizowana i to bardzo sensownie. Ja ją uważam za dobrą i wystarczyłoby wprowadzić kilka dalszych drobnych retuszy, a byłaby wysmienita. Ale teoretycy i dogmatycy teorii konserwacji postanowili ją za wszelką cenę zmienić, zastąpić nową. I odtąd rozpoczyna się juretyczna odyseja tekstu, który, choć ulepszyany wielokrotnie, jest w swej istocie niedobry, albowiem przegadany. I sama ustawa na niewiele się zda, jeśli będzie jej towarzyszyć permanentna destabilizacja pionu konserwatorskiego, jego podporządkowanie średnim władzom administracyjnym, a przede wszystkim jeżeli nie będzie odpowiednich środków na finansowe wspieranie zadań. Jak wiadomo bowiem, zabytki same się nie utrzymują, muszą być wspierane przez państwo, podobnie jak same nie utrzymują się teatry i opery. Tymczasem funduszy na konserwację nie ma, bo ich w ogóle w budżecie państwa nie ma, zwłaszcza odkąd rząd zaczął uważać, że musi dogadzać strajkowiczom, a nawet takim mętom jak lepperowcy. W sytuacji permanentnego deficytu budżetowego trzeba ciąć, a najłatwiej tnąć się po kulturze, o czym Balcerowicz dobrze wie, ale musi udawać, że nie wie.

Tymczasem konserwacja nie oparta o środki budżetowe jest i będzie bezsilna wobec samowoli tych, którzy czynnie wyznają zasadę, że piękne jest tylko to co nowe. Środki na kosztowne operacje konserwatorskie są i marchewką, i batem, a bez tych środków nie ma argumentu wobec głupoty i złej woli. Prywatyzacja otwarła wiele możliwości przed właścicielami obiektów zabytkowych, ale oczywiście nie wszystkimi. Niektórzy przekonali się w sposób dotkliwy, jakim obciążeniem jest zabytek, który nie spełnia jakiegś lukratywnej funkcji i w najlepszym razie powoływane są jakieś mityczne fundacje, a cała „radość z odzyskanego śmietnika” pozostaje jedyną nagrodą dla tych, którzy chcą odzyskać swą rodzinną własność. Wiem coś o tym, bowiem twardo odmówiłem mej rodzinie angażowania się w reprivatyzację domu mego dzieciństwa, który był zabytkiem i z którym wiązało się tyle wspaniałych wspomnień. Ale zdawałem sobie sprawę, że nie będę w stanie zaopiekować się (a to znaczy nieustannie odbudowywać i remontować) zdewastowanym dużym budynkiem, położonym na kresach dzisiejszej Polski, nad Bugiem.

I miałem rację: budynek w międzyczasie zawalił się i pozostały już tylko wspomnienia.

Ta dość dramatycznie przedstawiona sytuacja nie może być generalnie tłem tego, co się w zakresie ochrony zabytków w ostatnim półwieczu działo. Nie zamierzam powracać do bezpośrednio powojennych doprawdy wielkich wyczynów przy odbudowie najbardziej pokiereszowanych miast, ale spróbować zbilansować, co dokonano w następnych dziesięcioleciach. A dokonano wiele, bo były fundusze i była autentyczna wola konserwatorów zrobienia maksimum, co w istniejącej sytuacji było możliwe do zrobienia. Przetrzebiona w latach okupacji kadra ochroniarzy odrodziła się i pojawili się ludzie skali dr Hanny Pieńkowskiej, prof. Józefa E. Dutkiewicza, dr Kriegera i wielu, wielu innych.

Przed wszystkim w ślad za pierwszą odbudową i powstaniem tak zwanej „polskiej szkoły konserwacji” podejmowano nowe kompleksowe zadania, zmierzające do ratowania całych zespołów urbanistycznych czy ruralistycznych. Przed wszystkim jednak prowadzono prace przy najcenniejszych zabytkach, chociaż wiele nadal pozostawało nietkniętych. Silną aktywnością wykazał się Kościół, który – pomimo braku subwencji, a za to wśród rozmaitych szykan, odbudowywał i odnawiał wielkie, zniszczone w czasie wojny świątynie, takie jak fary w Strzelcach Krajeńskich, Kołobrzegu, Nysie, Brzegu, Świeciu, Braniewie, no i oczywiście w Gdańsku.

Objęto opieką szereg wiejskich rezydencji, niektóre z nich – zwłaszcza te, którymi zainteresowały się ważne instytucje czy przedsiębiorstwa, doprowadzono do znakomitego stanu, by wymienić jedynie takie, jak Otwock Wielki, Natolin, Starą Wieś na Podlasiu, Baranów, Pszczynę, Łańcut i wiele innych, ale jeszcze więcej, zwłaszcza na tak zwanych ziemiach odzyskanych (ślusniejsza byłaby nazwa: ziemie wyzyskane) pozostawało bez użytkownika, a to znaczy bez opieki. Zdarzały się też umyślne podpalenia.

Wobec katastrofalnego w swej skali i tempie zanikania tradycyjnej architektury wiejskiej stworzono w całym kraju szereg muzeów pod otwartym niebem (czyli skansenowych), by wspomnieć tylko Ciechanowiec, Zubrzycę Górną, Lipowiec, Nowy Sącz, Sanok, Tokarnię, Lublin, Opole-Bierkowice, Wdzydze i szereg innych. Podjęto też inicjatywę przeno-



szenia zabytkowych budowli, przede wszystkim kościelnych, na inne miejsce, gdy ich rola w miejscu pierwotnego założenia straciła sens.

Pewnym *novum* było podjęcie szeregu inicjatyw odbudowy zabytków znajdujących się poza granicami obecnego państwa, szczególnie na Ukrainie, a w mniejszym zakresie na Białorusi. Polscy konserwatorzy działali też – w ramach kontraktów – w republikach bałtyckich, a nawet w rdzennej Rosji. Te polskie eksporty konserwatorskie rozprzestrzeniły się też na inne kraje, a przede wszystkim na Niemcy i Włochy.

I na koniec chciałbym pochwalić tę inicjatywę, w którą zostałem wciągnięty już szereg lat temu: rewaloryzację zabytków krakowskich. Jeszcze w 1978 r. powołano z inicjatywy prof. Henryka Jabłońskiego (ówczesnego Przewodniczącego Rady Narodowej) Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa, a w 1985 przyznano mu ustawowo dotację państwową: tak zwany Narodowy Fundusz Odnowy Zabytków Krakowa. Po przeobrażeniach ustrojowych na przełomie lat 80-tych i 90-tych wymieniono w znacznym stopniu skład ówczesnego Komitetu, wprowadzając doń w miejsce dygnitarzy PRL ludzi o różnych zawodach, ale zainteresowanych ratowaniem Krakowa. Kraków bowiem przez wiele lat po wojnie nie był remontowany i szczególnie zabudowa mieszkalna zaczynała się chylić ku katastrofie. Bowiem przez szereg dziesięcioleci Kraków nie był lubiany przez władze komunistyczne i argumentem stało się to, że miasto nie zostało zniszczone w wyniku działań wojennych, więc że wysiłek kraju musi się koncentrować na zespołach, które tak bardzo ucierpiały. Ale całkowity brak pomocy dla miasta oznaczał jego dekapitalizację. I, kiedy rzecz stała się jasna, podjęto ową zbawienną w efekcie działalność opartą o znaczne dotacje z budżetu. Dziś, kiedy zbliżamy się do końca naszego tysiąclecia i stajemy u progów nowego, najważniejsze obiekty w mieście zostały całkowicie lub w znacznej mierze odbudowane. Kraków wystroił się jak wypadało się wystroić na jego wspaniałe jubileusze (1000-lecie powstania biskupstwa i 600-lecia odnowienia Uniwersytetu).

Oczywiście sytuacja Krakowa jest solą w oku bardzo wielu „polityków”, którzy politykę rozumieją wyłącznie jako

zawłaszczanie dla siebie i swoich co tylko znajduje się „pod ręką”, a pod ręką znajduje się akurat Narodowy Fundusz Odnowy Zabytków Krakowa. Inni – bardziej „ideowi” – mają za złe, że fundusz ten przechodzi przez kancelarię prezydenta i swe roszczenia upiększają argumentem, że odbierając Krakowowi środki na dalsze prace, czynią „patriotycznie”, ponieważ odbierają je Kwaśniewskiemu. Bo niby dla czego Kraków ma korzystać z jakichś pieniędzy, skoro można by je skierować do Gdańska, Torunia, Gniezna i Wólki Mazowieckiej, nie mówiąc o własnej kieszeni? Absurdalności takich postaw i takich argumentów udowodnić nie trzeba: same się odślaniają jak w kiepskim striptizie. A Kraków, chociaż karwas roboty już tu zrobiono, to jednak nadal wymaga bardzo znacznych środków, aby piękniał nie tylko w obrębie Plantami obwiedzonej Starówki ale także poza nią, zwłaszcza, że wiele dzielnic, z Kazimierzem na czele, przedstawia stan daleki od zadowolającego.

Niestety, bilans pasywów jest znaczny i jeżeli ktoś sobie wyobraża, że sypnąwszy groszem kolejna ekipa rządząca zakończy chwalebnie prace konserwatorskie, ten jest w poważnym błędzie: konserwacja jest czymś, co się nigdy nie kończy i którą wykonywać należy permanentnie, bo na tym świecie wszystko niszczeje, od życia ludzkiego poczynając, na marmurach kończąc.

Zjawiska, które określić można śmiało jako katastrofy, dadzą się podzielić na odrębne grupy w zależności od charakteru zabytków. Na pierwsze miejsce wysuwa się stan miasteczek i wsi, gdzie zabudowa – przeważnie drewniana – wykruszyła się już, albo wykruszać się będzie nadal – „aż do skutku”. Oczywiście budulec drewniany nie jest trwały, zwłaszcza że u nas używa się drewna iglastego, rzadziej lipowego, a wyjątkowo dębu, z którego budowano we Francji, Anglii i Niemczech. Ale u nas nie istnieje też kultura ochrony budowli starych i ich adaptacji dla nowych potrzeb, jak to widzieć można w Anglii, gdzie na domy letnie (i nie tylko) nakłada się strzechy, bardzo kosztowne, ale zgodne z duchem starej architektury „wernakularnej” (okropieństwo leksykalne wymyślone przez naszych uczonych). A u nas strzecha stała się synonimem ubóstwa i zacofania, więc nawet ustawowo jej zakazano.



Na moich oczach w ciągu półwiecza zaginęła owa wieś „bajecznie kolorowa” ze strzechami, bielonymi ścianami, ogródkami pełnymi malw oraz płotami, na których suszyły się garnki. Można przejechać setki kilometrów i nie zobaczyć chałup, a co najwyżej rudery, w których rosną dożywno samotni staruszkowie. Nieco lepiej dzieje się w drewnianych miasteczkach, takich jak Lanckorona, Zakliczyn, czy Lipnica (nie wiedzieć dlaczego) Murowana, ale jest to spadek po intensywnej działalności dawnego konserwatora województwa krakowskiego (sprzed reformy 1975 r.) Hanny Pieńkowskiej, prekursora koncepcji ochrony krajobrazu kulturowego.

Zły los spotkał nie tylko „miasteczka drewniane”, dotknął także miast średnich, jak też miasteczek murowanych, zwłaszcza na owych „ziemiach wyzyskanych”, gdzie doprowadzono do dezintegracji nieraz tak wspaniałych zespołów jak Lwówek, Paczków, Lubomierz i wiele innych. Na północy, to znaczy na Warmii, Mazurach i Pomorzu Zachodnim, takową czystkę zawdzięczać możemy „wyzwolicielskiej armii radzieckiej”, która systematycznie – i już po przejściu frontu – paliła tamtejsze miasta, z Gdańskiem na czele.

Problem z miastami średnimi i małymi polegał na ich nieaktywności gospodarczej: niegdyś Rzeczpospolita usiana była miasteczkami, przeważnie prywatnymi, bo wystarczały rozległy plac targowy obstawiony kleciami: szynkami i zajazdami, aby już można było mówić o mieście. Ta sytuacja sprawiła wyludnienie się ich po wojnie, straciły bowiem sens ich właściwości użytkowe. Mamy więc kilka małych miast „na pokaz” i takim jest – dzięki zabytkom i położeniu – Kazimierz Dolny oraz – już średniej skali – Zamość, a także Rydzyna, czy Chęciny. Niemniej zdecydowana większość owych „miast” jest w stanie opłakanym, bowiem ich mieszkańcy to ludzie niezamożni, którzy nie są w stanie utrzymać w jako-takim stanie swych domostw.

Niemniej okrutna katastrofa spotkała rozliczne rezydencje, których głównym nieszczęściem stała się zbyt wielka kubatura, jak na słabo zaludnione obszary, w których je wzniesiono. Niegdyś właściciel dbał o ich utrzymanie, na co szły niebagatelne kwoty z przychodów z jego dóbr. Dziś nie ma właściciela (skarbu państwa to pojęcie, ale nie realna siła), a co gorzej – nawet potencjalnego użytkownika. Posłużę się

jednym tylko przykładem. Pomiędzy Głogowem i Zieloną Górą, w bliskim sąsiedztwie Odry, wznosi się renesansowy pałac-zamek wzniesiony w latach 1558-59 przez architekta Jana Lindnera. Położony w pięknym parku, wydaje się obiektem wymarzoną na pensjonat czy dom wczasowy. I rzeczywiście w dobie PRL obiekt został wyremontowany i przekazany na dom wczasowy jednemu z dużych przedsiębiorstw Trójmiasta. Ale potem przyszło załamanie ekonomiczne i przedsiębiorstwo oddało budynek gminie, a ta nie ma możliwości go utrzymać i czeka zmiłowania, że przyjdzie ktoś i zaproponuje przejście jeszcze wciąż w dość dobrym stanie znajdującego się, budynku.

Podobny zamek, i do tego jeszcze wodny, otoczony fosą z rybami i kaczkami, znajdujący się w pobliżu Wrocławia w Wojnowicach uratowało Stowarzyszenie Historyków Sztuki, zdobywając fundusze na odbudowę i adaptację. Obecnie zajmuje się tym nie mniej (a może jeszcze bardziej) malowniczym zabytkiem Franciszek Oborski, człowiek o zacięciu gospodarza i menadżera, więc budowla zarabia na sobie. Oba przykłady: Czerną i Wojnowice przytoczyłem, aby czytelnikowi uzmysłowić, czym dla zabytku jest gospodarność właściciela lub użytkownika, bo najłatwiej jest machnąć ręką na jakąś budowlę i „oddać ją państwu”, co niemal z reguły prowadzi do zniszczenia zabytku, który bez pieczołowitości użytkownika nie przetrwa dłuższego okresu. Niestety znam dziesiątki rezydencji na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Pomorzu Gdańskim oraz na Warmii i Mazurach, ale także w samym sercu kraju, które zawaliły się już lub zawałą wkrótce, bo zabrakło im sprawnego gospodarza.

Niestety, nie tylko wielkie rezydencje, ale nawet skromne kubatury dworki, stały się pastwą niegospodarności, czyli owej „polnische nechlujnigkeit” i przypadły z kretesem. Paradoxem jest w tej sytuacji to, że od niejakiego czasu modne stały się budowane na prowincji i przedmieściach pseudo-dworki, najczęściej dość pokraczne, a ujawniające tajniki duszyczek współczesnych Polaków, którzy w 70% z chłopów się wywodzą. Otóż w onej duszyczce (trudno jej bowiem przyznać status uformowanej konsekwentnie duszy) niechęć do „panów” sąsiaduje z pragnieniem ich naśladowania, z marzeniem by samemu stać się „panem”. Trwałość tak zwanej



szlachecczyzny jest w pewnym sensie nieśmiertelna. I nie ma sensu się oburzać, a tym bardziej dziwować, jest to bowiem zjawisko groteskowe, ale na tych nadwiślańskich obszarach jakoś prawidłowe. Tylko, że żadne pseudodworki dworów prawdziwych nie zastąpią i jedynie sprawią kłopot mym kolegom z branży historyczno-sztucznej: jak nazwać to zjawisko? Stylem dworowym nr 2? (Przypominam bowiem, że pierwszy styl dworowy krzewił się w latach dwudziestych naszego stulecia).

Osobnym zagadnieniem jest znaczny ubytek drewnianych kościołów, które zawsze były ozdobą krajobrazu kulturowego naszych ziem. Zabytki te giną po pierwsze od ognia, a po drugie od zaniedbania. Przy czym ogień jest często niesmacznym żartem natury (zapalenie od uderzenia pioruna), ale ostatnimi czasy coraz częściej wynikiem świadomego działania. Przy czym określenie „świadome” należy rozumieć właściwie: większość bowiem zostało spowodowane przez ludzi o zaćmionym umyśle. W ten sposób niszczył przed kilku laty jeden z najcenniejszych kościołów w rejonie Gorlic: w Libuszy. Jakiś wiejski „sietniok” spalił tam „klasyczny” kościół z przełomu XV i XVI wieku, co więcej zdobny we wnętrzu cennymi malowidłami ściennymi, z gotyckim tryptykiem i barokowymi sprzętami.

Ale znam także przypadki świadomego burzenia lub palenia „starego” kościoła, bo zawadzał „nowemu”. Stąd bierze się konieczność przenoszenia, przynajmniej niektórych obiektów do innych miejscowości albo do muzeów pod otwartym niebem. W zasadzie takie przenosiny są dla zabytku szkodliwe: poprzez niefachowość cieśli i nieświadomość gospodarzy zostaje on pozbawiony swych cech pierwotnych i zamienia się w drewnianą paczkę pokrytą blachą. Są jednak przykłady bardzo korzystnych przenosin, zwłaszcza w skansenach, gdzie zazwyczaj pracują zawodowo wykwalifikowani majstrowie, a pieczę sprawuje konserwator. Tak właśnie przeniesiono do Skawinek interesujący kościół w formie krzyża z Przytkowic (okolice Krakowa), a całkiem niedawno przewędrował kościół z Cmolasu do Poręby Dymarskiej (w Rzeszowskim).

Na szczęście została zażegnana fala niszczeń cerkwi na „wschodniej ścianie”, gdzie po akcji wysiedleńczej „Wisła”

wyludnione zostały znaczne obszary i drewniane budynki (zarówno mieszkalne jak i sakralne) padały pastwą barbarzyńskich niszczek. To co ocalało jest pod specjalną ochroną, a wiele obiektów poddano już lub poddaje się obecnie zabezpieczeniu i odnowieniom: np. wspaniałe Ulucz, Czerteż lub cała grupa cerkiewek łemkowskich w Nowosądeckiem, które niemal wszystkie zostały przejęte w użytkowanie przez Kościół rzymsko-katolicki. Niestety, wiele zniszczeń zostało dokonanych w zakresie architektury protestanckiej na ziemiach zachodnich i północnych, chociaż najcenniejsze zabytki, jak „kościół pokoju” w Świdnicy, Jaworze czy Kożuchowie znajdują się w dobrym stanie i są zadbane.

W tym pospiesznym rzucie oka na sytuację ochrony zabytków w Polsce ograniczyłem się wyłącznie niemal do architektury, gdy tymczasem rozciąga się ogromna przestrzeń tak zwanych zabytków ruchomych, czyli dzieł malarstwa (od malowideł ściennych, sztalugowych, aż po obrazki na szkle i miniatury), rzeźby i snycerstwa, aż po wszelakie odmiany tak zwanego rzemiosła artystycznego. Tu bilans jest o wiele lepszy, a to głównie dzięki trzem wydziałom konserwacji (dwóch na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie, a trzeci na Uniwersytecie w Toruniu), które wypromowały szereg konserwatorów na wysokim poziomie i dzięki temu powstała w naszym kraju prawdziwa „polska szkoła konserwacji”, polegająca nie na odbudowywaniu i budowaniu na nowo zabytkowych zespołów urbanistycznych, ale na rzetelnym odświeżaniu, zabezpieczaniu i ekspozowaniu owych „ruchomości”. Nasi konserwatorzy zdobyli uznanie w wielu krajach Europy, nawet we Włoszech, gdzie krakowski wydział konserwacji ma stałą umowę z tamtejszymi ośrodkami ochrony zabytków i sporo dzieł tam zabezpieczył.

W kraju rozciąga się przed nimi rozległy obszar możliwości, ale niestety środki przeznaczone na tego rodzaju działalność są ograniczone, stąd spory ścisk na rynku pracy i wielu fachowców opuszcza kraj, nie znajdując tu możliwości rozwinięcia konserwatorskich skrzydeł. Tak więc nie z braku fachowców, ale z nikłych dotacji na kulturę, posiadany potencjał nie jest dostatecznie wykorzystywany. Zaznaczają się też tendencje monopolistyczne, bowiem wiele bardziej aktywnych jednostek kumuluje prace jakie się nadarzają, a jednost-



ki słabsze (co nie znaczy, że fachowo gorsze) zostają odpychane od zleceń. Mają temu przeciwdziałać przetargi, wyłaniające najlepsze i najtańsze zespoły, ale to teoria, a w praktyce, jak to powiadają górale: „Dyabeł na duże kupe sro”.

Niemniej zaznaczyło się kurczenie dawnych socjalistycznych instytucji, jak – w dziedzinie konserwacji – Pracownie Konserwacji Zabytków. Ja bardzo żałuję krakowskiego oddziału, który był w pewnym okresie oddziałem bardzo dobrym, ale po transformacjach ustrojowych zawalił się i zmuszony został do ogłoszenia upadłości.

Innym niebezpieczeństwem jest niejednokrotnie mała dbałość o jakość wykonania zadań, a także gusta zleceńodawców, niejednokrotnie bardzo odległe od poczucia estetycznego, które winno cechować osoby związane z opieką nad zabytkami. Niemniej takie osiągnięcia, jakie można odnotować w Krakowie (prace konserwatorskie w kościołach Franciszkanów, w kolegiacie św. Anny, w kościele Pijarów, w zespole Kamedułów i wielu innych obiektach) dają doskonały obraz, że jednak „Polak (konserwator zwłaszcza) potrafi”, jeśli tylko są pieniądze. Szczególnie wspomniałbym tego przykładem jest dobiegająca końca konserwacja całego kościoła Mariackiego w Krakowie. Sędziwe mury zabłysły nowym blaskiem i urodą, a wewnątrz uzyskało wręcz wspaniałość po odnowieniu malowideł ściennych Jana Matejki et Co., po konserwacji witraży, po oczyszczeniu Stwoszewskiego ołtarza, a także tegoż mistrza kamiennego krucyfiks w nawie bocznej, po konserwacji nagrobków, ołtarzy, a także wspaniałych i bardzo bogatych stall. Niedawno odbył się w tym wnętrzu koncert orkiestry Filharmoników Berlińskich i kiedy wewnątrz dodatkowo doświetlono, ja sam, przecież stały bywalec (nie Filharmoników, ale kościoła) byłem wręcz olśniony.

Niestety muszę jednak zwrócić uwagę na jeden, bardzo negatywny, aspekt opieki nad zabytkami w zakresie ruchomych dzieł sztuki: na coraz liczniejsze kradzieże, których apogeum, to zaiste gówniarska eskapada jakichś dupków z Gdańska, którzy wykradli z katedry gnieźnieńskiej srebrną figurę św. Wojciecha z jego mauzoleum. Oczywiście na przetopienie, czyli na pozbawienie tego dzieła sztuki jego prawdziwej wartości, bo zredukowanie jej do wielokrotnie niższej wartości kruszcu. I cóż z tego, że sprawców złapano, kiedy

rzeźba Piotra van der Rennena została poważnie uszkodzona. Ale przynajmniej znowu znajduje się na swym miejscu.

Niestety większość kradzieży po kościołach, ale także po mieszkaniach prywatnych, charakteryzuje się w naszym kraju wyjątkowo niskim stopniem „wykrywalności”. A złodzieje coraz częściej z ciemnych oprychów przeobrażają się w fachowców (względnie są przez takowych kierowani). I nie ma innej rady, jak tylko maksymalnie wzmocnić zabezpieczenie przede wszystkim świątyń, gdzie takich cennych dzieł jest wiele. Ja wiem, że koszt systemów alarmowych jest wysoki, ale bądź co bądź istnieje staropolski i nie tak drogi sposób: zaangażowanie starszych ludzi (emerytów, a zwłaszcza emerytek), by pilnowali wewnątrz kościołów w godzinach ich otwarcia.

I jeszcze jeden sposób zabezpieczenia: przenoszenie najcenniejszych zabytków, a już szczególnie tych, które nie są już wykorzystywane w liturgii, do muzeów. Po przedwojennych jeszcze muzeach diecezjalnych w Tarnowie, Sandomierzu i Płocku, w ostatnich kilku dziesięcioleciach powstały znakomite nowe zbiory w Poznaniu (zasługa nieżyjącego już ks. kanonika Tomaszewicza), w Pelplinie (ks. dr Roman Cicholewski), w Opolu (ks. dr Piotr Maniurka) i w Krakowie (ks. dr Józef Nowobilski). Oczywiście jako inwentaryzator szczególnie cenię sobie zabytki sztuki przechowywane *in situ*, ale troska o zachowanie naszej schedy zmusza do takowych przenosin.

I temu problemowi były poświęcone powyższe uwagi, dalekie od systematyki, ale płynące z gorącego zafascynowania tym, czemu poświęciłem właściwie całe swoje życie i dlatego moje nieporozumienia z narodem neosarmatów są tak iskrzące, bo nie mogę Polusom wybaczyć ich zamiłowania do abnegacji i dla braku szacunku wobec świadectw ich narodowej tożsamości. Nie tylko bowiem „krew i blizna”, zwłaszcza podsyte nieudacznictwem i pychą, świadczą o naszej chwalebnej przeszłości, ale przede wszystkim dworek w Pipczatce Górnej, kościółek w Miękiszu Dolnym i kamieniczki w Podwałkoniach.

Kraków w sierpniu 1999

Tadeusz CHRZANOWSKI



## Trzydzieści lat po śmierci Gombrowicza

„...moje widzenie rzeczywistości nie jest doprawdy wcale odległe od ich, komunistów, widzenia... Świat mój jest pozbawiony Boga. W świecie tym ludzie wzajemnie się stwarzają. Uzależnienie człowieka przenikające na wskroś, dyktujące najbardziej ‘osobiste uczucia’. (...)”

Lecz z tego wynika, że dla mnie nie istnieją myśli i uczucia prawdziwie autentyczne – całkowicie własne. Sztuczność nawet w najintymniejszych odruchach, spazmie przez konieczność zestrojenia się z innymi w Formie: oto żywioł istoty ludzkiej, z konieczności poddanej ‘między-ludzkiemu’.”

To wyznaczenie pisarza z „Dziennika” może służyć za motto do całej jego twórczości.

Jeśli zgodzić się, że głównym filozoficznym wyznacznikiem XX wieku jest ateizm, poddający sobie zarówno filozofię i sztukę, jak i politykę i obyczaje – to wydaje się, że to właśnie Gombrowicz wyciągnął z niego najgłębsze konsekwencje. Jego wizja świata jest bowiem negacją dotychczasowej kultury na swój sposób radykalniejszą nawet niż Heideggera, Nietzschego czy Freuda.

Wszyscy oni odwoływali się w końcu do poezji, budyzmu, czy (specyficznie pojętego) humanizmu. Gombrowicz natomiast budując swoją teorię człowieczeństwa – a poniekąd i swoje własne człowieczeństwo – rezygnuje zarówno z transcendencji, jak i tradycji. Jego jedynym fundamentem jest u niego wzajemne oddziaływanie ludzi na siebie, w toku którego wciąż na nowo stwarzają się cechy każdego z uczestników tej niekończącej się gry. „Nie tylko ja nadaję sobie sens. Także inni nadają mi sens. Za starcia tych interpretacji powstaje jakiś trzeci sens, który mnie wyznacza. (...) Dla mnie człowiek nigdy nie jest autentyczny. Jesteśmy aktorami – w swej najgłębszej istocie.” Osobowość zatem to

tylko zmienny wynik zetknięcia się dwóch sił; chwilowe zawirowanie. „Wierzę w nadrzędność istnienia zbiorowego wobec istnienia pojedynczej jednostki..”

Człowiek rozumiany jako produkt konwencji obyczajowych i warunków społecznych to naturalnie stały przedmiot refleksji filozoficznej od Rousseau, poprzez Kanta i Marksa, do Ericha Fromma. Wszyscy oni jednak uważali, że etykę opartą na Kamiennych Tablicach można zastąpić nową, ulepszoną. Gombrowicza takie twierdzenie do głębi przeraża. Dla niego bowiem najlepszym przykładem tej sztucznej, narzuconej etyki, są wszelkie dwudziestowieczne totalizmy.

Ponieważ nie ma instancji zewnętrznej wobec świata ludzi, to tylko oni sami – mogą względem siebie – ustalać swoją wartość. Nie ma jednak sposobu, by zagwarantować trwałość takiego sądu – toteż każdy jest względny. Stąd Gombrowicz odrzuca laicki humanizm Camusa, wraz z jego moralnością. Po lekturze „Człowieka zbuntowanego” stwierdza: „Na całej przestrzeni książki Camusa nie odnajduję tej prostej prawdy, że grzech jest odwrotnie proporcjonalny do ilości ludzi, którzy mu się oddają – i ta deprecjacja grzechu i sumienia nie odzwierciedla się w książce.”

Pytanie czytelnika tych słów narzuca się samo: jak daleko od takiej oceny do nihilizmu?

Wszelkie oskarżenia trzeba jednak skonfrontować z rzeczywistością – w tym wypadku psychologiczną. W latach 40-tych S. Asch przeprowadził słynny eksperyment, w którym ośmiu uczestników poproszono, by w obecności dziewiątego wygłaszało ewidentnie błędny sąd na temat długości dwóch wyrysowanych odcinków (wszyscy uczestnicy eksperymentu byli studentami). Okazało się, że 35% badanych dostosowało się do usłyszanej oceny, mimo, że wzrok mówił im coś odmiennego. Nic nie wiadomo, by Gombrowicz znał ten eksperyment (psychologia jako nauka nie występuje w „Dzienniku”) ale ciekawe jest jak blisko jego idee sytuują się wobec awangardowych nurtów dwudziestowiecznej psychologii. W „Rozmowach z Dominikiem de Roux” znajdujemy przecież z kolei refleksję bliźniaczą do zasadniczej koncepcji Gestalt:

„Człowiek w najgłębszej swej istocie ma coś, co chętnie nazwałbym ‘imperatywem formy’. To coś jest chyba nieodzowne wszelkiej istocie organicznej. Na przykład wrodzona



nam konieczność 'zaokrąglania kształtu'. Wszelki kształt napoczęty domaga się uzupełnienia, gdy powiem a, coś zmusza mnie do powiedzenia b, i tak dalej. Ta konieczność zaokrąglania, dopowiadania w myśl jakiejś logiki immanentnej kształtu gra wielką rolę w moich utworach."

Widzimy więc, że konformizm i potrzeba harmonii jest postawą powszechną i być może wrodzoną; trzeba mobilizacji ducha (i nierzadko ciała), by się im przeciwstawić. To właśnie tyrania Formy, która stwarza nas i przekształca na setki i tysiące sposobów.

I oto Gombrowicz, choć krańcowy pesymista w opisie ludzkiej kondycji – okazuje się w swej postawie artysty bojownikiem o wolność ludzkiego ducha. „Starajcie się – czytamy w 'Ferdydurke' – przewyciężyć formę, wyzwolić się z formy.” 30 lat później, w komentarzu do „Kosmosu”, znajdujemy to samo wezwanie: „Wyzwoliliśmy bestię Formy, teraz trzeba wziąć ją za rogi.”

Człowiek może się wyzwolić.

Jak?

Tutaj otwieramy najbardziej profetyczną stronę twórczości Gombrowicza. Podaje on bowiem jasną strategię w kontakcie z innymi: trzeba im narzucić swoją formę i skłonić ich, by się na nią zgodzili – a wtedy ich akceptacja sprawi, że będą się mógł z tym odbitym w ich oczach wizerunkiem utożsamić. Dzięki intelektualnemu dystansowi do formy cudzej – mogą wykreować własną. „Krótko mówiąc: człowiek narzucający swoją formę jest aktywny, jest podmiotem formy, on ją stwarza. Gdy forma jego dozna zniekształcenia w zetknięciu z formą innych ludzi, wtedy jest w pewnej mierze stwarzany przez innych, jest obiektem. I nie są to wcale powierzchowne przeobrażenia, gdyż forma przenika nas aż do głębi, wystarczy abyśmy zmienili ton głosu, a już pewne treści w nas nie będą mogły być wypowiedziane, a nawet pomyślane, nawet może odczute.” Czym jednak, zapyta sceptyk, ten program różni się ma od manipulacji, jaką uprawia tyłu psychopatów, polityków, *femmes fatales*, czy „lwów salonowych”?

Na to pytanie odpowiedzieć można jedynie przywołując epokę, która go zrodziła. Nie wzięła się bowiem ze spekulacji, tylko z obserwacji dokonanych przez – dziś to już chyba oczywiste – jeden z najprzenikliwszych umysłów XX wieku.

„Mój sposób patrzenia miał bezpośredni związek z ówczesnymi wypadkami: hitleryzmem, stalinizmem, faszyzmem... Byłem zafascynowany groteskowymi i przerażającymi formami, które powstawały w sferze międzyludzkiej niszcząc wszystko, co dotychczas czczono. Wyglądało to tak, jak gdyby ludzkość zakończyła jedno stadium rozwoju i wkraczała w nowe: świadomego tworzenia swej formy. Odtąd człowiek mógł 'się robić'; fabrykowano dowolne prawdy, ideały, fanatyzmy, ba, najintymniejsze uczucia...” Tyczy się to wszystkiego, także filozofów, którym udaje się ten dystans osiągnąć. Gombrowicz nie waha się doprowadzić swego rozumowania do logicznego końca, nieważne jak byłoby „nieeleganckie” – toteż stosuje je do swych „kolegów”: „Foucault zamierza unicestwić człowieka w *episteme*. Ale po co? By utwierdzić się w swej osobowości, wygrać bitwę z innymi filozofami, stać się znakomitością”.

W sytuacji powszechnego relatywizmu liczy się jedynie pozycja w nieformalnej hierarchii społeczno-towarzyskiej; jest to jedyna wymierna wartość.

Gombrowicz dokładnie opisał nasze czasy.

Ale... nie przestaje zarazem powtarzać, że jest pisarzem, nie filozofem, że jego domeną jest sztuka i zmyślenie, nie prawda i rzeczywistość. Jak zatem łączy swoją chłodną jak lancet, rentgenowską myśl – z barwną dziedziną sztuki, która zbyt dużo rozważań wysusza na wiór? Gombrowicz bowiem na zasadzie przekory może, ale bardziej chyba głęboko odczutej specyfiki literatury, nie ma bynajmniej przekonania do pisarstwa awangardowego, którego przedstawicielem go obwołano. I bynajmniej nie owija słów w bawełnę: „Może wybaczyłbym tym profesorom (...) myśl autodestrukcyjną, która sprawia takie wrażenie jakbyśmy używali rąk po to, żeby odciąć sobie ręce. Ich dzieła są jednym krzykiem zrozpaczonej impotencji, najkunsztowniejszym wyrazem plajty... Zabrałem się ponownie do lektury 'Procesu' porównując go ze sceniczną wersją Gide'a. Ale i tym razem nie udało mi się przeczytać uczciwie tej książki – olśniewa mnie słońce genialnej metafory przebijające się przez chmury Talmudu, ale czytać stronę za stroną, nie, to ponad siły. (...) Z prawdziwym podziwem, z niekłamanym uznaniem musiałem przerwać wiele lektur, które nazbyt mnie nudziły.”



Pora więc spytać o własne dokonania twórcze Gombrowicza. Tu drogowskazem jest apel do „kolegów-literatów” kończący powyższe uwagi: „Odwagi! Rozbijcie to zakłete koło, idźcie na poszukiwanie nowego natchnienia, pozwólcie, aby was ujarzmiło dziecko, szczeniak, półinteligent!..”. Ryzykowny program. Jak się ucielesnia? Już w „Ferdydurke” wzywa do „pogodzenia w człowieku formy i bezformia, prawa i anarchii, dojrzałości i niedojrzałości wieczystej i świętej.” Otóż dla niego kultura jest kulturalna, a sztuka sztuczna dlatego, że tak postanowiliśmy, że tak ułożyło to społeczeństwo nakładając ramy, formuły i wędzidła naszym dzikim impulsom. Ale Sztuka prawdziwa, godna swego zaszczytnego miana, winna obrazować i uzewnętrzniać to, co skrywane i fałszowane: starać się pogodzić dążenie do Dojrzałości i Absolutu i pragnienie Niepełni i Młodości.

Jest to najcieńszy i najbardziej kruchy moment w całym dziele „hrabiego Gombro”, jak nazywano go w argentyńskich kawiarniach. Przyciskany do muru przez krytyków, wyjaśniał, że „sprzeczność, która zabija filozofię, jest motorem sztuki”. Mówiąc wprost, jego apologia młodości niełatwo da się oddzielić od zachwyty nad urokiem młodych ciał – w tym wypadku chłopięcych (choć homoerotyzm pisarza był skrywany i nieśmiały). Jeśli przy tym nie ma w tym podziwie miłości – a Gombrowicz przyznawał się otwarcie do niezdolności przeżywania uczuć – trzeba nie byle jakiej ekwilibrystyki, by nie stać się jeszcze jednym *voyeur*’em z załosnej szkoły Prousta (któremu Gombrowicz nie szczędził złośliwości). Zmysły to najpotężniejsza broń, jaką znamy i dając im autonomię nie uniknie się aksjologii. Gombrowicz raz w życiu postanowił obnażyć się, ukazać co naprawdę myśli o dramacie pożądania, urody, starości i śmierci. Tytuł książki jest niestety adekwatny do treści: to „Pornografia”.

W późniejszych komentarzach autor ironicznie wypowiada się o tych recenzjach, jak np. Józefa Wittlina, które bohatera powieści Fryderyka określają jako diabła. Nie wiemy jednak kim on jest, zaś to co czyni, jest bez wątpienia diabelskie – co sam pisarz pośrednio przyznaje: „Jedna ze scen kluczowych to ta w kościele, gdy pod naciskiem świadomości Fryderyka załamuje się Msza, a wraz z nią Bóg-Absolut. Wtedy z ciemności i próżni kosmosu wyłania się nowe

bóstwo, ziemskie, zmysłowe, nieletnie, złożone z dwojga istot tworzących świat zamknięty – bo wzajemnie siebie przyciągają.”

Dwóch starszych panów pragnie połączyć tych dwoje, a nie potrafiąc tego dopiąć, chcą ich zespolić przez wspólne zabójstwo. „A w ostatniej chwili Rajfur-Reżyser nie wiedząc jak włączyć w to innego chłopca, który pęta się niezatrudniony na boku, po prostu zabija go. Aby lepiej smakowało, żeby zupa była lepsza z tym kawałem mięsa dodatkowym, żeby wzmocnić tę zakrwawioną chłopięcnością chłopięcność tamtego, rówieśnika...” Gombrowicz zwierza się w „Dzienniku”, że bardzo boi się Diabła. Miał powód: choć to tylko literatura, ale te igraszki rzucone na tło okupowanej Polski i miasteczka opustoszałego po wywózce Żydów, naprawdę cuchną siarką. Mam wrażenie zresztą, że najtreściwszą recenzję „Pornografii” napisał Charles Baudelaire, sto lat przed jej publikacją: „Wołanie do Boga, czyli duchowość, jest pragnieniem posuwania się wzwyż – wołanie do szatana, czyli zwierzęcość, to radość ponizenia.” Anihilacja moralności dokonana w „Pornografii” jest tą archimedesową dźwignią, która „rusza z posad bryłę świata”. W świecie Gombrowicza liczy się tylko relacja międzyludzka, toteż jeśli ona nie może się spełnić – np. w wypadku nieodwzajemnionej namiętności – cała rzeczywistość (a nie tylko życie romantycznego czy roztargnionego bohatera) jak najdosłowniej traci sens. To właśnie jest treść „Kosmosu”. Poczęty z daremnej miłości protagonisty i groteskowego przypadku rodzi się, rozrasta i w końcu wybucha totalny absurd bytu – który (jak sugeruje książka) pulsuje cały czas pod cienką powłoką naszej jako tako uładzonej rzeczywistości.

Dalej są już tylko ostatnie jednoaktówki Becketta: czyli milczenie.

Gombrowicz był przenikliwym myślicielem i wrażliwym artystą; był, jako pierwszy z członków szeroko rozumianej awangardy, świadom, że doszedł do kresu. Jego ostatnie lata to próby wyrwania się z tej pułapki na płaszczyźnie intelektualnej. Sonduje kwestię zła – i stwierdza jego ontyczną pustkę: „zło musi być złe, a więc niespełnione, nieudane, niedoskonałe. Zło absolutne to sprzeczność sama w sobie.”

– Nie odnajdując w sobie wiary (ani miłości) – dostrzega



jednak jak dużo jego postawa filozoficzna ma wspólnego z postawą Kościoła. „Bliski stał mi się Kościół w swojej nieufności do człowieka – i moja niechęć do formy, moje pragnienie wycofania się z kształtu, owo stwierdzenie ‘to jeszcze nie jestem ja’, które towarzyszy każdej mojej myśli i uczuciu, pokrywa się z intencjami Jego doktryny. Kościół boi się człowieka i ja boję się człowieka. Kościół nie ufa człowiekowi i ja nie ufam człowiekowi. Kościół przeciwstawiając doczesność wieczności, ziemi – niebo, usiłuje zapewnić człowiekowi ten właśnie dystans do jego natury, który i mnie jest niezbędny. (...) Decydujące jest dla mnie, że i On i ja domagamy się rozdzielenia człowieka: on – na ludzki i boski pierwiastek, ja – na życie i świadomość. (...) I stąd podziw nasz dla chrześcijaństwa, które jest mądrością obliczoną na wszystkie umysły, śpiewem na wszystkie głosy od najwyższych do najniższych, mądrością, która nie musi przetworzyć się w głupotę na żadnym szczeblu świadomości”.

Rola Gombrowicza w polskiej kulturze miała za podstawę paradoks, którego mimowolna ironia być może znalazłaby jego uznanie, gdyby jej był świadom. Otóż jego kampania przeciw przedwojennej Polsce była przecież niewinnym żartem w porównaniu z metodyczną anihilacją całej polskiej kultury przez komunistów. Gombrowicz wyśmiewał Pimków i gorszył stare ciotki – komuniści profesorów rozstrzelali, a ciotki posyłał na wyrąb lasu. Kiedy mój rocznik wchodził w życie, otaczał nas tylko księżycowy krajobraz „kultury socjalistycznej”... i tej normalnej kultury musieliśmy się uczyć tak, jak dawni filozofowie herezji: z dzieł, które ją potępiały i zwalczały. Jego zjadliwe szyderstwa – dla nas były nieledwie opisem Raju Utraconego.

Można sobie wyobrazić, że pisarz dożyłby ponownej niepodległości. Co ten ironista, nauczyciel dystansu do własnych korzeni, miałby nam do powiedzenia? Czy włączyłby się do orszaku „Europejczyków”, drwiąc z „polskiego prowincjonalizmu”? Myślę, że ktoś, kto by na to liczył, bardzo by się zawiódł – i dałby świadectwo jak słabo zna i rozumie jego dzieło. Wzięło się ono właśnie ze sprzeciwu wobec „Europy”, z przemożnie odczutej potrzeby odróżnienia się od niej poprzez wypracowanie samodzielności ducha.

„Jeden z wielkich problemów naszej kultury to –

przeciwstawienie się Europie. Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim póki nie wyodrębnimy się z Europy – gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym, aby stać się jej częścią składową: specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić.

Tylko przeciwstawienie się Europie, która nas stworzyła, może sprawić, że staniemy się w końcu kimś... o własnym życiu”.

Ponieważ zaś temat ten (w niecałkiem jasny sposób) łączy się dla wielu z dyskusją o PRL, warto w tym miejscu przytoczyć lakoniczną i jednoznaczną ocenę pisarza: „Cały ten okres jest zatruty dążeniem do niwelacji wartości i ludzi, precz z nim!”

Gombrowicz znany jest z prowokacji pod adresem innych sztuk: muzyki, a zwłaszcza malarstwa. Wszędzie tropi snobizm i wzajemną adorację, a ostrze tej ironii nie jest mniej dotkliwe przez to, iż przyznaje, że ten sztuczny podziw i na siłę wzbudzany zachwyty jest z definicji przynależny wszelkiej społecznej percepcji. A przecież właśnie rozbitcie obrazu rzeczywistości dokonane przez dwudziestowieczne malarstwo wydaje mi się najlepszym przybliżeniem do twórczości Witolda Gombrowicza. Przenicował nasze widzenie świata tak metodycznie, jak wcześniej zrobili to Braque, Dufy, Vlaminck i Picasso.

Gombrowicz jednak nigdy się tym nie zadowolił, zawsze szukał sposobu na scalenie ludzkich doświadczeń: na połączenie zachwyty i trzeźwości, urody i dystansu, nadziei i wolnej, uczciwej myśli. Temu służyła jego wierność sobie podczas długich lat nędzy na wygnaniu (jak wspominała później Rita Gombrowicz „miał dziwny zwyczaj przechowywania niedopałków”) – temu także nieprawdopodobna wirtuozeria pisarska, nie mająca sobie równej w polskiej kulturze. Był, jak wiemy, o krok od Nobla: przyznano go wtedy japońskiemu pisarzowi, o którym nikt już dziś nie pamięta.

Ale Nobla nie dostali w XX wieku najwięksi z jego twórców, nie jest to więc powód do zgrzyoty. Jest losem pionierów, że niewielu z nich kosztuje nagrody. Obowiązkiem następców jest pojąć ich doświadczenia.

Piotr SKÓRZYŃSKI



## Wyróżnienia POLCUL Foundation

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 25.7.1999 r. Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 18 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruchu kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Felicja BASKA-BORZYSZKOWSKA – za pracę społeczną w rejonie kaszubsko-pomorskim; Ała BINERT – za pracę społeczną w Grodnie, na Białorusi; Waław CZAKON – za pracę w Fundacji „Szczęśliwe Dzieciństwo” w Lublinie; ks. Kazimierz HOŁA – za pracę społeczną w „Rodzinie Kolpinga”; Wojciech JAŻWIEC – za pracę społeczną na terenie Chorzowa; Jowita KĘCIŃSKA – za pracę społeczną na Ziemi Złotowskiej; Irena KRUCZEK – za pracę z młodzieżą „U Siemachy” w Krakowie; Krystyna MRUGALSKA – za pracę przy rewalidacji osób upośledzonych umysłowo; Stefan NAWROT – za pracę w „Stowarzyszeniu Współpracy Polska-Wschód”; Mieczysław OBIEGAŁKA – za pracę społeczną na rzecz trzeźwości i rozwiązywania problemów alkoholowych; Bogusław PIETRUS – za działalność na rzecz osób jękających się; Stanisław PIJANOWSKI – za działalność regionalną w Głuchej Puszczy, w Wielkopolsce; Janusz PRZEWŁOCKI – za działalność w Ośrodku KARTA; Ewa SIATKOWSKA – za pracę w dziedzinie kultury serbołużyckiej; Henryk STANKIEWICZ – za pracę społeczną na terenie Wejherowa i okolic; Jerzy STARZYŃSKI – za pracę w społeczności łemkowskiej w Legnicy; Ewa SZYMCZAK – za pracę w Fundacji „Pomoc Społeczna SOS”; Norbert WOJCIECHOWSKI – za pracę społeczną na terenie Lublina.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

- Jan HANASZ  
ul. Krasińskiego 57 m. 10,  
TORUŃ, tel.: (056) 282 06
- Anna KONDRACKA  
ul. Bogusławskiego 20 m. 80,  
WARSZAWA, tel. (022) 663 26 39  
lub też zwracając się wprost do

POLCUL FOUNDATION  
P.O.BOX 193  
ROSE BAY. 2029. AUSTRALIA  
Tel.: (61-2) 9326 2863  
Fax: (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wsuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

## Nagrody Towarzystwa Demokratyczno-Społecznego

Powołana przez TOWARZYSTWO DEMOKRATYCZNO-SPOŁECZNE Komisja w składzie: Alina Brodzka, Michał Głowiński, Mirosława Puchalska, Szymon Rudnicki, Jerzy Szacki i Małgorzata Szpakowska – przyznała w dniu 1 czerwca 1999 roku nagrody i wyróżnienia im. Jana Józefa Lipskiego za prace magisterskie obronione w roku 1998.

*Nagrodę pierwszego stopnia w wysokości 2000 zł otrzymuje:*

Krzysztof Kosiński (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Walka o nową mentalność młodzieży. Życie codzienne w warszawskich szkołach w latach 1945-1956”.

*Dwie równorzędne nagrody drugiego stopnia po 1500 zł otrzymują:*

Anna Cichopek (Uniwersytet Jagielloński) za pracę „Z dziejów powojennego antysemityzmu – pogrom w Krakowie 11 sierpnia 1945 r.”

Magdalena Rudkowska (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Wyszedł z dworu. Gry tekstowe w opowiadaniach historycznych Władysława Łozińskiego”.

*Pięć wyróżnień po 1000 zł otrzymują:*

Małgorzata Glasenapp-Konkol (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu) za pracę „Pisarka w sądzie. Międzywojenne reportarze Ireny Krzywickiej”.

Bogusława Gonkiewicz (Uniwersytet Śląski) za pracę „Me-



tafora budowania i konstruowania w polskiej poetyce strukturalnej”.

Katarzyna Kościwicz (Uniwersytet w Białymstoku) za pracę „Podróż do miasta. Architektura przestrzeni w ‘Żywych kamieniach’ Wacława Berenta”.

Paweł Sowiński (Uniwersytet Warszawski) za pracę „Komunistyczne święto w świetle relacji z obchodów 1 Maja w Polsce Ludowej z lat 1948-1954”.

Stefan Szulc (Uniwersytet Śląski) za pracę „Metamorfozy przypowieści”.

Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne będzie wdzięczne za pomoc w utrzymywaniu dorocznych nagród.

TOWARZYSTWO DEMOKRATYCZNO-SPOŁECZNE

ul. Nowogrodzka 4

00513 Warszawa

Bank Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych BISE S.A.

III O/Warszawa

na rachunek Towarzystwa Demokratyczno-Społecznego  
nr 13701037-500584-27005-1100

z dopiskiem: Fundusz Nagród im. J.J. Lipskiego

## KOMUNIKAT

### KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDACJI

#### IM. JANA I SUZANNE BRZĘKOWSKICH

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 2000 r. upływa z dniem **28 lutego 2000 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii Polski**. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie w pierwszym rzędzie ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Jana i Suzanne Brzękowskich nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Jana i Suzanne Brzękowskich  
Société Historique et Littéraire Polonaise  
6, quai d'Orléans  
75004 PARIS

## OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

### KRZYŻ – DRZEWO KWITNĄCE

1. Organizatorami konkursu są: Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM i FUNDACJA SZTUKI na rzecz „Integracji”.

2. Udział w konkursie może wziąć każdy, niezależnie od przynależności do związku twórczego, kto do 30 października 1999 r. nadesłanie swoje utwory: poemat, trzy wiersze bądź 5 miniatur poetyckich.

Udział w konkursie mogą wziąć również poeci spoza Polski.

3. Prace należy opatrzyć godłem, a w kopercie dołączyć imię i nazwisko oraz adres zamieszkania, plus godło. Teksty należy nadsyłać w trzech egz. w maszynopisie na adres biura Konkursu.

4. Do Konkursu dopuszczone zostaną także dzienniki i zapiski krytyczno-literackie, nie przekraczające 8 stron maszynopisu. *Nadsyłane prace nie mogą być przedtem nigdzie drukowane. Na kopercie należy zaznaczyć „Konkurs literacki”.*

5. Nagrody: I – 1500 zł; II – 800 zł; 3 trzecie – po 300 zł oraz 5 wyróżnień po 100 zł. Są to Nagrody organizatorów Konkursu.

Przewiduje się również nagrody osób prywatnych, firm i organizacji. Część otrzymanych funduszy organizatorzy przeznaczą na wydanie antologii prac nagrodzonych i wyróżnionych – w 2000 roku.

Osoby zainteresowane ufundowaniem imiennych nagród, proszone są o skontaktowanie się z Sekretarzem Biura Konkursu. Fundatorzy zapisani zostaną w Antologii i otrzymają okolicznościowy-pamiątkowy Medal.

Jury ma prawo do innego podziału nagród.

6. Rozstrzygnięcie Konkursu i wręczenie nagród nastąpi w grudniu 1999 r. w Warszawie.

Biuro Konkursu:

Sekretarz Magdalena Koperska

SW ANAGRAM, Al. 3 Maja 5, lok. 55

00-401 Warszawa

tel.fax (022) 622 93 63

sekr. automat. (022) 622 93 26



## Książki

### Pamięć świadka

Od czasu przyzwolenia władz w Polsce na pisanie o emigracji i jej ludziach, a szczególnie po roku 1989, powstała liczna grupa osób zajmujących się zawodowo tym nagle popularnym tematem. Z różną kompetencją i wrażliwością zabrały się one do spraw stanowiących tabu przez kilkadziesiąt lat. Oczywiście, tak jak w innych materiach, rzetelne studium może prowadzić do ekspertyzy, ale obok kompetentnych powstają również teksty bałamutne, typowe wypracowania ludzi, którzy wiedzą o przedmiocie zbyt mało lub bardzo niewiele, ale mają swoje teorie i preferencje.

Dlatego ciągle jeszcze zasadnicze dla poznania emigracji są świadectwa samych emigrantów, ważna jest autopsja, znajomość uwarunkowania, właściwa perspektywa. Kiedy piszą o swoich współczesnych, nie mieszają ludzi z różnych miejsc i czasów, znają ich powiązania, dysponują wiadomościami z pierwszej ręki. Odwiedzanie opustoszałych i wystygłych emigracyjnych gniazd i moglił na cmentarzach, nękanie ludzi w podeszłym wieku, chorych i steranych, drobiazgowymi kwestionariuszami i ankietami, mogą stworzyć najwyżej namiastkę, wirtualny obraz, bardziej wyobrażenie, niż ważny, wiarygodny dokument rzeczywistości.

Przed tą wtórną wiedzą, różnymi gdybaniami *ex post*, trzeba wysłuchać w pierw głosów samych emigrantów, którzy na szczęście ciągle jeszcze świadczą o świecie, którego część stanowili, a który już przeminął. To oni sprawiają, że nie ginie pamięć, może nie zawsze dokładna i obiektywna, ale autentyczna, nie żaden wymysł i konstrukcja najbardziej pracowitego archeologa, który o wiarygodności czy dokładności swojej wizji może tylko marzyć. Wrażliwość, inteligencja i wiedza to wielkie pomoce, cóż dopiero, gdy cechują one nie badacza ale świadka? A zdaniem wielu, było na co patrzeć, bo odeszło pokolenie, którego miejsca nikt nie zajmie.

„Nie wszyscy, których życie było mądre, piękne i ciekawe, mieli głośne nazwiska i miejsce w Historii i często pamięć o nich ginie, gdy odchodzą od nich współcześni. I tylko oni mogą ich w tej pamięci zatrzymać.” Taką myślą poprzedziła swoją nową książkę Stefania Kossowska, ostatnia redaktorka *Wiadomości*, sumienna kronikarka życia polskiego środowiska emigracyjnego w Londynie. Po „Galerii przodków” – tomu wspomnień o przyjaciółach i znajomych, głównie prominentów literackiego Londynu, wydanym przez *Więź* w 1991 roku, Uniwersytet Toruński w serii Biblioteka Uniwersytecka opublikował dopełnienie pt. „Przyjaciele i znajomi”.

Jest to zbiór 27 szkiców i wspomnień rozproszonych w czasopismach (dwanaście z nich ukazało się po raz pierwszy w *Kulturze*). Nowe teksty zastanawiają się nad ciągle jeszcze enigmatycznym redaktorem *Kultury*, bohaterami innych jest Danuta Mostwin, Wit Tarnawski i Jan Kott. Obok sylwetek postaci znanych (J. Giedroyc, J. Łobodowski, J. Pietrkiewicz, E. Raczyński, K. Pruszyński czy K. Wierzyński autorka dała nam portrety osób, o których na próżno szukalibyśmy wiadomości gdzie indziej (np. Krzysztof Muszkowski, Inka Nowotko-Lachowicka, Franciszek Staff, Barbara Wiszniewska czy Maria Adela Żeleńska), choć ich zasługi były znaczne a życie bardzo nieraz dramatyczne. Pisze zaś o nich z równie uważnym pochyleniem, ciepłem i dociekliwością rzetelnego obserwatora.

Niezwykłe pokolenie ludzi, którzy emigrację wojenną uczynili pamiętną, znalazło w Stefanii Kossowskiej niezastąpionego, wiarygodnego kronikarza. Kilkoma słowami umie doskonale określić człowieka. I tak Cat-Mackiewicz posiada „łakomstwo na heroiczną skalę”, Łobodowskiego nazwie „watazką”, a Leopold Łabędź „nigdy w nocy nie śpi”, o Wojciechu Wasiutyńskim napisze, iż „można jedynie żałować, że ze swoją kulturą, moralnością i talentem wybrał swoją drogę życiową 'prawą stronę labiryntu', który ma to do siebie, że się w nim błądzi”.

W przedrukowanych tekstach ciągle jeszcze zaskakują niepamiętane już, względnie niezauważone przedtem, szczegóły, np. w ostrożnym Słonimskim, który namówiwszy Pruszyńskiego do powrotu do Polski, sam pozostał w Londynie. Bawią anegdota o Ksawerym Pruszyńskim schodzącym do schronu w bombardowanym Londynie.

„Tatianie, rosyjskiej żonie redaktora właśnie powstałego *Dziennika Polskiego* Marcelego Karczewskiego, porywał srebrnego lisa, robił sobie z niego kołpak i odstawiał kozaka; pod-



stępnie odsuwał od Stasia Balińskiego jego walizeczkę, pobożnie znoszoną na dół i czekał – razem ze wszystkimi – na atak historycznej paniki Balińskiego, gdy nie mógł jej nagle znaleźć pod ręką. W tej słynnej walizeczce były listy Mickiewicza do Maryli, ale także sztabki złota, o czym wszyscy wiedzieli z dowcipnych relacji Słonimskiego i innych świadków wywożenia ich z Polski we wrześniu, gdy Baliński w nocy, przed przekroczeniem granicy, porozdawał je przyjaciołom, bo ‘nie wiadomo co nas wszystkich czeka’, a nazajutrz rano, już w Rumunii, wszystkim je odebrał.”

To są rodzinne, których żaden badacz nie wymyśli, bo pochodzą z autopsji. A w artykule o cytowanym powyżej Pruszyńskim Kossowska komentuje też pochopny osąd Ewy Berberyusz. „Mogę zrozumieć w pewnej mierze, że wydarzenia sprzed pół wieku są inne w oczach świadków, niż tych, którzy rodzili się dziesiątki lat później i żyli w zmienionym świecie. Dawne fakty, obrane ze szczegółów, wyjęte z kontekstu czasów, filtrowane przez późniejsze komentarze, redukowały się do schematów ułatwionej historii”.

Uwaga ta powinna być również ostrzeżeniem dla czytelników, by ostrożnie czytali ewidencje z drugiej, czy jeszcze dalszej ręki. Dlatego świadectwo Kossowskiej jest tak ważne. Oby podobnych emigranci napisali jeszcze wiele. Bowiem dla zdobycia solidnej orientacji i pogłębienia wiedzy o emigracji jej szkice mają wartość zasadniczą

Florian ŚMIEJA

Stefania Kossowska, „Przyjaciele i znajomi”. Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 1998

## Nadestane nowości wydawnicze

- BAKUŁA (Bogusław). *Skrzydło Dedala*. Szkice, rozmowy o poezji i kulturze ukraińskiej 50.-90. XX wieku. Str. 385. Wydawnictwo WiS, Poznań 1999.
- BARTNICKA-GÓRSKA (Anna), PRUGAR-MYŚLIK (Anna). *Zygmunt Waliszewski 1897-1936*. Wystawa monograficzna maj-lipiec 1999. Katalog. Str. 247. Muzeum Narodowe w Warszawie, Warszawa 1999.
- BARTNIKOWSKI (Bogdan). *Strofy jesienne*. Str. 41. Warszawa 1999.
- BOUVIER (Nicolas). *Oswajanie świata*. Str. 328. Przekład K. Arustowicz. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- CELESZ (Wjaczka). *Gatady Biłarusi na starych paszportkach*. Str. 255. Belarus, Minsk 1998.
- CENDRARS (Blaise), MILLER (Henry). *Korespondencja 1934-1979. 45 lat przyjaźni*. Oprac. M. Cendrars. Przekład K. Arustowicz. Str. 348. Noir sur Blanc, Szwajcaria 1999.
- DABULEWICZ-RUTKOWSKA (Jadwiga). *Poezja, proza i dramat*. Pamiętnik nastolatki - Lwów 1939-1941. Str. 222. Oficyna Artystyczno-Wydawnicza „W Kolorach Tęczy”, Wrocław 1998.
- Dialog jest możliwy*. Prezentacja Polsko-Niemieckiej Grupy Autorów DIALOG. Str. 93. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1999.
- DOBOSZ (Andrzej). *O kapeluszu*. Str. 38. Wyd. UMCS, Lublin 1999.
- Druga Wielka Emigracja 1945-1990* – Tom I – Andrzej Friszke „Życie polityczne emigracji” – s. 512; Tom II – Paweł Machcewicz „Emigracja w polityce międzynarodowej” – s. 262; Tom III – Rafał Habielski „Życie społeczne i kulturalne emigracji” – s. 408; Biblioteka Więzi, W-wa 1999.
- ECO (Umberto). *Czytanie świata*. Str. 214. ZNAK, Kraków 1999.
- Gazeta Wyborcza*. Dziesięć lat 100 pierwszych stron. Str. 104. Wyd. Agora, Warszawa 1999.
- Gazeta Wyborcza*. Dziesięć lat. Fotografie. T. III. Str. 369. Wyd. Agora, Warszawa 1999.
- GEDROYC (Jerzy). *Autobiografia na cztery ręce*. Oprac. K. Pomian. Wyd. III. Str. 384. Czytelnik, Warszawa 1999.
- HARTWIG (Edward). *Halny*. Str. 112. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999.
- HERRMANN-NEISSE (Max). *Ein Menschliches Gesicht*. Str. 156. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1998.
- HUSTVEDT (Siri). *Na oślep*. Str. 225. Przekład K. Obłucki. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- JAEGGY (Fleur). *Gniew niebios*. Przekład M. Tulli. Str. 94. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- KASPRZYK (Krzysztof). *Zbiór*. Str. 115. Omnibus Printers Ltd., Toronto 1999.
- KERSKI (Basil). *Otwarta brama*. Niemcy między zjednoczeniem a końcem stulecia. Szkice i rozmowy. Str. 223. Wspólnota Kulturowa Borussia, Olsztyn 1999.
- KIBISH-OŻAROWSKA (Krystyna). *Mały przewodnik po sztuce religijnej*. Str. 164. Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.



- KOHL (Helmut). *Pragnąłem jedności Niemiec*. Przekład M. Dutkiewicz. Str. 287. Wyd. Świat Książki-Politeja, Warszawa 1999.
- KRASKOWSKA (Ewa). *Z problemów prozy kobiecej dwudziestolecia międzywojennego*. Str. 222. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1999.
- LEBIEDŹ (Aleksander). *Szkoda wielkiego kraju...* Przekład z j. rosyjskiego J. Czech. Str. 411. Świat Książki, Warszawa 1999.
- LEON (Donna). *Śmierć na obczyźnie*. Przekład M. Cegiela. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- MIERZANOWSKA (Danuta). *Wolna Europa i świat*. Str. 276. Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1998.
- MILLER (Henry). *Kolos z Maroussi*. Str. 198. Przekład C. Wojewoda. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- MITZNER (Piotr). *Hans wieczny tulacz*. Str. 17. Wyd. Koło Podkowy 1999.
- NORWID (Cyprian Kamil). *Poèmes*. Oprac., przekład R. Legras. Str. 174. L'Age d'Homme, Lausanne 1999.
- NOWAK (Jerzy Robert). *Zagrożenia dla Polski i polskości*. 2. Str. 456. Inicjatywa Wydawnicza „ad astra”, Warszawa 1998.
- NOWAKOWSKI (Marek). *Hades*. Str. 57. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Oksana*. Str. 568. Wydawnictwo książkowe Twój Styl, Warszawa 1999.
- PACHOLSKI (Arkadiusz). *Widok z okna na strychu*. Str. 213. Słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 1999.
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Mojżesz i Ksawery*. Str. 153. Wyd. Twój Styl, Warszawa 1999.
- RAKOWSKI (Mieczysław F.). *Dzienniki polityczne 1963-1966*. Str. 472. Wyd. ISKRY, Warszawa 1999.
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Zawsze fragment. Recycling*. Str. 130. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998.
- RUTKOWSKI (Krzysztof). *Les Passages parisiens. Chronique d'un écrivain polonais*. Tłum. z polskiego F. Laurent. Str. 180. Exils Editeur, Paris 1998.
- SCHULZ (Bruno). *Manekiny*. Str. 36. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- SŁOMIANOWSKI (Andrzej). *Alchemia*. Str. 85. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1998.
- STASIUK (Andrzej). *Opowieści galityjskie*. Str. 95. Wydawnictwo Czarne, Czarne 1998.
- Swoistości cywilizacyjne, kwestie narodowościowe i polonijne*. Red. A. Chodubski. Str. 250. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1999.
- SZARUGA (Leszek). *Historia, państwo, literatura*. Polska powieść współczesna jako przestrzeń pytań o sens procesów dziejowych. Str. 276. Uniwersytet Szczeciński, Szczecin 1999.
- SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Wszyscy szukamy*. Str. 108. Biblioteka Więzi, Warszawa 1998.
- SZCZYPIORSKI (Andrzej). *Buffalo Bill*. Str. 41. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- SZEWCZENKO (Stanisław). *Blizki i niedosyżne*. Str. 123. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1999.
- SZMIDT (Jadwiga). *Biblioteki polskie we współczesnym Londynie*. Str. 138. Wyd. SBP, Warszawa 1998.
- ŚLIWIŃSKI (Marian). *Szkice o Norwidzie*. Str. 106. Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 1998.
- ŚMIEJA (Florian). *Wiersze wybrane*. Oprac. M. Pytasz. Str. 94. „Śląsk”, Katowice 1998.
- TABORSKI (Bolesław). *Moje Powstanie wtedy i teraz*. Str. 278. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998.

## POLSKA I WCHODNI SĄSIEDZI

19.6.99

Wasilij Bykow, wybitny pisarz białoruski, obchodził 75-lecie swoich urodzin.

25.6.99

W Kijowie odbyła się polsko-ukraińska konferencja „Ukraina i Polska w Europie Środkowo-Wschodniej – dziedzictwo i perspektywy” pod patronatem premiera RP Jerzego Buzka i premiera Ukrainy Walerija Pustowojtenki. Konferencja uchwaliła m.in. podjęcie konkretnych prac mających na celu utworzenie szlaku transportowego Odessa-Gdańsk i ekonomicznego wykorzystania rurociągu Odessa-Brody, wspieranie współpracy regionalnej, szczególnie Euroregionów „Bug” i „Karpaty”, zapewnienie środków finansowych na działanie polsko-ukraińskiej komisji d/s podręczników szkolnych oraz ustanowienie nagrody dla autorów najlepszych podręczników, zlikwidowanie podatku od eksportu i importu prasy w obrocie między oboma krajami, zapewnienie regularnej wymiany programów telewizyjnych i radiowych oraz podjęcie działań na rzecz retransmisji TVP w Kijowie, ufundowanie nagrody dla dziennikarzy za najlepszą publicystykę poświęconą Ukrainie w Polsce i Polsce w Ukrainie, zwrócenie się do władz Ukrainy o wpisanie na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego zespołu obronnego w Kamieńcu Podolskim.

28.6.99

Na wniosek Dobrzyńsko-Kujawskiego Towarzystwa Kulturalnego Rada Miasta Włocławka nadała honorowe obywatelstwo p. Marii Danilewicz Zielińskiej, pisarce, krytykowi literackiemu i tłumaczowi literatury polskiej.

1.7.99

Z inicjatywy prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Mirosława Mossakowskiego i w porozumieniu z Narodową Akademią Nauk Białorusi zostanie powołana Stacja Naukowa PAN w Mińsku oraz, na zasadzie wzajemności, Centrum Naukowe Narodowej Akademii Nauk Białorusi w Warszawie. PAN zamierza otworzyć Stację Naukową w Mińsku w roku 2000. Analogiczne porozumienie zostało zawarte z Narodową Akademią Nauk Ukrainy. ■ Izrael zgłosił kandydatury polskiej Najwyższej Izby Kontroli na kontrolera zewnętrznego UNESCO. W grę wchodzi kontrola wydatkowania ponad 5 mld dolarów rocznie. Decyzję w tej sprawie podejmie późniejszą jesienią Zgromadzenie Ogólne UNESCO. Od kilku lat NIK jest gospodarzem spotkań INTOSAI międzynarodowej organizacji kontrolerskiej z instytucjami audytorskimi krajów Europy Środkowo-Wschodniej.



3.7.99

Halina Auderska, powieściopisarka, dramaturg, leksykograf, żołnierz AK, skończyła 95 lat.

2.8.99

Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego uchwaliła przyznanie dwóch trzymiesięcznych stypendiów dla pracowników naukowych Litewskiej Akademii Prawa w Wilnie. Rada Wydziału zamierza we wrześniu rozszerzyć inicjatywę stypendialną na pracowników naukowych Białorusi i Ukrainy.

25.8.99

Zmarł w Warszawie w wieku 66 lat, poeta Jerzy Harasymowicz.

10.9.99

W krakowskim Wydawnictwie Literackim ukazała się książka Bogumiły Żongołłowicz „Andrzej Chciuk pisarz z antypodów”.

12.9.99

Rada Porozumiewawcza Badań nad Polonią zorganizowała konferencję naukową w Gorzowie Wielkopolskim na temat „Polityka zagraniczna Polski w latach 1944-1990 w ocenie emigracji”.

## ZACHÓD

14.8.99

Zmarła w Londynie w wieku 90 lat Regina Kowalewska, założycielka i wieloletnia reżyserka teatru dla dzieci „Syrena”. ■ Zmarł w Waszyngtonie w wieku 77 lat Lane Kirkland, szef centrali związkowej AFL-CIO. Był on wielkim sprzymierzeńcem Solidarności w okresie jej powstawania.

## Listy do Redakcji

6.06.1999

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 5/6 ukazał się list p. Andrzeja Biernackiego, dotyczący przynależności do PZPR, w którym znalazło się stwierdzenie, że do partii należało kilka milionów, zaś nie należało kilkadziesiąt i że nie wolno znieślawiać pamięci tych, co wybrali gorsze bytowanie i nie należeli.

Posłużymy się danymi statystycznymi w obalaniu tego błędnego rozumowania.

W szczytowym dla partii okresie należało do niej 2,5 mln. członków. W tym czasie, przy całości populacji 33 mln. ludzi, czynnych zawodowo było 10 mln. Zaliczali się do nich rolnicy, robotnicy, inteligencja pracująca, milicja, wojsko oraz osoby duchowne. O PZPR mówiło się, że winna nazywać się PZPD (Polska Zjednoczona Partia Dyrektorska). Rolnicy i robotnicy oraz duchowni nie należeli. Rolnicy i robotnicy nie, bo i po co? I tak łopata i łopata. Duchowni ze względów oczywistych nie należeli. Jeżeli odliczyć te bardzo liczne kategorie, to okaże się, że cała kadra menedżerska była partyjna i to na każdym szczeblu. Pracowałem w wielu przedsiębiorstwach i tak to wyglądało. Nie ma się co okłamywać, kto chciał zajmować miejsce decydenta jakiegokolwiek szczebla, wpisywał się do partii, nie oglądając się na polonijne opinie. Obowiązująca w Kościele katolickim ekskomunika dla członków partii komunistycznych nie obejmowała członków z krajów rządzonych przez komunistów. Odnosnie przeprowadzanej lustracji, należy przypomnieć, że w MSW była dyrektywa, że SB nie mogła rekrutować w charakterze swoich konfidentów członków partii. Dlatego też kiedy prawica w Sejmie domagała się ustawy o lustracji, otrzymała ripostę od posłów SLD, że „może pusto zrobić się po waszej stronie”.

Należy obalać wszelkie kursujące mity, jak te o „Konradach Wallenrodach” czy o tych co „wybrali gorsze bytowanie” itp. i właśnie w tym celu piszę ten list do Pana

Z poważaniem

Mariusz J. PIECZARA



Warszawa, 2 sierpnia 1999

Szanowny Panie Redaktorze

W czerwcowym numerze *Kultury* opublikowany został wywiad Teresy Torańskiej z ministrem kultury Andrzejem Zakrzewskim. W wywiadzie tym min. Zakrzewski przytacza m.in. rozmowę, jaka miała miejsce u niego w MKiS w kwietniu br., w której oprócz mnie - wówczas przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji - uczestniczyli Witold Graboś (wtedy wiceprzewodniczący KRRiT) oraz Izabella Chruślińska, dyrektor Departamentu Współpracy z Zagranicą w biurze KRRiT. Z przykrością muszę stwierdzić, że przytoczone przez min. Zakrzewskiego fragmenty rozmowy są niezgodne z prawdą.

Po pierwsze rozmowa dotyczyła organizowanej nie przez KRRiT, a przez Polskę Konferencji Ministerialnej Rady Europy na temat polityki wobec mediów. Konferencje takie Rada Europy organizuje co trzy lata. Ich celem jest wytyczenie kierunków polityki medialnej RE. W ubiegłym roku do zorganizowania tej prestiżowej konferencji wybrano Polskę spośród kilku krajów. Ustalono, że konferencja ma się odbyć w czerwcu 2000 roku w Krakowie, a zaproszenie na ręce sekretarza generalnego Rady Europy wystosował Prezes Rady Ministrów Jerzy Buzek.

Po drugie Pan Minister Zakrzewski nie mógł zadać pytania, czy KRRiT kontaktowała się w tej sprawie wcześniej z MKiS, gdyż celem rozmowy sformułowaniem przeze mnie w pierwszym zdaniu było pytanie skierowane do Pana Ministra, czy podtrzyma zobowiązanie podjęte przez jego poprzedniczkę, min. J. Wnuk-Nazarową, która wyraziła zgodę na przekazanie z budżetu Festiwalu Kraków 2000 dwustu tysięcy złotych, z której to sumy zostałyby sfinansowane najpilniejsze prace przy organizacji konferencji. Na spotkanie u Pana Ministra przyniosłem kopie korespondencji z MKiS w tej sprawie, wobec której jednak min. Zakrzewski nie wyraził zainteresowania.

Również uzasadnienie odmowy i wycofanie się z uprzednich zobowiązań min. Wnuk-Nazarowej było inne i bardzo proste. Pan Minister Zakrzewski stwierdził, że jego poprzedniczka prowadziła bardzo rozrzutną politykę finansową i w związku z tym on nie widzi możliwości przekazania wspomnianej sumy na organizację konferencji ministerialnej.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Bolesław SULIK

14 maja 1999

Drogi Panie Redaktorze,

W zupełności podzielam pogląd wyrażony przez prof. Andrzeja Walickiego w liście do *Kultury* nr 5/620, w którym podkreśla znaczenie faktu, że Oświęcim-Auschwitz znajdował się podczas wojny w Reichu a nie w Generalnej Gubernii. Zgadzam się również że zupełne ignorowanie tego faktu w polemikach na temat stosunku Polaków do Żydów w czasie okupacji jest zupełnie niezrozumiałe. A jest to przecież bardzo ważki argument przeciw tezie o powodach rozmieszczania obozów.

Łączę najlepsze wyrazy

Piotr S. WANDYCZ

## SPRAWA NIEDOKOŃCZONA

Z zadowoleniem powitaliśmy zakończenie bolesnego konfliktu na „Żwirowisku” w Obozie Oświęcimskim. Episkopat i Rząd wykazały tu wreszcie stanowczość, połączoną z rozsądnym umiarem.

Wydaje się jednak, iż sprawa nie jest jeszcze w pełni zakończona, chociaż władze kościelne i rządowe nie mogły się dalej posunąć. Lecz zdają sobie zapewne sprawę, że żaden krzyż, niezależnie od przypisywanego mu szczególnego charakteru, nie może i nie powinien ranić uczuć i zwyczajów religijnych innych niechrześcijańskich wyznań i to w epoce głoszonego ekumenizmu. A tym bardziej „Krzyż Papieski”, pod którym Ojciec Święty odprawił mszę św...

Zgadzamy się z tym, iż żadnego symbolu religijnego nie wolno profanować, co znalazło swój wyraz w oględnym, pełnym szacunku usunięciu przez Władze innych, poza Papieskim, krzyży ze Żwirowiska. Lecz tego szacunku względem Krzyża Papieskiego nie wykazali - moim zdaniem - organizatorzy akcji stawiania krzyży, skoro ten krzyż postawili w tajemnicy, w nocy i bez powiadomienia o tym właściwego diecezjalnego biskupa! Okoliczności te nie świadczą dobrze o intencjach sprawców, co więcej, budzą podejrzenia o czystość ich intencji, wskazując raczej na polityczne, a może nawet i gorsze motywy tych potajemnych działań.

W tej bolesnej dla obu społeczeństw, polskiego i żydowskiego, sytuacji ostatnie słowo może należeć tylko do Ojca Świętego. Jemu - jak sądzę - możemy zaufać i tylko na Jego życzenie Krzyż Papieski może być przeniesiony na godniejsze dla siebie miejsce. Oby!

Zbigniew T. WIERZBICKI



	<i>Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Brzękowskich</i> . . . . .	164
	<i>Ogólnopolski Konkurs Literacki – Krzyż – Drzewo Kwitnące</i> . . . . .	165

## KSIAŻKI

Florian Śmieja:	<i>Pamięć świadka</i> . . . . .	166
–	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> . . . . .	169
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i> . . . . .	171
M. Pieczara, B. Sulik, P. Wandycz, Z.T. Wierzbicki:	<i>Listy do Redakcji</i> . . . . .	173

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3<sup>ème</sup> trimestre 1999.Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: [kultura@club-internet.fr](mailto:kultura@club-internet.fr)

## KULTURA

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Przenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1999</b>			
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>ARGENTYNA:</b> «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRALIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>DANIA:</b> O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>HOLANDIA:</b> Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 . . . . .	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
<b>IZRAEL:</b> Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>KANADA:</b> Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115 . . . . .	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
<b>NIEMCY:</b> Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60 . . . . .	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
<b>NORWEGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84 . . . . .	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
<b>SZWECJA:</b> Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33 . . . . .	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
<b>U.S.A.:</b> Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266 . . . . .	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>WŁOCHY:</b> Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)  
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)



## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

### BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 508 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT

### STO DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: K. Pol: *Aleksander Lednicki (1866-1934)*; A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra sanatorzy (ciąg dalszy)*; S. Mazurkiewicz: *Czy Radosław był postacią kontrowersyjną?* G. Wolfs: *Czy należało utworzyć Królestwo Polskie w listopadzie 1916 roku?* P. Wandycz: *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945-1947*; P. Wandycz: *Na bezdrożach*; H. Szostakiewicz: *Wschodni sojusznicy Polski w wojnie 1920*; H. Szostakiewicz: *Obywatele ukraińscy w Polsce i w wojsku polskim*; J. Lewandowski: *Teczka Stalina*; J. Ciechanowski: *Powstanie warszawskie w oczach poety*; T. Wyrwa: *Profesor Henryk Batowski – nestor historyków polskich*; H. Kocój: *Bitwa pod Skoczowem*; A. Marton-Domeyko: *Prasa francuska o wycieku Piłsudskiego w Paryżu w 1921 r.*; J. i N. Dhombres: *Lazare Carnot w Polsce*; *Biuletyn Czeskiej Akademii Nauk* i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 55 F**